

WIELKI TRIUMF KACZYŃSKIEGO

JAK ON TO ZROBIŁ? CO DALEJ? A TAKŻE DZIESIĘĆ NAJWAŻNIEJSZYCH WNIOSKÓW Z PRZEŁOMOWEJ KAMPANII

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 22 (340) 2019
3–9 czerwca

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

NIE BOJĘ SIĘ TUSKA

JEGO PLAN NIE WYPALIŁ

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA W PIERWSZYM WYWIADZIE PO WYBORACH MÓWI NAM TAKŻE O: TAJEMNICY SUKCESU PiS, POWODACH KLĘSKI OPOZYCJI, ATAKACH NA KOŚCIÓŁ, WALCE Z PEDOFILIĄ, BUDOWIE FORTU TRUMP I RZUCANIU PALENIA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
22
9 772544 269908

TERMIN DO 7 CZERWCA

KONKURS

plastyczny dla dzieci

AŻ 342 WYJĄTKOWE NAGRODY

POLSKA, MOJA OJCZYZNA

• 5-9 lat • 10-16 lat •

KONKURS PLASTYCZNY DLA DZIECI – na prace czekamy DO 7 CZERWCA!

Rozumiemy, że sezon komunijny, że wyjazdy na zielone szkoły, że długi majowy weekend był po drodze... Mamy dobrą wiadomość dla wszystkich naszych czytelników, którzy dzwonili i pisali do redakcji tygodnika Sieci zaniepokojeni, czy ich dzieła przygotowane na konkurs „Polska, moja Ojczyzna" dotrą do nas na czas. **Na Waszą prośbę przedłużamy termin do 7 czerwca.**

1. Wykonaj pracę plastyczną swoją ulubioną techniką na temat „Polska, moja Ojczyzna". Możesz skorzystać z pomocy rodziców.
2. Dołącz **2 kupony konkursowe** z tygodnika „Sieci". Wystarczy kupic 2 egzemplarze tego numeru. Kupony wypełniają rodzice lub opiekunowie.
3. Wyślij pracę z dopiskiem „konkurs plastyczny" na adres: FRATRIA Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa. **Termin dostarczenia prac: 7 czerwca 2019 r.**
4. Sprawdź, co wygrałeś! **Listę nagrodzonych opublikujemy 17 czerwca 2019 r.** w tygodniku „Sieci" i na **www.wsieciprawdy.pl**.

PARTNER STRATEGICZNY: PZU

SŁODKI PARTNER: Pszczółka od 1952

PARTNER INSTYTUCJONALNY: Fundacja Niepodległości

PARTNERZY:

cybex, GRANNA, KAISERHOF - Cesarski Dwór -, KOMPAS obozy i kolonie od 1998r., PKP Polskie Koleje Państwowe Spółka Akcyjna

Prószyński i S-ka, SKREAT, TURNADO, Wydawnictwo Świętego Filipa Apostoła, Wydawnictwo Sfinks Popularnonaukowe





WYGRAJ JEDNĄ Z **342** NIESAMOWITYCH NAGRÓD:



<< **2** **gokarty elektryczne Turnado** dla dzieci od 6 lat do 60 kg **o wartości 2000 zł każdy**

2 **wakacyjne obozy** >> **o wartości 2200 zł każdy** od Biura Turystyki Aktywnej KOMPAS





<< **2** **weekendowe pobyty rodzinne** w KAISERHOF – Cesarski Dwór w Krynicy Morskiej **o wartości 1500 zł każdy**



<< **4** **vouchery o wartości 400 zł każdy** na zakupy odzieży, butów i dodatków

2 **krzesła CYBEX LEMO,** które dzięki regulowanym elementom rosną wraz z dzieckiem, **o wartości 769 zł każde** ∨





<< **25** **zestawów książek o przygodach Zuzi** o wartości 72 zł od wydawnictwa Skrzat

40 **książek „Chłopiec i pies”** o wartości 25 zł od wydawnictwa Prószyński i S-ka ∨



40 **książek „Kiedyś na pewno”** o wartości 32 zł od wydawnictwa Prószyński i S-ka >>





<< **150** **słodkich zestawów dla młodego patrioty:** komiks o Misiu Wojtku o wartości 16 zł od Fundacji Niepodległości i cukierki od Pszczółki o wartości 16 zł



^ **15** **zestawów książek patriotycznych o wartości 250 zł każdy** od Wydawnictwa Świętego Filipa Apostoła

40 **zestawów gier dla całej rodziny o wartości 140-195 zł każdy** od Granny ∨





^ **20** **zestawów książek podróżniczych o wartości 110 zł każdy** od wydawnictwa Skrzat

SIECI KUPON KONKURSOWY **NR 6**

imię i nazwisko rodzica/opiekuna . . . . . .

imię i nazwisko dziecka . . . . . .

data urodzenia i wiek dziecka . . . . . .

dokładny adres zamieszkania . . . . . .

. . . . . .

e-mail rodzica/opiekuna . . . . . .

telefon rodzica/opiekuna . . . . . .

Akceptuję regulamin konkursu.

☐ *Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie konkursowym do przeprowadzenia konkursu pod nazwą „Polska, moja Ojczyzna” przez Administratora – Fratria Sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni, ul. Legionów 126-128.

Potwierdzam, że zgodnie z art. 13 ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych z dnia 27 kwietnia 2016 r. (Dz. Urz. UE L 119 z 04.05.2016) zapoznałam/em się z klauzulą informacyjną dot. przetwarzania danych osobowych zawartą w regulaminie konkursu „Polska, moja ojczyzna”, dostępnego na stronie www.wsieciprawdy.pl oraz w siedzibie Administratora.

* pole do akceptacji

data . . . . . podpis rodzica lub opiekuna . . . . . .

eprasa.pl 273b5b4c04

SIECI spis treści



43 *Pożar bywa czasem konieczny*
Dorota Łosiewicz



54 Egzamin dla Temidy
Marek Pyza, Marcin Wikło



66 Z Waldemarem Dąbrowskim
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ZŁOCI LUDZIE**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **BRAWA DLA ZWYCIĘZCÓW!**
Jan Pietrzak

15 **O PLURALIZM I TOLERANCJĘ**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **ZOBOWIĄZANIE SOLIDARNOŚCI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **Z PREZYDENTEM ANDRZEJEM DUDĄ**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

PO WYBORACH

26 **TWARDO, DO PRZODU**
Stanisław Janecki

30 **OSOBISTY TRIUMF LIDERA**
Michał Karnowski

32 **KOLEJNE PRZEŁAMANIE**
Jacek Karnowski

34 **LEKCJA OD WZGARDZONYCH**
Aleksandra Jakubowska

36 **MAINSTREAM OSŁABIONY, ALE NIE POKONANY**
Aleksandra Rybińska

KRAJ

40 **Z JANEM ŚPIEWAKIEM**
rozmawia Marcin Fijołek

43 **POŻAR BYWA CZASEM KONIECZNY**
Dorota Łosiewicz

47 **LIST NA PIERWSZĄ KOMUNIĘ**
Jan Rokita

50 **ATAK NA ARCYBISKUPA**
Grzegorz Górny

54 **EGZAMIN DLA TEMIDY**
Marek Pyza, Marcin Wikło

56 **Z PRZEMYSŁAWEM SYPNIEWSKIM**
rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko

60 **WAKACJE Z PASJĄ**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

63 **KATOLICYZM MNIE PROWADZI**
Łukasz Adamski

66 **Z WALDEMAREM DĄBROWSKIM**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

71 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

74 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

78 **M JAK MILION (GWOŹDZI)**
Hanna Karp

HISTORIA

80 **DUCHOWA REWOLUCJA**
Milena Kindziuk

84 **Z KARD. STANISŁAWEM DZIWISZEM**
rozmawia Milena Kindziuk

ŚWIAT

86 **PORWANY ZA MŁODU**
Kamila Hedvig-Górny

GOSPODARKA

90 **BANKOWOŚĆ NA FRONCIE POLITYCZNYM**
Janusz Szewczak

94 **POLSKA NAUKA POTRZEBUJE LEPSZEGO POSTRZEGANIA**
Forum wGospodarce.pl

KUCHNIA

102 **MOJE SMAKI: SYLWIA MAJCHER**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **RABUNEK ZACZYNA SIĘ OD SŁÓW**
Maciej Pawlicki

106 **KATOLICY DO SENATU**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **POTĘGA WIARY**
Aleksander Nalaskowski

109 **GAZETA CHICHÓW**
Wiktor Świetlik

110 **AKTOR ZBIOROWY I ELITY**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **TROFEUM SALONU**
Ryszard Makowski

113 **W STRONĘ LATA…**
Leszek Długosz

114 **PROJEKTOWANIE KOTWICY**
Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja

partner działu gospodarka

Bank Pekao

4/0319/F

eprasa.pl 273b5b4c04

Początek polowania na szeryfów?

Obóz Zjednoczonej Prawicy nigdy nie szedł na kompromisy z mafiami. Wypowiedział im wojnę już w 2005 r., a zorganizowane grupy przestępcze opanowała panika. W latach 2008–2015 znów przyszła odwilż. Z przestępczością VAT nie walczono, bo to (jak wynika z zeznań wielu świadków komisji śledczej ds. VAT) uderzało w przedsiębiorczość i nie było „politycznego klimatu". Dopalacze? Tusk ponoć wypowiedział im wojnę, ale oprócz kilku pokazówek dla mediów niewiele z tego wynikało. Te czasy zakończyły się w 2015 r., gdy rządy przejęło Prawo i Sprawiedliwość. Reforma Zbigniewa Ziobry z 2016 r. przywróciła nadzór nad rozbitą i opanowaną przez chaos i nieudolność prokuraturą. Czy zlecenie zamachu na ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego przez jednego z dopalaczowych bossów, o którym informują media, to cena za bezkompromisową walkę z przestępczością? Wiele na to wskazuje.

Przestępcze podziemie zna się nie tylko na bandyckim fachu, ale i na polityce. Ludzie cienia wiedzą, że kolejna kadencja Prawa i Sprawiedliwości to nowe zaostrzenia kar, skuteczniejsza prokuratura, służby i policja. Dziś symbolem walki z półświatkiem jest Zbigniew Ziobro.

„Ten sk...n podpisał nową ustawę. Zepsuł mi interes" – miał stwierdzić S. pod adresem Ziobry, gdy „chemik" przesłał mu wywiad ministra z października 2018 r. zapowiadający, że „handlarze dopalaczami nie są bezkarni, także ci działający w internecie". Ziobro mówił w nim też o zaostrzeniu prawa i traktowaniu handlarzy dopalaczami tak jak sprzedających narkotyki. Według „chemika" wywiad rozsierdził Jana S., mafijnego bossa, który wkrótce potem zlecił zabójstwo Ziobry. S. uznał, że pozbycie się ministra rozwiąże jego problemy i pozwoli mu dalej działać – czytamy w „Rzeczpospolitej", która ujawniła plan zamachu. I jeszcze: „(...) dopalaczowy boss wydał zlecenie zabójstwa ministra jesienią 2018 r., nieco wcześniej chciał się pozbyć też jednego ze śledczych, którzy prowadzili postępowanie przeciwko gangowi dopalaczowemu, w którym działał S. Pod adresem śledczego Jan S. miał z kolei pisać w sieci do „chemika", by ten „wziął gnata i go odstrzelił". Podpowiadał też użycie substancji „powodującej m.in. zawał serca".

„Zepsuł mi interes" – to zdanie klucz do tej i innych historii. Środowiska przestępcze są wściekłe. Skończyły się krociowe zyski. Grupa szeryfów, konsekwentnie od czterech lat, robi porządek.

Pamiętajmy jednak, że ranne dzikie zwierzę jest najbardziej niebezpieczne.

Wojciech Biedroń



eprasa.pl 273b5b4c24



Sygnalista nadaje

Maj to cudowny miesiąc, tradycyjnie poświęcony Maryi. W historii polskiej prawicy już dwukrotnie zapisał się przepięknie. 24 maja 2015 r. wybory prezydenckie wygrał Andrzej Duda, a 26 maja br. Zjednoczona Prawica całkiem szeroko uchyliła sobie drzwi do kolejnej kadencji. Zrobiła to dokładnie w Dniu Matki. Ktoś tam, na górze, czuwa nad nami, nie żałując łask. Bo przecież owszem wielu się spodziewało wyraźnego zwycięstwa, ale tryumfu na taką skalę nie przewidział chyba nikt. Pamiętajmy, żeby pięknie podziękować!

Ma rację prof. Mieczysław Ryba: te wybory były nie tylko walką partii o mandaty, także plebiscytem w sprawie rewolucji obyczajowej. Lewica sądziła, że już za chwileczkę, już za momencik Polska będzie drugą Irlandią. Wraz z cywilizacją chrześcijańską na polityczny śmietnik trafić miało także Prawo i Sprawiedliwość, przynajmniej w roli siły zdolnej do rządzenia. Ale Polacy już nieraz udowodnili, że potrafią zaskoczyć, dobrze wyczuwając neobolszewię.

Jednak nie byłoby tego zwycięstwa, gdyby ***Jarosław Kaczyński*** nie szarpnął mocno w ostatnim tygodniu kampanii. To on poderwał wyborców prawicy, którzy wcześniej albo spali, albo zamarli w bezruchu po wielodniowym bombardowaniu pedofilią w Kościele. Tym samym ostatecznie upadł mit o „Kaczyńskim, który odstrasza wyborców". Kaczyński przyciąga. Może nie są to publicyści symetryści, ale za to liczy się ich nie sztukach, lecz w milionach.

Zdaniem opozycji klęskę zgotowała Koalicji Europejskiej przede wszystkim TVP. Już podczas wieczoru wyborczego skarżył się na to Radosław Sikorski. Katarzyna Lubnauer ujęła problem wyjątkowo dosadnie: „Gdyby Hitler miał taką telewizję publiczną, to może ludzie by nie zauważyli, że skończyła się wojna". Śmiała teza. Tak czy siak, ta ponoć nieoglądana, ponoć „siermiężna" i ponoć „październierzowa" TVP sprawiła, że medialne grube berty opozycji nie przebiły murów.

Nawet „Wyborcza" zauważyła, że to są już nowe czasy. „Eurowybory pokazały, że postrzeganie Jarosława Kaczyńskiego przez Polaków uległo istotnej zmianie. Jeśli opozycja chce myśleć o pokonaniu Zjednoczonej Prawicy, musi przyjąć to do wiadomości i zmienić swoją strategię wobec »dobrej zmiany«" – napisał Łukasz Rogojsz, puentując: „To Kaczyński wygrał eurowybory dla Zjednoczonej Prawicy. To on wziął na siebie najcięższe zadania w ostatnich dniach eurokampanii". Tytuł tekstu mówi wszystko: „Już nie Kaczor-dyktator, a wujek Jarek".

W każdym razie przerażenie jest wielkie, bo 45 proc. to wynik, który znacznie przybliża Warszawę do Budapesztu (Orbán zdobył w majowych wyborach ponad 52 proc.). Jeśli jesienią PiS zdobędzie samodzielną większość, opozycja w dotychczasowym kształcie może na długo spaść do roli statysty. Wybory sejmowe to naprawdę może być „bój ich ostatni".

W szeregach opozycji pojawiła się także głębsza refleksja. Tomasz Lis w powyborczym szoku miał taką oto radę dla kolegów ze sztabu: „Generalnie proponuję zacząć od szacunku dla wyborców, ich wiary i przywiązania do tradycji. Jak ktoś chce tu robić rewolucję, to kończy jako lider ugrupowania na 6 proc. albo autor wystąpienia, które było największym prezentem dla PiS-u w tej kampanii". Dość odważne rady jak na człowieka, który sam tę rewolucję od lat nakręca. Ale zmiana zawsze cieszy, choć najlepiej, rzecz jasna, zacząć od siebie samego.

eprasa.pl 273b5b4c04

Od samej siebie rozpoczęła Aleksandra Dulkiewicz, która patronowała sobotniemu Marszowi Równości. To tam grupa kobiet ubranych w kolorowe stroje tańczyła wokół rysunku waginy imitującego Najświętszy Sakrament. „Incydent – ja zobaczyłam to zdjęcie dopiero w internecie późnym wieczorem – poruszył nas do głębi. Mnie poruszył jako matkę, która była na tym marszu z dzieckiem, ale jestem poruszona też jako osoba wierząca" – stwierdziła. Poruszenie jest oczywiście wprost proporcjonalne do różnicy między PiS i Koalicją.

Niektórzy się kajają, inni bezradnie rozkładają ręce. „Wydaje mi się, że sytuację, która panuje w Polsce, trudno ogarnąć rozumem. To są czyste emocje. Racjonalne argumenty biorą w łeb" – stwierdził aktor Maciej Stuhr. Tak, nie każdym rozumkiem da się ogarnąć to, co dzieje się w Polsce. Może jesienią aktorzy w końcu zrezygnują z tej nierównej walki i wrócą do grania?

Krystyna Janda ani się kaja, ani dziwi, ale brnie dalej. W mediach społecznościowych zamieściła rysunek, na którym mężczyzna w garniturze trzyma nad klęczącą staruszką stuzłotowy banknot, mówiąc: „Daj głos!". Zareagował Jan Śpiewak: „Promowanie uprzedzeń wobec biednych niewiele się różni od promowania uprzedzeń wobec innych narodów. Trzeba to jasno i otwarcie powiedzieć bez owijania w bawełnę: Krystyna Janda jest rasistką. Liczę na reakcję ludzi kultury". Stawka wysoka, bo jeśli Jandę zastraszą i zamilknie, PiS może stracić parę punktów.

Interesująco na porażkę zareagował Grzegorz Schetyna. Pytany o sposób na pokonanie PiS odpowiedział: „Uważam, że ten pomysł jest. Tylko trzeba go dobrze znaleźć i wiedzieć, z kim go szukać. Znajdziemy go wspólnie, bo uważam, że to jest najważniejsze, żeby wiedzieć, z kim go szukać i z kim można zrobić to skutecznie". Czyli Schetyna nie wie i tak naprawdę proponuje towarzyszom wycieczkę krajoznawczą. I to bez mapy. Cóż, wolny kraj.

W tym kontekście za szczególnie trafne należy uznać pytanie postawione przez prof. Andrzeja Zybertowicza: „Jak to jest, że ugrupowanie wspierane przez elity intelektualne jest koncepcyjnie, programowo jałowe, a ugrupowanie wspierane rzekomo tylko przez tych biednych, zacofanych ludzi ze wschodu daje radę budować pewne wizje rozwojowe, które działają?". No właśnie, jak to możliwe? Może te elity odzwyczaiły się już dość dawno od samodzielnego myślenia?









By zrozumieć skalę klęski opozycji, wystarczy przywołać słowa samego Schetyny z 12 marca br. Wówczas w wywiadzie dla „Kultury Liberalnej" mówił: „Mi nikt nie da przegrać wyborów. Tym się różni PiS od PO. (...) Nikt mi nie da następnej szansy". Dodał, że jego marzeniem jest wygrać „choćby o punkt procentowy, o jeden mandat", by „Kaczyński nie mógł powiedzieć, że wygrał kolejne wybory z rzędu". Na szczęście dla Schetyny opozycja tak mocno oberwała, że chyba go nie wyrzucą. Przynajmniej nie teraz.

Towarzysze z PO próbują podać rękę. „Te 38,5 proc. to, jak patrzyłem wynikach w Europie, to poza Polską i Węgrami, w każdym kraju z tym wynikiem byśmy wygrali" – stwierdził na antenie Polsat News szef Klubu PO ***Sławomir Neumann***, wzbudzając powszechne rozbawienie i sugestię, by w takim razie ruszali na podbój innych państw. Ale jest w tym i racjonalne jądro, bo Neumann tak naprawdę mówi przecież: „Gdyby nie Kaczyński, rządzilibyśmy w spokoju całe dekady". I nie sposób się z nim nie zgodzić.

Jan Grabiec policzył wszystko jeszcze inaczej. „Partie Koalicji Europejskiej (KO+PSL+SLD+Z) uzyskały pół roku temu w wyborach do sejmików ponad 7,2 mln głosów. PiS uzyskał w wyborach do PE 6,2 mln głosów, KE tylko 5,2 mln. Jeśli zmobilizujemy wyborców, którzy w zeszłym roku na nas zagłosowali, zwycięstwo jest w zasięgu ręki" – przekonuje poseł PO. Pomysł może i celny, ale ignorujący być może najważniejszy wniosek z tej kampanii: mobilizacja wyborców opozycji nakręca także mobilizację prawicy, a w zderzeniu totalnym PiS wygrywa.

Progu nie przekroczyła Konfederacja, która już witała się z gąską. Ale tematyka polsko-żydowska szybko nie zniknie z naszego życia publicznego. Może być nawet gorąco, bo izraelski parlament podjął decyzję o samorozwiązaniu. Kolejne wybory odbędą się 17 września i zapewne niejeden kandydat spróbuje podreperować swoje szanse atakiem na Polskę. Bo tam antypolonizm daje politykom znacznie więcej niż u nas antysemityzm.

Triumfuje za to postkomunistyczna lewica, która na plecach PO wprowadziła pięciu europosłów. „SLD jest jedyną formacją, która nie straciła mandatów w europarlamencie" – nie krył satysfakcji Leszek Miller. Tłumacząc przyczyny sukcesu PiS, powiedział: „Transfery, Kościół i propaganda". Całkiem trafnie. Tłumacząc na nasze, znaczy to przecież: solidarność, wiara, prawda.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 273b5b4c04

Złoci ludzie



KRZYSZTOF FEUSETTE

Gdy emocje już opadną, jak po wielkiej bitwie kurz, gdy nie można mocą żadną wykrzyczanych cofnąć słów – czas przyznać powyborcze nagrody tym, którzy napracowali się najciężej. Tym, bez których wynik wyborów mógłby być inny, a którzy wyjątkowo dzielnie, bo na pierwszej linii frontu, raz za razem walili, czym popadnie – we własną barykadę. Dzięki temu, całym sercem będąc przeciw PiS, jednocześnie wspierali je mocniej niż niejeden darmozjad Zjednoczonej Prawicy. Stąd idea, by tych złotych ludzi docenić – choćby w postaci skromnych nagród przyznanych im w imieniu elektoratu „pisowskich głupków", „bolszewików", „szarańczy" oraz „biomasy". Najszczersze zatem podziękowania:

Dla **Sławomira Broniarza**, szefa Związku Nauczycielstwa Polskiego, za udział w marszach totalnej opozycji, a następnie zorganizowanie strajku w przedszkolach i szkołach tuż przed egzaminami, za próbę ich nieprzeprowadzenia oraz grożenie maturzystom, iż mogą powtarzać rok, o ile rząd nie znajdzie pieniędzy na podwyżki dla „broniarzowych" związkowców.

Dla **Tomasza Sekielskiego**, autora filmu „Tylko nie mówi nikomu", za udział w wyborczej kampanii „profrekwencyjnej" obok Adama „Nergala" Darskiego, co pozwoliło także użytkownikom Onetu otworzyć szerzej oczy na prawdziwe intencje autorów filmu.

Dla **Roberta Biedronia**, lidera Wiosny, za mijanie się z prawdą w sprawie afery pedofilskiej w Słupsku, foto z mamą oraz żądanie zawieszenia lekcji religii na terenie całego kraju.

Dla **Krzysztofa Śmiszka**, partnera lidera Wiosny, za zapowiedź karania więzieniem każdego, kto nie lubi tego co on.

Dla **Aleksandry Dulkiewicz**, prezydent Gdańska, za heroiczną obronę Westerplatte przed zakusami polskiego rządu, który chce tam wybudować muzeum upamiętniające polskich bohaterów. Także za objęcie patronatem Parady Równości, na której wulgarnie obrażano nie tylko ludzi wierzących, ale po prostu przyzwoitych.

Dla **Władysława Kosiniaka-Kamysza** za wierność zasadom i wartościom, za głęboką wiarę w to, że na widok golasów z tęczowymi sznurkami w zadkach chłopi uznają ich za inspektorów Spółdzielni „Społem".

Dla **Joanny Scheuring-Wielgus**, znanej obrończyni praw zwierząt, za niezwykłą empatię, która pozwoliła jej uznać, że pieski bardziej będą męczyły się z nią w mieszkaniu niż w zasikanej klatce w schronisku.

Dla **Włodzimierza Cimoszewicza** za brak badań technicznych w samochodzie, którym potrącił starszą panią na pasach, oraz opinię, iż Polacy nie chcą płacić Żydom za zbrodnie niemieckie, gdyż są antysemitami.

Dla **Piotra Grzelaka**, wiceprezydenta Gdańska, za odważną analizę genezy wybuchu II wojny światowej, która zaczęła się „od złego słowa Polaka przeciwko innemu narodowi" (potem dołączył do niego Niemiec).

Dla **Grzegorza Schetyny**, lidera Koalicji Europejskiej (w chwili zamykania tego numeru wciąż nim był – przyp. KF), a także Platformy Obywatelskiej (jak wyżej – przyp. KF) – za bohaterstwo na terenach zbliżonych do terenów powodziowych, gdzie mimo nieprzyjemnego chłodu udało mu się dostarczyć najbardziej potrzebującym (burmistrz z PO) kilkanaście drożdżówek. Należy podkreślić, że pan Grzegorz sprawdził ich świeżość jako pierwszy, a potem miał jeszcze siłę wystąpić w wyborczym spocie z powodzią w tle. Co ważne, w odróżnieniu od kabaretu urządzanego na wałach przez strażaków i żołnierzy jego ekipa miała w składzie m.in. jednego z największych w Europie specjalistów od wstawiania szyb na taśmę klejącą.

Dla **Donalda Tuska**, przewodniczącego Rady Europejskiej, za niezłomną apolityczność, za promowanie młodych zdolnych do wszystkiego lewicowych publicystów, za błyskawiczną mobilizację tej części elektoratu, która nie lubi nazywania innych ludzi ubłoconymi świniami. Za uśmiech plantatora szparagów.

Dla **Elżbiety Podleśnej**, aktywistki lewackiej, za „tęczową Matkę Boską" na śmietnikach i toaletach, a także przerażającą relację ze ściągania biustonosza w komisariacie.

Dla **Mai Ostaszewskiej**, aktorki zaangażowanej, za niegasnącą odwagę mówienia własnymi słowami na każdy temat.

Dla **autorów zbiorowej akcji „Banan"** za przypomnienie, że z każdego można zrobić małpę, ale nie każda małpa lubi robić z siebie kretyna.

Dla **Pawła Rabieja**, wiceprezydenta Warszawy, za szczerość dotyczącą legalizacji w Polsce adopcji dzieci przez lesbijki, gejów, biseksualistów oraz transseksualistów (potem dołączą do nich pewnie inne „orientacje").

Dla **Rafała Grupińskiego**, posła PO, za uruchomioną przez niego lawinę politycznych „comingoutów" w wykonaniu kolegów Halickiego, Neumanna i Siemoniaka. Wszyscy są już za legalizacją jednopłciowych związków partnerskich. To znaczy – byli przed wyborami.

Dla **„Gazety Wyborczej"** za wszystkie „bomby" i „trzęsienia ziemi", a także za niezłomne próby przekonania swoich czytelników, że ziemia w Polsce – o, zgrozo, także pod rządami PiS – zyskuje na wartości.

Dla **Krystyny Jandy**, aktorki totalnie dramatycznej, za to, że tak późno straciła ochotę (nie chodzi tu o prywatny teatr na Ochocie – przyp. K.F.) – „na wymianę myśli z tym narodem". I za to, że jednym opublikowanym przez siebie rysunkiem „satyrycznym" (na którym wiejska kobiecina klęczy przed chłopem, on zaś trzyma w dłoni banknot i mówi: „Daj głos!"), tak celnie oddała uczucia, jakie żywi do rodaków większość spośród wyżej nagrodzonych.

Brawo, wy.

eprasa.pl 273b5b4c04

PERSPEKTYWA

IX KONGRES
POLSKA
WIELKI PROJEKT

7-9 CZERWCA 2019 r.
ARKADY KUBICKIEGO
WARSZAWA



Wśród zaproszonych gości: ANDRZEJ NOWAK | FABIO BIONDI | ÉRIC ZEMMOUR | ZBIGNIEW STAWROWSKI | MASSIMO VIGLIONE | ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI | GYÖRGY SCHÖPFLIN | RYSZARD LEGUTKO | GÉRARD-FRANÇOIS DUMONT | BRONISŁAW WILDSTEIN

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Organizator

Współorganizatorzy

Partnerzy

Patronat medialny

eprasa.pl 273b5b4c04

Szwecja

Plan na wojnę



Kiedyś Szwecja była militarną potęgą. Jeszcze w latach 80. miała silną armię, zdolną w krótkim czasie zmobilizować 730 tys. nieźle wyszkolonych żołnierzy. Jednak liczebność armii spadła do 33 tys. ludzi, a żołnierzy najłatwiej dziś zobaczyć na dorocznych paradach równości, gdzie maszerują pod tęczowymi flagami, śpiewając wesołe piosenki.

Nic więc dziwnego, że to właśnie Szwedzi stali się głównym celem rosyjskich prowokacji wojskowych nasilających się stopniowo już od ponad 10 lat. Ich apogeum nastąpiło w 2014 r., gdy w okolicach Sztokholmu wytropiono małe rosyjskie łodzie podwodne.

Szwecja jest ważna jako kraj położony nad cieśninami duńskimi łączącymi Bałtyk z Morzem Północnym. W dawnych, pochodzących jeszcze z czasów Układu Warszawskiego, planach wojennych zdobycie cieśnin miało być zadaniem dla desantu LWP: najpierw potężne uderzenie jądrowe, a potem lądowanie Polaków, którzy mieli utrzymać cieśniny do czasu przejścia sowieckiej Floty Bałtyckiej.

Dziś Polacy Danii nie zaatakują, więc plan jest inny. Rosjan niepokoi tzw. umowa HNS (Host Nation Support), która umożliwia siłom NATO – za zgodą rządu w Sztokholmie – wykorzystanie terytorium Szwecji do działań w rejonie Bałtyku. Chodzi więc o zastraszenie Szwecji, aby ta – na wypadek wybuchu wojny – zrezygnowała z obrony i nie utrudniała rosyjskiej flocie wyjścia na Atlantyk.

Szwedzi długo nie reagowali na rosyjskie prowokacje, co jedynie utwierdzało Moskwę w przekonaniu, że przyjęta taktyka zastraszania jest skuteczna. Dopiero niedawno, gdy analizy wykazały, że w przypadku wojny armia szwedzka nie utrzyma się dłużej niż tydzień, podjęto w Sztokholmie pilne kroki na rzecz poprawy stanu bezpieczeństwa.

Przygotowany na początku tego roku plan modernizacji i reformy armii zakłada, że po 2021 r. Szwecja będzie w stanie wytrzymać atak napastników przez trzy miesiące. Szwedzi podpisali też umowę obronną z Finlandią i jednostronnie ogłosili, że w przypadku napaści na jakikolwiek kraj Unii Europejskiej lub na Norwegię i Islandię „nie pozostaną bierni". Dodali też, że liczą na podobną solidarność ze strony krajów członkowskich Unii.

Ambitny plan obrony może jednak nie dojść do skutku z powodu sporu o pieniądze. Rządząca lewica chce stopniowego podwyższania wydatków na armię, a takie tempo nie odpowiada centroprawicowej opozycji.

„Humanitarne mocarstwo", którym ogłosiła się kiedyś Szwecja, dużo kosztuje. Ale nie zapewnia bezpieczeństwa.

Konrad Kołodziejski

Litwa

Nadzieja dla polskiej mniejszości?

Wyniki wyborów prezydenckich na Litwie odzwierciedlają szerszą tendencję, jaka widoczna jest także w innych krajach Europy, zwłaszcza tych dotkniętych kryzysem politycznym lub ekonomicznym. Chodzi o utratę zaufania do dotychczasowej klasy politycznej oraz zmęczenie tymi samymi twarzami od lat pojawiającymi się na ekranach telewizorów. Ludzie oczekują zmian i swoje nadzieje wiążą z nowymi postaciami.

Na Litwie taką osobą stał się Gitanas Nausėda – ceniony ekonomista, który startował jako kandydat niezależny i zwyciężył, zdobywając 65,86 proc. głosów. Jego rywalka w drugiej turze Ingrida Šimonytė, reprezentująca konserwatywny Związek Ojczyzny, dostała zaledwie 32,8 proc. Okazało się, że partia, która ją wystawiła, ma



Gitanas Nausėda, nowy prezydent Litwy

zbyt duży elektorat negatywny, by myśleć o zwycięstwie w wyborach prezydenckich. Co ciekawe, kiedy Nausėda ogłosił gotowość startu, wówczas zgłosił się do niego Związek Ojczyzny, proponując mu wsparcie, jednak ekonomista zdecydowanie odmówił. Uznał, że byłoby to dla niego raczej obciążeniem niż pomocą. Nie pomylił się.

Nowy prezydent już zapowiedział, że będzie bardziej aktywnie niż jego poprzedniczka Dalia Grybauskaitė wtrącać się w politykę gospodarczą państwa. W tych sprawach najbliższy mu jest model społecznej gospodarki rynkowej, z jakim zetknął się podczas swych studiów w Niemczech. W kwestiach obyczajowych deklaruje się jako konserwatysta.

Nausėda ogłosił już, że z pierwszą oficjalną wizytą zagraniczną zamierza się udać do Warszawy. To nie przypadek. Jeszcze w kampanii zapowiadał, że zamierza poprawić relacje z Polską, a zwłaszcza uregulować sprawę pisowni nazwisk mniejszości polskiej na Litwie. Gotów jest poprzeć rozwiązanie, by w dokumentach tożsamości obok personaliów w języku litewskim figurowały również dane w języku polskim. Gdyby udało mu się tego rzeczywiście dokonać, byłby to ważny symboliczny fakt i dowód, że w stosunkach polsko-litewskich pojawiła się nowa jakość.

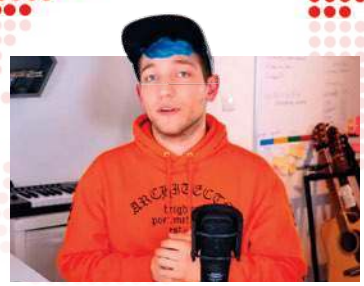
Grzegorz Górny

Fot. widesnuts/Shutterstock.com, Karolis Kavoleliis/Shutterstock.com

eprasa.pl 273b5b4c04

Niemcy

CDU kontra vloger



Niemiecka chadecja zagubiona w sieci – tak można podsumować aferę, która wybuchła wokół nagrania wideo autorstwa niemieckiego vlogera Rezo. W zamieszczonym w serwisie YouTube filmiku vloger ostro skrytykował CDU, oskarżając partię o to, że prowadzi politykę wyłącznie dla zamożnych warstw społeczeństwa, ignoruje potrzeby młodzieży i nie radzi sobie z problemem zmian klimatycznych. W sumie nic nadzwyczajnego, podobne zastrzeżenia wobec chadecji od lat zgłasza lewica. Tyle że nagranie obejrzało ponad 13 mln głównie młodych Niemców, a ponad milion je polubiło. Filmik ukazał się na kilka dni przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, w których CDU uzyskała 28,9 proc. głosów, o 7 proc. mniej niż pięć lat temu. Kierownictwo chadecji postanowiło więc zareagować. Zrobiło to jednak bardzo nieudolnie.

Sekretarz generalny CDU Paul Ziemiak najwyraźniej uznał, że atak to najlepsza obrona, i nazwał film oraz jego autora „nierzetelnymi". Zapowiedziano też, że jeden z najmłodszych posłów CDU do Bundestagu, Philipp Amthor, przedstawi w odpowiedzi własny film wideo, ale potem się z tego wycofano, uznając, że tak duża partia nie powinna odpowiadać na każdą zaczepkę. Za to szefowa CDU Annegret Kramp-Karrenbauer zaczęła się głośno zastanawiać nad „regulacją wypowiedzi w sieci przed wyborami", czyli po prostu nad cenzurą.

Powyborczy zjazd CDU został całkowicie poświęcony bezskutecznym poszukiwaniom odpowiedzi na pytanie, dlaczego partia „nie potrafi w internetach". Tymczasem afera Rezo trwa nadal i działa na niekorzyść CDU. Socjaldemokraci przejęli bowiem inicjatywę i zaprosili vlogera na spotkanie. A sekretarz generalny SPD Lars Klingbeil opublikował własne nagranie na YouTubie, w którym zapewnił niemiecką młodzież, że „wasza krytyka do nas dotarła". CDU też chętnie spotkałaby się z Rezo, ale vloger stawia chadekom warunki. Najpierw zmiana polityki klimatycznej, a dopiero potem debata.

Niemiecka prasa jest bezlitosna dla CDU. „Bez względu na to, jaka jest treść przekazu 26-letniego vlogera, jasne jest, że CDU nie ma na nią żadnej odpowiedzi, a przynajmniej takiej, która by szybko zadziałała. Partia się skompromitowała" – ocenia „Kieler Nachrichten". A „Frankfurter Allgemeine Zeitung" twierdzi, że film vlogera „można gładko zaliczyć do nowej formy propagandy, którą stworzył prawicowy populizm". Tyle że w tym przypadku chodzi o jej „lewicowo-populistyczny wykwit".

Niemniej jednak zamiast się obrażać, „stare polityczne wygi powinny znaleźć na ten wykwit jakąś odpowiedź".

Aleksandra Rybińska



USA

Nieugięci absolwenci

Zapewne pamiętają państwo niedawny wykład prof. Ryszarda Legutki na amerykańskim Middlebury College w stanie Vermont. Wywód filozofa pt. „Demony w demokracji: Totalitarne pokusy w wolnym społeczeństwie" miał doskonałą oprawę, symbolizującą jego całą istotę. Oto okazało się, że piejący na co dzień za potrzebą skrajnej wolności studenci, uznali Legutkę za ksenofoba i rasistę. A więc za kogoś, kto wolności do wyrażania poglądów powinien zostać pozbawiony.

Polski profesor może dziś podać rękę wiceprezydentowi Mike'owi Pence'owi. Kilkanaście dni temu ponad 15 świeżych absolwentów Taylor University opuściło salę podczas przemowy konserwatywnego polityka. Wszystko z powodu religijnych przekonań Pence'a oraz jego „roli w administracji prezydenta Donalda Trumpa". Absolwentka uczelni Laura Rathburn powiedziała reporterowi, iż była „zawiedziona, że Pence został wybrany na mówcę" w jej szkole. „Jego obecność powoduje, że nie każdy może się dobrze czuć na uczelni" – dodała, mając na głowie czapkę przystrojoną tęczowymi barwami.

Mike Pence jest kimś, kogo piewcy tolerancji nie tolerują z zasady. Konsekwentnie się sprzeciwia małżeństwom jednopłciowym i aborcji. W styczniu oburzył wszystkich amerykańskich „postępowców", bo poparł decyzję swojej żony, by uczyła w prywatnej chrześcijańskiej szkole w Virginii, gdzie nie przyjmuje się homoseksualistów – ani nauczycieli, ani uczniów.

Studenci Taylor University nie protestują jednak przeciw wiceprezydentowi wyłącznie z powodu jego silnej wiary, ale również dlatego, że jest drugą osobą w hierarchii po Donaldzie Trumpie. Podkreślają, że Pence jest twarzą wszystkich działań prezydenta, „wykluczających" jakoby całe rzesze Amerykanów. Choć na tym samym uniwersytecie studenci pierwszego roku zorganizowali akcję „Lubię Mike'a" i wyprodukowali z tej okazji koszulki z podobizną wiceprezydenta, to trudno nie traktować awantury w szerszym kontekście.

Allan Bloom w „Umyśle zamkniętym" pisał, że: „Najbardziej udaną tyranią jest nie ta, która w celu zniewolenia używa siły, lecz ta, która odbiera wszelką wiedzę na temat tego, jak wygląda wolność, czyniąc ją niepojętą, ta, która odbiera wszelką świadomość tego, że istnieją inne drogi, ta, która odbiera poczucie jakiejkolwiek zewnętrznej rzeczywistości". Filozof odnosił się do sposobu pojmowania wolności przez amerykańskich studentów w latach 80. Dziś to ich dzieci buczą na Pence'a i Legutkę. To nie kryzys, jak mawiał Kisiel. To konsekwencja.

Łukasz Adamski

Fot. youtube.com, Rob Crandall/Shutterstock.com

eprasa.pl 273b5b4c04

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Brawa dla zwycięzców!



Jan Pietrzak

Mamy lawinę powyborczych komentarzy. Pewien aktor, fanatyczny sympatyk PO, powiedział: „Sytuację, która panuje w Polsce, trudno ogarnąć rozumem". By coś rozumem ogarnąć, trzeba ten rozum mieć. Red. Kurski z gazety w desperacji rzucił myśl „Trzeba się napić wódki!", nawiązując do rosyjskiego powiedzonka: „Biez wodki nie razbieriosz" i pewnie z redaktorem naczelnym rozbierają jakąś flaszkę. „Poczekajmy na ostateczny wynik", przez cały wieczór wyborczy zaklinał los Schetyna. Następnego dnia dowiedział się, że nie ma na co czekać, bo ostateczny wynik to wyrok. Pozdrawia go areszt na Białołęce, gdzie dostał świetne poparcie: 68 proc.

Ciekawy news z Londynu: partia, z której startował zbieg Rostowski, nie przekroczyła progu. Mister minister, pinienidzy nima! Były Komorowski rzekł: „Jestem zaskoczony. Myślałem, że wyniki będą bardziej korzystne dla KE". On chyba za dużo myśli. Podczas powodzi przypomniano jego głęboką myśl sprzed lat, że woda najpierw spada z nieba, ale potem spływa do Bałtyku. Pani Staniszkis z profesorską przenikliwością zauważyła: „Ludzie na prowincji na zasadzie bezwładności głosowali na PiS". Otóż zasada bezwładności umysłowej króluje na uniwersytetach opanowanych przez lemingi, w zatęchłych kastach sądowych, a także w gremium kierowniczym nowotworu politycznego pt. Koalicja Europejska.

Największym sukcesem tego towarzystwa jest reaktywacja paru mastodontów z epoki komucha łupanego. Żadnego pożytku nie będą z nich miały Polska ani Europa. Ze względu na swoje lata w sposób oczywisty nie mam nic przeciwko osobnikom wiekowym. Z tym że starość nie musi być bezmyślna ani bezwładna! A ja jestem uczulony na formację antypolską, która pod różnymi szyldami w różnych pokoleniach działa przeciwko naszym wartościom, wierze i nadziei.

Mimowolnie zostałem kustoszem prostej myśli zawartej w refrenie sprzed pół wieku „Żeby Polska była Polską". Wydarzenia publiczne oceniam pod tym kątem. Ostatnie wybory to mocny, zdecydowany krok w dobrym kierunku. Wielki szacun dla Jarosława Kaczyńskiego, za jego niezłomność, za lata uporczywego budowania partii, która potrafi zwyciężać dla dobra Polski. Brawa dla zwycięzców!

Anna i poganie

*Z aktorką **Wiktorią Gorodecką** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*



Fot. Jacek Dominski/REPORTER

Gratuluję aktorskiej nagrody na 19. Festiwalu „Dwa teatry". Czym była dla pani tytułowa rola w „Annie Kareninie" Teatru Polskiego Radia?

Wiktoria Gorodecka: Początkowo szukałam w niej niezwykłych doświadczeń i przeżyć, ale uświadomiłam sobie, że to zwykła kobieta. Każdy z nas jest skomplikowany i mieści w sobie wiele emocji.

Do kin wchodzi w tym tygodniu wyjątkowy pod wieloma względami film Bartka Konopki „Krew Boga".

Już z racji tematu jest to realizacja niepowtarzalna: staropruski język, średniowieczni poganie, niezwykłe kostiumy i sceneria Gór Stołowych, gdzie realizowane były zdjęcia. Film wyjątkowy także na tle innych propozycji polskiego kina, oryginalny w formie, sposobie przedstawiania bohaterów, prowadzeniu narracji.

Gra w nim pani najważniejszą z kobiet w tym świecie zdominowanym przez mężczyzn, czyli...?

...córkę wodza. Już w samej nazwie jest coś obiecującego. Ta rola przyniosła mi ciekawe aktorskie doświadczenia – poszukiwanie pozawerbalnych sposobów ekspresji; budowania relacji przez mowę ciała, dotyk.

Zakończyły się też zdjęcia do filmu „Ikar. Legenda Mietka Kosza" w reżyserii Macieja Pieprzycy (premiera jesienią). Jakie wrażenia?

Dostałam szansę pracy z fascynującym aktorem i człowiekiem Dawidem Ogrodnikiem (zagrałam ukochaną głównego bohatera) i bardzo za tę możliwość dziękuję. I Maćkowi, i Dawidowi.

Gdzie jeszcze możemy panią oglądać?

Zapraszam serdecznie do Teatru Narodowego na spektakle: „Idiota", „Hedda Gabler", „Zemsta nietoperza".

eprasa.pl 273b5b4c04

BRONISŁAW WILDSTEIN

O pluralizm i tolerancję



Od dłuższego już czasu w Parlamencie Europejskim rządzi koalicja chadeków i socjalistów. Na pierwszy rzut oka dość zaskakujący to układ. Wydawałoby się, że w sensie ideowym wszystko partie te dzieli, wprawdzie w szczególnych okolicznościach doraźne alianse mogą łączyć odmienne ugrupowania, ale ich trwała współpraca zdaje się sprzeczna z zasadą demokracji przedstawicielskiej, która polega na konkurencji. Ustrój ten zakłada pluralizm i rywalizację o władzę. Obywatele mają obdarzać nią tych, którzy obudzili w nich największe zaufanie swoimi projektami i kwalifikacjami. Opozycja kontroluje rządzących, którzy ze swoich poczynań zostają rozliczeni w kolejnych wyborach i mogą zostać zastąpieni przez swoich adwersarzy. Okazuje się jednak, że w PE mechanizm ten nie jest potrzebny, opozycja nie jest niezbędna, a konkurencję zastąpiła symbioza głównych stronnictw, które, jak z tego wynika, przestały się między sobą różnić.

Po ostatnich wyborach, które zmniejszyły ich stan posiadania, przyjmuje się, jako oczywiste, dokooptowanie do nich liberałów. Będziemy mieli więc całe tradycyjne spektrum europejskiej demokracji w jednym.

Można to potraktować jako jej triumf, tylko jeśli uznamy, że Europa osiągnęła polityczny ideał. Wszystkie podstawowe problemy zostały już w niej rozwiązane, ideowe spory odeszły w przeszłość i w rzeczywistości wszechogarniającego konsensu chodzi wyłącznie o dogadanie się, co do szczegółowych rozwiązań w konkretnych sprawach. Oznaczałoby to koniec historii i królestwo wiecznego pokoju. Ludzie przestali się różnić od siebie, wszyscy porozumieli się, czyli osiągnęli najwyższy możliwy poziom racjonalności i myślą tak samo, czyli wiedzą, że nie ma się o co spierać. Taka wersja wyziera z europejskich ośrodków opiniotwórczych i mediów głównego nurtu.

W świecie harmonii pojawiła się jednak zadra. Nie wiedzieć czemu i jak, zalęgli się w nim populiści i, rzecz jeszcze bardziej tajemnicza, mieszkańcy utopii spełnionej coraz częściej dają się im uwieść. Wyjaśnienia tego fenomenu ze strony najtęższych umysłów europejskich wydają się zadziwiająco proste. To źli ludzie, którzy nie byli w stanie sprostać konkurencji tych najlepszych, chcąc zrealizować swoje niepoparte kompetencjami ambicje, jęli buntować obywateli arkadii. A ci, którzy nie dorośli jeszcze do jej doskonałości, przestraszeni świetlaną, ale nieznaną im wcześniej perspektywą, uwięzieni w swoich fobiach i nawykach, ulegli demagogom.

Jak jednak wytłumaczyć, że margines wspierający populistów zamiast maleć, rośnie? I to mimo wzmożonej akcji pedagogicznej, którą za pomocą wszystkich dostępnych im środków – a dysponują ich przytłaczającą większością – aplikują mieszkańcom utopii ich zatroskani opiekunowie? Okazuje się, że wraz z postępem europejskiej demokracji narasta opór przeciw niej. Naturalnie, opór ze strony tych niedojrzałych, mniej wykształconych, zagubionych, których defekty wykorzystują populiści. Tylko jakim cudem w europejskiej utopii jest ich coraz więcej?

Takimi pytaniami europejskie elity się nie przejmują. Wiedzą, co trzeba zrobić, aby ocalić królestwo wiecznego pokoju. Przede wszystkim wydać bezpardonową wojnę populistom. W obronie wolności słowa należy podjąć bezwzględną walkę z fake newsami, czyli takimi, które mogą służyć jej przeciwnikom. Nakazem chwili jest ocenzurowanie internetu, w którym bezkarnie buszuje, kto chce, bo media tradycyjne generalnie zrozumiały i wychwalają obecne status quo. Konieczne jest karanie mowy nienawiści, czyli spotwarzania europejskich wartości i ich rzeczników. Trzeba uniemożliwić zamach na wolność, tolerancję i otwartość. Aby je chronić, nie wolno dopuścić do głosu wrogów. Trzeba rozbudować i zaostrzyć system prawny, aby skutecznie ścigać nienawistników. Tych, którzy nie zgadzają się na słuszne żądania gejowskiego lobby, naukowo udowodnione reguły gender czy negują wpływ człowieka na globalne ocieplenie i konieczne środki, które należy podjąć, aby mu zapobiec. Należy pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy obrażają współobywateli. Takich, którzy kwestionują aborcję, bo tym samym znieważają dokonujące jej kobiety; tych, którzy nie uznają równoprawności związków homoseksualnych, bo poniżają w ten sposób gejów; takich, którzy eksponują symbole religijne w przestrzeni publicznej, gdyż ubliżają tym niewierzących. Itd.

Należy bronić pluralizmu przed ultraprawicą, gdyż tacy, którzy nie uznają, że obecna chadecja jest jedynym dopuszczalnym konserwatyzmem, mają na celu zniszczenie wolności. Najlepiej byłoby więc w ten lub inny sposób zakazać istnienia opozycyjnych, przepraszam, populistycznych partii. Dopiero wówczas rozkwitłby pluralizm i pełna tolerancja.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 273b5b4c04

OGNIEM NA WPROST

Tęczowi księża

Kazimierz Sowa, zwany przez media księdzem, odniósł się do wygranych przez PiS wyborów. „Łączny wynik PiS, Konfederacji i Kukiza to znak, że Polska brunatnieje” – stwierdził człowiek, który z całego serca popierał Koalicję Europejską. O tyle to jest ciekawe, że w przypadku Sowy można się doszukać pierwszych objawów schizofrenii, czyli rozdwojenia jaźni. Z jednej strony lata po mieście w koloratce, tak więc reprezentuje (przynajmniej teoretycznie) wartości chrześcijańskie, a z drugiej opowiadając się światopoglądowo za konstrukcją Schetyny, popiera zboczenia, deprawację dzieci w szkołach zgodnie ze standardami WHO oraz parady, na których obraża się Kościół katolicki. Jest co prawda przeciwny wejściu Wiosny do przyszłej koalicji, ale bynajmniej nie ze względu na głoszone przez tę partię antywartości, tylko ze względu na narcyzm jej lidera. Od lat nikt, komu dobro Kościoła leży na sercu, nie może znaleźć odpowiedzi na pytanie, co ten człowiek robi jeszcze jako ksiądz, podobnie jak jego duchowy brat Wojciech Lemański? Ale jak wiadomo, nie takich jak on hołubiono w biskupstwach.

Jeżeli ktoś w Polsce brunatnieje, to coraz więcej lewicowych aktywistów wspieranych przez aktorów i celebrytów. Albowiem jedną z najbardziej wyróżniających cech faszyzmu jest nietolerowanie jakiegokolwiek innego światopoglądu. Nasza windsurferka, mistrzyni i dwukrotna wicemistrzyni świata w olimpijskiej klasie RS:X oraz brązowa medalistka letnich igrzysk olimpijskich w Londynie Zofia Klepacka zdążyła przeżyć napaść Kingi Rusin pod lokalem wyborczym i chamstwo aktora Borysa Szyca. Do tego komba doszlusował również, a jakże, lewicowy aktywista Damian Maliszewski – muzyk samouk, zawód wyuczony: ślusarz-mechanik. Ich hejt na Klepacką wziął się stąd, że powiedziała kategoryczne „nie” promocji zboczeń w kontekście działań środowiska LGBT. Maliszewski wystosował apel do prezesa Polskiego Związku Żeglarstwa o odebranie Klepackiej prawa do uprawiania sportu z powodu tego, że ta olimpijka ma rzekomo publikować „na swoim oficjalnym fan page filmy pełne agresywnej retoryki, w których regularnie atakuje, obraża i dyskryminuje osoby homoseksualne”. Temu całemu towarzystwu, które próbuje zdyskredytować naszą wybitną sportsmenkę, polecam film Ingmara Bregmana „Jajo węża”. W tym dziele widać doskonale to, co niebawem nastąpi, zarodek tego, co będzie. Faszyzm, proszę państwa.



Fot. Andrzej Wiktor

Francuski senat zatwierdził rządową ustawę o odbudowie katedry Notre Dame. Jednocześnie zastrzegł, że świątynia musi zostać przywrócona do stanu dokładnie takiego jak przed pożarem. To kolejna porażka po przegranych z ugrupowaniem Marine le Pen wyborach do Parlamentu Europejskiego prezydenta Emmanuela Macrona. Rząd pod jego przywództwem rozpisał wcześniej międzynarodowy konkurs architektoniczny na „nowoczesną” odbudowę iglicy. Jak z rogu obfitości wysypały się pomysły stworzenia ogrodu na dachu katedry, szklanych sklepień, „niekończącej się iglicy światła” czy nawet urządzenia basenu na szczycie świątyni. Wszystko to w duchu multikulturowości, byle dalej od katolickich fundamentów budowli. Co ciekawe, kiedy głowa państwa francuskiego wzywała do „kreatywnej odbudowy”, socjalistyczna burmistrz Paryża Anne Hidalgo opowiedziała się za wierną rekonstrukcją, określając się jako „konserwatystka” w tej sprawie. I tak Macron ze swoją małżonką obeszli się smakiem, pozostając dalej z ruchem „żółtych kamizelek” na plecach.

12–14 lipca na lotnisku w Ornecie (warmińsko-mazurskie) z okazji 75. rocznicy lądowania 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej gen. Stanisława Sosabowskiego pod Arnhem (operacja „Market Garden”) odbędzie się debiut Warmińskiego Wieloboju Spadochronowego Driel-Osteerbeek. Na to niecodzienne wydarzenie złoży się pokaz dla publiczności oraz treningi oddziałów spadochronowych. Na terenie lotniska zostanie przedstawiona obrona terenu lądowania oddziałów spadochronowych, a następnie przebicie się sił powietrzno-desantowych do miasta z przeprowadzeniem walk z wojskami niemieckimi. W porze nocnej (zgodnie z historią) zostanie pokazany najciekawszy epizod dla widzów – forsowanie rzeki Ren przez polskich spadochroniarzy. W poszczególnych prezentowanych epizodach udział wezmą rekonstruktorzy ukazujący holenderski ruch oporu. W drugim dniu imprezy odbędzie się wielobój spadochronowy w rejonie Jeziora Mieczowego. Historyczna broń, środki pirotechniczne, spadochroniarze-rekonstruktorzy, grochówka – wszystko na miejscu. Cytując klasyka – będzie się działo! Tylko inaczej.

Andrzej Rafał Potocki

eprasa.pl 273b5b4c04



Zobowiązanie Solidarności

Plakaty przedstawiające kadr z filmu „W samo południe" z Garym Cooperem w roli głównej. Szeryf personifikujący wartości cywilizacji łacińskiej, uchwycony w zdecydowanym kroku ze znaczkiem Solidarności i kartką z napisem „wybory" zamiast broni. Niezwykła, podniosła atmosfera i ogromna nadzieja na prawdziwie wolną Polskę. W takiej atmosferze 30 lat temu Polacy szli do urn, by pierwszy raz po wojnie oddać głos w nie w pełni wolnej, ale przełomowej elekcji, a jej wynikami przypieczętować wolę odrzucenia systemu komunistycznego w Polsce i w Europie.

Wybory z czerwca 1989 r. nie były w pełni wolne. To stwierdzenie nie jest sprawą oceny czy politycznych upodobań, lub animozji. Zgodnie z zapisami obowiązującej w 1989 r. ordynacji wyborczej na 460 miejsc w Sejmie aż 299 zostało zagwarantowanych komunistom i ich sojusznikom. Gra toczyła się więc w istocie o część ław sejmowych w liczbie pozostałych 161 miejsc. Trzeba także zaznaczyć, że w zakresie wspomnianych mandatów ówczesne władze mogły również rywalizować, stawiając w szranki z Solidarnością formalnie bezpartyjnych kandydatów. Zostać posłami miały osoby, które zdobędą ponad 50 proc. głosów wyborców. Wybory do Senatu były już wolne.

Trzydzieści lat temu, 4 czerwca 1989 r., bez broni, ale dzięki nadziei, odwadze i solidarności, dzięki naszemu wielkiemu rodakowi Janowi Pawłowi II, jak wspominał prezydent Lech Kaczyński, Polacy wygrali pokojową walkę z komunistyczną władzą. Nie były to w pełni demokratyczne wybory, zasady, na których je przeprowadzono, stanowiły kompromis, ale otworzyły one drogę do wolnościowych zmian. Przebudowa ustroju następowała stopniowo. Trzeba bowiem pamiętać, że po czerwcowym przełomie rząd komunistyczny utrzymał się jeszcze przez trzy miesiące, do 12 września 1989 r., do chwili uzyskania wotum zaufania przez gabinety premiera Tadeusza Mazowieckiego. Rząd wyłoniony jesienią składał się zarówno z ludzi Solidarności, jak i z komunistów. Rzeczywistość nie była tak idealistyczna, jak stara się ją dziś niejednokrotnie przedstawiać. Pierwsze prawdziwie wolne wybory odbyły się dopiero dwa lata później, a w ich wyniku uformowano rząd premiera Jana Olszewskiego. Można się zastanawiać nad alternatywnymi wersjami biegu wydarzeń, ale trzeba doceniać przełom roku 1989, który utorował nam ścieżkę do przystąpienia do Unii Europejskiej i NATO.

Stanowcze opowiedzenie się przez Polaków za wolnością zapoczątkowało zmiany w pozostałych państwach bloku komunistycznego. Polska zmieniła Europę. Po nas Czesi zorganizowali „aksamitną rewolucję", a Niemcy zdecydowali, że musi runąć mur berliński. Dziesięć lat temu w orędziu z okazji 20. rocznicy wyborów kontraktowych prezydent Lech Kaczyński mówił, że to ruch Solidarności sprawił, że zniknęła dzieląca Europę żelazna kurtyna. „Polacy przywrócili znaczenie podstawowym wartościom, które dają ludziom wiarę i siłę. Pokazali, że i w ludzkim życiu, i w międzynarodowej polityce trwałe może być tylko to, co jest zbudowane na prawdzie, wolności, solidarności. Na przykazaniach Dekalogu".

Przemiany ideologiczne widoczne w Europie Zachodniej, nachalnie kopiowane w Polsce, czego przykładem są choćby lewackie inicjatywy w czasie kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego, są przejawem wojny z zachodnią cywilizacją. Trzydziesta rocznica zwycięstwa Solidarności – ruchu nierozerwalnie związanego z wartościami chrześcijańskimi – to nie tylko okazja do wspomnień i podsumowań, lecz także moment zobowiązujący do ciężkiej pracy nad ich utrzymaniem i krzewieniem, tak aby to wszystko, o co walczyło pokolenie naszych rodziców, nie zostało zaprzepaszczone.



Maciejowi Burzykowskiemu

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

Taty

składają

koleżanki i koledzy z Grupy Medialnej Fratria

eprasa.pl 273b5b4c04

Zebrała **Dorota Łosiewicz**

Nowoczesność

W Dolinie Krzemowej odzyskiwaniem nieoddanych do biblioteki książek zajmuje się specjalny robot. Biblioteka Publiczna w Mountain View testuje nowego pracownika: robota dostawczego, który odwiedza mieszkańców i odbiera od nich zaległe książki oraz inne materiały biblioteczne. O sprawie informuje portal booklips.pl. Book bot to pierwszy robot na usługach biblioteki. Stworzony został w Area 120, oddziale Google zajmującym się eksperymentalnymi produktami. Mierzy ok. 75 cm wysokości, waży 45 kg i porusza się z prędkością 7,5 km/h. Book bot „cieszy się tak dużą popularnością, że trzeba go rezerwować (za pomocą specjalnej aplikacji) z tygodniowym wyprzedzeniem. Gdy zbliża się na miejsce, osoba zamawiająca odbiór książek otrzymuje informacje na ten temat na swój telefon" – informuje portal. W przyszłości biblioteka rozważa wykorzystanie robotów również do dostarczania wypożyczonych książek. Dolina Krzemowa – i wszystko jasne.



2 450

– tyle złotych wynosi proponowana przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej wysokość minimalnego wynagrodzenia w 2020 r. To 200 zł więcej niż dotychczas.

16

– tyle złotych brutto wynosi zaś proponowana przez MRPiPS minimalna stawka godzinowa w 2020 r. Teraz jej wysokość to 14,70 zł.

46,9

– tyle procent wynosi prognozowana relacja płacy minimalnej w 2020 r. do przeciętnego wynagrodzenia.

Jakie prawa człowieka?



Całe siedmioosobowe kierownictwo Amnesty International, czyli organizacji walczącej z naruszaniem praw człowieka, podało się do dymisji, z czego pięć osób już odeszło. To efekt dochodzenia w sprawie mobbingu, które wykazało także przypadki molestowania seksualnego i dyskryminacji. Kontrolę wszczął nowy szef organizacji Kumi Naidoo. Okazała się niezbędna po samobójstwach dwóch pracowników organizacji. Prawa człowieka? Nie w Amnesty International!

Koniec ze średniowieczem

Inna międzynarodowa organizacja – WHO – kończy ze średniowieczem! Nie będzie już klasyfikować transseksualizmu jako zaburzenia psychicznego. O sprawie informuje m.in. serwis rp.pl. Od kilku dni transseksualizm nie jest definiowany jako „zaburzenie tożsamości płciowej", tylko jako „niezgodność płci". „Tym samym transseksualizm został wykreślony z dokumentów Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób z rozdziału poświęconego zaburzeniom psychicznym i będzie uwzględniany w rozdziale poświęconym zdrowiu seksualnemu" – informuje rp.pl. Najlepiej niech WHO zlikwiduje wszystkie zaburzenia psychiczne, wówczas wszyscy żyjący Elvisowie będą mogli być wreszcie tym, kim się czują!



eprasa.pl 273b5b4c04



Sfrustrowany jak lewak

Bezrobotny, mieszkający z rodzicami – tak wygląda przeciętny berliński aktywista związany ze skrajną lewicą. Informację podał Federalny Urząd Ochrony Konstytucji, czyli niemiecki kontrwywiad, a o sprawie pisał m.in. portal wPolityce.pl. „Raport odnosi się do osób, które zostały zatrzymane przez niemiecką policję w związku z motywowanymi politycznie atakami na inne osoby. 84 proc. zatrzymanych to mężczyźni. Aż 72 proc. z nich to osoby w wieku 18–29 lat. Jedna trzecia lewackich aktywistów to ludzie bezrobotni, a 92 proc. z nich mieszka z rodzicami" – czytamy na wPolityce.pl. Ech ten niemiecki dobrobyt. Ludziom nie chce się pracować, mieszkają z rodzicami, a frustrację odreagowują, tłukąc innych. A popracować przy zrywaniu szparagów to nie łaska? Przy ciężkiej pracy agresja od razu by wyparowała.

> Jesteś żałosna, dziewczynko. Oddaj te medale i nie noś orła, bo przynosisz wstyd" – napisał na Instagramie Borys Szyc pod adresem Zofii Klepackiej. Jaka opozycja, tacy wspierający ją artyści.



Fot. Andrzej Wiktor, YouTube, Shutterstock (x4)

O niebiosa!

Krąg parheliczny oraz słabo widoczne łuki Wegenera – to zjawiska optyczne, które zaobserwowano po wyborach na styku województw łódzkiego, opolskiego i śląskiego. Czyli nawet niebiosa nie mogą wyjść z zadumy nad Polską...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Biegunka w stolicy



Dominik Zdort

Moja nauczycielka polskiego z liceum, nieodżałowana prof. Teresa Holzerowa, naśmiewając się z komunistycznej nowomowy, przywoływała często zbitkę słów „dalsze doskonalenie". Coś już jest doskonałe, ale trzeba to nadal doskonalić.

Dziś taką samą zasadą kieruje się hydra politycznej poprawności, tolerancji i ekologizmu.

Myśleliście, że w Warszawie skończy się na podpisaniu przez prezydenta deklaracji LGBT, wspieraniu gejowskich klubów sportowych i finansowaniu świetlic z darkroomami? Sądziliście, że poprzestaną na zwężaniu ulic w centrum, że będą w końcu usatysfakcjonowani, kiedy utrudnią ludziom dojazd do miasta?

Ależ byliście naiwni. Piewcy nowoczesności nigdy nie będą nasyceni, zawsze znajdą nowe pomysły, aby móc zaspokajać swoje ogromne ideologiczne apetyty.

Bo, tak jak napisałem – chodzi o to, aby wciąż prowadzić „dalsze doskonalenie": zaspokajać, a nie zaspokoić.

Już mieliście nadzieję na trochę spokoju – a tu niespodzianka! Teraz nastąpi „dalsze zwężanie", tym razem najbardziej korkujących się rond w centrum Warszawy. Żeby bardziej skomplikować życie, tam gdzie są przejścia podziemie, zostaną wprowadzone na powierzchni dodatkowe światła i pasy dla pieszych.

A biegunka lewackich pomysłów trwa. Jak wiadomo, od roku 2021 na terenie Unii Europejskiej sprzedaż jednorazowych naczyń, patyczków higienicznych czy słomek do napojów będzie nielegalna. Ale nowoczesny prezydent stolicy Polski cały czas przebiera nogami. Po co ma czekać dwa lata, skoro można już, zaraz, natychmiast. I zarządza zakaz używania słomek i jednorazowych sztućców w Warszawie. Na razie przepis dotyczy urzędów i jednostek podlegających ratuszowi, ale przecież wiadomo, że apetyt rośnie w miarę zakazywania. W następnej kolejności zabroni się używania słomek w miejscach publicznych, później będzie można z nich korzystać tylko w prywatnej przestrzeni zamkniętej. Ale gdy do mieszkania wejdzie inkasent i zobaczy plastikową słomkę, będzie musiał to zgłosić straży miejskiej.

Całe szczęście, że zachowano swego rodzaju „sklepy za żółtymi firankami". W „szczególnie uzasadnionych przypadkach" ratusz będzie mógł wydać zgodę na używanie plastiku. Nawet nie śmiem się domyślać, kogo pan prezydent będzie chciał w taki sposób wyróżnić.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 273b5b4c04

RZECZY POSPOLITE

Segregator



Tomasz Łysiak

Ponieważ uważam, że lewacy zagrabili konserwatystom ideę dbania o planetę, która to planeta dostała nam się we władanie zgodnie z Bożym planem, więc sam troszczę się o naturę. Na przykład wcale nie uznaję za konieczne korzystanie z plastikowych toreb w sklepach w nie wiadomo jakiej ilości, lecz staram się korzystać z tych wielorazowych – tak jak to było za czasów moich dziadków i jeszcze rodziców. Ale jeśli akurat potrzebuję, to spokojnie biorę dodatkową reklamówkę, żeby we wszystkim zachować zdrowy rozsądek.

Teraz na tapetę przyszło segregowanie śmieci. Otóż mieszkam w tzw. segmencie. I nawet byłbym skłonny oddzielać papier od plastiku, a szkło od marchewki. Tyle że... nikt mi tego nie ułatwia. Otóż okazuje się, że abym segregował poprawnie – muszę mieć worki w różnych kolorach i tam umieszczać odpowiednie śmieci. Na przykład mięso i kości nie w worku bio, lecz w odpadach „zmieszanych" (ale nie wstrząśniętych), a karton po mleku, oczywiście (to logiczne) w tworzywach sztucznych i metalach. To jeszcze bym przeżył, naprawdę. Ale nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego tylko odpady bio mają być odbierane raz w tygodniu (przynajmniej tak jest w Warszawie). Te zmieszane już raz na dwa tygodnie (czyli przypominam – te, gdzie mięso). A plastik, szkło i metale – raz na miesiąc.

I tu leży główny problem. Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, jak to wygląda w sensie zdrowia i higieny? Oto puszkę po tuńczyku czy butelkę po oliwie, puszkę po pasztecie (nie jem pasztetu w puszce, ale daję jako przykład) – mam przez miesiąc (przez 30 dni!) trzymać w plastikowym koszu, kilka metrów od moich okien, przy wejściu do domu? Kości z kurczaka przez dwa tygodnie? Także w trakcie letnich upałów?

A może powinienem na własny koszt wybudować betonowy schron z klimatyzacją? Inne wyjście jest: poza workami na śmieci, które dostałbym od miasta – poproszę także maskę przeciwgazową i muchozol.

Niestety – mój zapał do bycia eko, pro i bio pada na mordę, leży i kwiczy. Bo czuję, że to na moje barki ktoś składa problem, który nie powinien być mój, i jednocześnie straszy mnie karami finansowymi. Niestety, nie będzie ze mnie segregator w takiej sytuacji.

Bul, chonor i opczyzna



Piotr Cywiński

Coś poszło nie tak! Pszeciesz njusłik pisał i radjo zet tesz muwiło, i sondarze pszetstawiali, rze to koalicja fspulnej sprawy miała wygrać z tą watachą, stroncić te pisowską szarańczę, a tu masz... –...chdikk! Ciemniaki, wieśniaki, pleps, prymityw po potstawuwkah nie posłóhał! Jak morzna było odżócić partje najbardziej inteligętnyh z inteligętnyh, najmondżejszyh z mondryuh, gotowych do fspułpracy, lódzi kóltóry, wrarzliwyh na kszywdy, a pszede fszystkim i wiedzoncyh jak robić i z kim, rzeby było tak dobże jak było, gdy było...?

A jaką gotowość do poświenceń wykazali, nawet ukohane psy oddawali do shroniska, rzeby muc wyjechać za granicę i podjonć trót pomnarzania fspulnego dobropku. Ile było tych ostszerzeń, rze to obciah głosować na tych od tego... Ale tamci mieli tefałpe, propagande zrobili sobie. Koalicja takiego fsparcia nie miała, ci na wskroś obywatelscy nie hcieli tam hodzić, aby godności nie uwłaszczyć. Za to na ulice odwarznie wyhodzili, do lódu lgli, i grafika była, rzeby go oświecić, kolorowa, ze sromem jako najświentszym sakramętem, i w internecie z matką boskom i dzieciontkiem w tenczowych aureolach i z bananami była, ale te zakodowane na kościuł ćwoki nawet obraskowego pszekazu nie pojeli, makabra!

Niektuży z koalicji okazóją słabość i hcą emigrować. Nie ma co się obrarzać! Sókcesy tszeba podkreślać bo są. Jeden wybitnie inteligętny, który ma język nie od parady i wie coś o robieniu laski Amerykanom... – dostał się do europarlamętu? Dostał! I ten drugi, hociasz tak hory, rze stracił pszytomność za kierownicą i pszejehał staruszkę... – nic to, tesz się poświenci i pojedzie do Brukseli, jak w 1980/1981, gdy był stypendystą wysłanym do USA. I jedna lekarka, ktura z rosyjskimi patomorfologami ramię w ramię, tesz jest gotowa, i druga, ktura mimo rzałoby po menrzu prezydencie pojedzie, i ten, ktury wreszcie będzie mugł dobże skończyć... – sam by nie dał rady, a z koalicją wyszło? Wyszło, ponad dwódziestu fspaniałych...! Fszyscy sprawdzeni na użendach i w boju, wytrwali i wierni sprawie.

Więc nie ma co ronk załamywać. Pszywutcy się nie łamią i dają pszykład sfoją postawą. Jak powiedział ten głuwny, koalicja będzie się jeszcze rozwijać i rosszeżać, jedynie jej nazwę tszeba zmienić. Ten mniej głuwny lódowiec tesz nie widzi powodu do dymisji, tesz jest „spokojny o sfoją pozycję", i tesz pszyżekł, rze „zrobi fszystko, rzeby na jesieni"... Morze poszło nie tak, pewnie czóją bul, ale mają jeszcze sfuj chonor i wiarę, że opczyzna...

eprasa.pl 273b5b4c04

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna
WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: FOT. ANDRZEJ WIKTOR X2, MATEUSZ SZYMANSKI/SHUTTERSTOCK.COM, ALEXANDROS MICHAILIDIS/SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 273b5b4c04



O wynikach wyborów do Parlamentu Europejskiego, zaskakującej frekwencji, popularności Beaty Szydło, politycznej bilokacji, atakach na Kościół, roli szefa Rady Europejskiej w kampanii oraz o relacjach z Donaldem Trumpem – z prezydentem ***Andrzejem Dudą*** *rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło*

Nie boję się Tuska

Frekwencja w wyborach do europarlamentu przeszła najśmielsze oczekiwania.

Andrzej Duda: I należy za to Polakom podziękować. Pamiętam, gdy byłem jeszcze europosłem, politycy z Zachodu z politowaniem kiwali głowami, gdy się okazywało, że w Polsce tak mała grupa obywateli jest zainteresowana wyborami do Parlamentu Europejskiego.

Wydawało się, że wynik powyżej 30 proc. będzie bardzo dobry.

Liczyłem na to, że frekwencja będzie wyższa. Stajemy się coraz bardziej świadomym społeczeństwem. Świadomym również naszej roli w Europie. Jesteśmy dużym państwem, szybko się rozwijającym, podnosi się poziom życia. Cieszę się, że zaczynamy jako społeczeństwo brać w swoje ręce sprawy związane z naszym członkostwem w Unii. Jako prezydent niejednokrotnie apelowałem o wzięcie udziału w tych wyborach.

Takie apele kierowane były z każdej politycznej frakcji, ale czy to by wystarczyło do takiej mobilizacji? Może chodzi o naprawdę gorący finisz kampanii? Co ludzi wyciągnęło z domów?

Czynników było wiele. Najogólniej mówiąc, Polacy w większości opowiedzieli się za tym, co proponowało Prawo i Sprawiedliwość, oraz w jakiś sposób odnieśli się do wydarzeń ostatnich tygodni. Poza tym coraz więcej się mówi o sprawach europejskich. Nie tylko w kontekście korzyści płynących z Unii, lecz także brexitu, problemów migracyjnych, bezpieczeństwa. Myślę, że również przez to wzrosła świadomość, że to w europejskich instytucjach podejmowane są decyzje, które mają wpływ na nas w Polsce, że problemy Europy są naszymi problemami.

Stara prawda w polityce jest taka, że łatwiej jest kogoś zmobilizować „przeciwko" niż „za". Co Polacy odrzucili w tym głosowaniu?

Jedną rzecz zobaczyliśmy bardzo wyraźnie – Polacy nie lubią radykalizmu. To ich zniechęca, odpycha. Dlatego takim echem odbiło się np. wystąpienie pana Jażdżewskiego na Uniwersytecie Warszawskim. Ludzie widzieli, że z pierwszych rzędów z aprobatą słuchali tego liderzy Koalicji Europejskiej. Było też – na ostatnim marszu opozycji – wystąpienie Donalda Tuska. Porównywanie polityków europejskich, nawet z tych bardzo prawicowych partii, do nazistów, jest, delikatnie mówiąc, nie na miejscu. Szczególnie gdy mówi to polityk, który pełni bardzo ważną funkcję w Unii. Myślę, że część wyborców mogła zniechęcić również postawa polityków opozycji podczas powodzi. Gdy ludzie martwią się o swoje bezpieczeństwo, kiedy zalewane są ich domy, wizyta polityków opozycji w ładnych garniturach rozdających im pączki to wyraz niezrozumienia sytuacji i braku takiej zwykłej ludzkiej wrażliwości.

Mieliśmy też w tych wyborach skrajności także z drugiej strony, tego też Polacy się przestraszyli?

Oczywiście. Ci, którzy głosili skrajnie prawicowe hasła, nie przekroczyli progu wyborczego i w europarlamencie ich nie będzie. A po lewej stronie... Myślę, że oczekiwania Koalicji Europejskiej były znacznie większe niż ich wynik.

Jako broń ostateczna zaprezentował się Donald Tusk, jego poparcie miało dać Koalicji Europejskiej wygraną.

I to, jak widać, nie zadziałało. Cały ten plan się nie udał. To wokół wystąpień Donalda Tuska robiono największy szum. Widzieli panowie reakcję polityków Koalicji Europejskiej, gdy ogłoszono pierwsze, przybliżone, wyniki wyborów? Wtedy różnica, która dzieliła ich od PiS, nie była jeszcze tak duża, jak się ostatecznie okazało, a i tak wywołała u nich szok. Ewidentnie się spodziewali zwycięstwa, a wyszła zdecydowana porażka.

> Nie wykluczam tego, że Donald Tusk zechciałby stanąć na czele jakiegoś nowego ruchu politycznego. Tak jak kiedyś wyciągnął polityków z Unii Wolności i stworzył Platformę Obywatelską. Być może powtórzy ten manewr z Koalicją Europejską

Szef Rady Europejskiej brał czynny udział w tej kampanii, aż wreszcie całkowicie odkrył karty, przestał udawać apolityczność, wprost wskazał, na kogo głosować. Czy to oznacza, że wyczuł silne oparcie w Koalicji Europejskiej, które pozwoliłoby mu miękko wylądować na powrót w polskiej polityce?

Nie wykluczam tego, że zechciałby stanąć na czele jakiegoś nowego ruchu politycznego. Tak jak kiedyś wyciągnął polityków z Unii Wolności i stworzył Platformę Obywatelską. Być może powtórzy ten manewr z Koalicją Europejską, a szczególnie z Platformą. Wyciągnie tych, którzy mu będą

Fot. Andrzej Wiktor (x2)

eprasa.pl 273b5b4c04

pasowali, dołączy jeszcze parę osób z Nowoczesnej, może z SLD, wtedy PO podzieli los Unii Wolności. I wtedy będzie mógł opowiadać, że to, co stworzył, to jakaś nowa jakość w polityce, że ma czystą kartę.

Czy to może być przygotowywanie sobie zaplecza do przejęcia Pałacu Prezydenckiego w 2020 r.?

Zobaczymy. Myślę, że będą i inni kandydaci w wyborach prezydenckich. Zapewne jak zawsze możemy w tym wyścigu liczyć na pana Janusza Korwin-Mikkego.

Tusk to byłby jednak poważniejszy kontrkandydat. Ma już jeden start w tych wyborach za sobą i bolesną porażkę z Lechem Kaczyńskim. Wielu widzi go jako pańskiego głównego kontrkandydata. Czuje pan jego oddech na plecach?

Nie. Robię swoje.

Nie boi się pan bezpośredniego starcia z nim?

Panowie, mam za sobą doświadczenie rozpoczynania kampanii z sondażowym poparciem 10–12 proc. Mój konkurent – Bronisław Komorowski – miał wówczas 75-proc. poparcie. Takie były realia. Nie można się było bać, tylko trzeba było konsekwentnie pracować. Tak było, gdy spotykałem się z 50 osobami, i tak samo, gdy przychodziło 5 tys. osób.

Wygrana choćby jednym mandatem miała być dla Koalicji Europejskiej punktem zwrotnym, pokazaniem swoim wyborcom, że da się zabrać PiS władzę. Ten efekt psychologiczny jest dla polityków ważny?

Oczywiście, że chodzi o efekt psychologiczny, dla siebie, ale też dla wyborców, na przyszłość.

Pamiętam, jak PiS zażarcie walczyło o zwycięstwo w poprzednich wyborach do PE. Nawet najmniejszą różnicą. Byłem wtedy szefem kampanii i bardzo to przeżywałem. Po wcześniejszej przegranej PiS w wyborach parlamentarnych bardzo chciałem, byśmy wygrali choćby o włos.

Opozycja tego efektu jednak nie osiągnęła. Jaki mamy więc punkt wyjścia przed jesienią, przed wyborami do polskiego parlamentu?

Dla dzisiejszej opozycji to na pewno nie jest sytuacja korzystna. W oczywisty sposób przewagę zyskuje Prawo i Sprawiedliwość. Gdy byłem jeszcze w partii, mówiliśmy, że wybory europejskie są dla nas najtrudniejsze. Że nasz elektorat nie był nimi za bardzo zainteresowany. Dziś już nikt tak nie powie. Ludzie z mniejszych miejscowości i wsi wiedzą, że sprawy Unii są ich sprawami, że ważne jest, by mieć silną reprezentację w Brukseli. Taką, która będzie broniła polskich interesów. To jest kolejny element, który wpłynął na tę imponującą frekwencję. Nawet mimo powodzi. Wydawało się, że w takiej sytuacji ludzie będą się zajmowali tylko swoimi problemami. Byłem na Podkarpaciu, widziałem, że w wielu miejscach sytuacja była naprawdę trudna. A mimo to poszli zagłosować. Taką postawą jestem autentycznie zbudowany, bo to pokazuje, że stajemy się coraz bardziej dojrzałym europejskim społeczeństwem.

Z czego się bierze taka zmiana perspektywy, widzenia czegoś więcej niż własne podwórko?

Może z tego, że coraz lepiej nam się żyje, że ludzie są zamożniejsi. Nie ma konieczności myślenia tylko o tym, jak przeżyć od pierwszego do pierwszego. To jest zasługa PiS, dobrych rządów, dobrej sytuacji ekonomicznej i uruchomienia programów prorodzinnych, takich jak 500+. Ludziom po prostu żyje się lepiej.

Czy to zdecydowane zwycięstwo nie zadziała demobilizująco na partię rządzącą? Ludziom jest lepiej, wygrywamy kolejne wybory, nie mamy z kim przegrać.

To jest pytanie, na które powinien odpowiedzieć sobie przede wszystkim prezes Jarosław Kaczyński.

W zasadzie odpowiedzi udzielił publicznie, cytując podczas wieczoru wyborczego wiersz Władysława Broniewskiego „To za mało, za mało, za mało”.

Jarosław Kaczyński to doświadczony polityk, ma świadomość tego zagrożenia i o nim myśli. Bo to jest realny problem, ale po wyniku wyborów europejskich widać, że PiS potrafiło się zmobilizować.

Obie strony wystawiły naprawdę mocne drużyny. Na listach premierzy, ministrowie. Jakie to miało znaczenie?

Warto podkreślić siłę drużyny Koalicji Europejskiej, na której listach do wyborów poszła solidna reprezentacja Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. I weszła. Gdyby ktoś im w 1987 r. powiedział, że na koniec swojej kariery wylądują w Parlamencie Europejskim i będą zarabiali dziesiątki tysięcy w wymienialnej walucie, toby w to chyba nie uwierzyli.

Wychodzi na to, że koalicjant Czarzasty ograł koalicjanta Schetynę.

Tak to wygląda. W Platformie Obywatelskiej musi panować teraz ogromna frustracja. Wielu działaczy PO straciło swoją szansę na rzecz ludzi, którzy wcześniej byli ich politycznymi przeciwnikami. I ci przeciwnicy dostali od nich miejsca na listach i na ich plecach wjechali do europarlamentu. Wiem, jakie nastroje panują w takim momencie w partyjnych strukturach. Gdy przychodzą wybory, to wewnątrz ugrupowania jest straszliwa konkurencja, a co dopiero, gdy miejsce dostaje ktoś z zewnątrz.

Czyli do jesieni już Koalicji Europejskiej nie będzie?

Różne myśli muszą się teraz kotłować w głowach uczestników tego układu. Ciekawe, co naprawdę myślą liderzy PSL. Chyba tylko SLD nie ma na co narzekać. Idąc samodzielnie, takiego wyniku Włodzimierz Czarzasty by nie osiągnął.

A co nam to mówi o stanie lewicy, skoro potrzebuje ona dosyć egzotycznych koalicji, by coś osiągnąć?

Lewicą światopoglądową w Polsce jest dzisiaj Platforma Obywatelska, która przez lata próbowała skonsumować SLD. I teraz właściwie do tego doszło, lecz rachunek za tę konsumpcję może być wysoki.

eprasa.pl 273b5b4c04

Pod koniec kampanii byliśmy świadkami bezprecedensowego ataku na Kościół. Pod słusznym hasłem piętnowania pedofilii rozpoczęła się prawdziwa nagonka na wszystkich księży, również na wspierających ich wiernych. Były także akty profanacji, np. przemalowywanie aureoli Matki Boskiej na tęczowo czy szokujące przedstawianie Najświętszego Sakramentu na marszu równości w Gdańsku. Może ludzie poczuli, że ktoś podnosi rękę na tak ważne dla nich wartości i poczuli się w obowiązku zareagować?

Po wspomnianej już wypowiedzi pana Jażdżewskiego wielu ludzi na pewno poczuło się dotkniętych. Jestem uczulony na brak poszanowania ludzkiej godności. Jeżeli ktoś w tak zdecydowany sposób atakuje instytucję taką jak Kościół, której ufa wielu Polaków, w której ludzie szukają pomocy duchowej, która jest dla nich oparciem w trudnych chwilach, to taką wypowiedź odbiera się bardzo osobiście. Co ma sobie pomyśleć chodzący do kościoła człowiek, który nagle słyszy, że „polski Kościół zaparł się Ewangelii, zaparł się Chrystusa"? Uczestnictwo we mszy św. jest dla kogoś ważne, aż tu ktoś mu mówi: „Głupi jesteś, że tam chodzisz".

> Gdyby ktoś ludziom PZPR w 1987 r. powiedział, że na koniec swojej kariery wylądują w Parlamencie Europejskim i będą zarabiali dziesiątki tysięcy w wymienialnej walucie, toby w to nie uwierzyli

Po przegranych wyborach mądrość etapu jest chyba nieco inna. Chyba poczuli, że przeholowali. Jak pan ocenia np. redaktora Tomasza Lisa, który pisze, że oczekiwałby szacunku dla wiary i katolików?

Niezależnie od wcześniejszych wypowiedzi pana Lisa trudno się z tymi słowami nie zgodzić. Ludzie oczekują szacunku. Panowie, jeśli jest wzajemny szacunek, to można się z sobą nawet bardzo nie zgadzać. Mieć bardzo różne poglądy i je między sobą wymieniać w rzeczowej dyskusji.

Księżom strach zagląda w oczy. Mówią z ambony, że są atakowani, obrażani na ulicach.

Jestem tym zaniepokojony. Choć oczywiście Kościół powinien w bardzo zdecydowany sposób zwalczać wszystkie zjawiska, które mają charakter kryminalny. Mówimy przecież o pedofilii, poważnym przestępstwie, które powinno być ścigane z pełną determinacją. Oczekiwałbym, że Kościół wyciągnie konsekwencje w ramach swojej instytucji. Tak jak od państwa oczekuję determinacji w ściganiu sprawców takich przestępstw. Kościół to ściganie musi wspierać. Tak uważam jako obywatel i człowiek wierzący.

Wracamy do drużyny, tym razem tej dowodzonej przez Jarosława Kaczyńskiego. Nie będzie brakowało w krajowej polityce tych popularnych ministrów, którzy dostali mandaty europejskie?

Dobrze, że w Parlamencie Europejskim mamy silną reprezentację – z lewicy, prawicy i centrum. Mam tylko jedną prośbę do wszystkich naszych posłów w Brukseli: by jak najlepiej reprezentowali polskie interesy. Nie może być tak, jak widzieliśmy poprzednio, że do działań sprzecznych z interesem Polski wykorzystywano europejskie instytucje, bo nie zgadzano się z demokratyczną decyzją obywateli podjętą w wyborach. Zasiadasz w Parlamencie Europejskim, ale zostałeś wybrany przez Polaków i twoim obowiązkiem jest bronić tam polskich interesów.

Na pewno zrobiło się panu ciepło na sercu, kiedy zobaczył pan wynik wicepremier Beaty Szydło – ponad pół miliona głosów. Nawet żartowano, że przeżywa dramat, bo nie osiągnęła progu wyborczego, zdobywając „tylko" 3,9 proc. wszystkich głosów oddanych w kraju.

Mam szczególny, osobisty stosunek do pani premier, do Beaty, bo była szefową mojej kampanii i bardzo dużo jej zawdzięczam. Dodawała mi sił swoją postawą, wielkim spokojem i ciepłem. Gratulowałem jej z całego serca tego wyniku. Tak olbrzymie poparcie to powód do wielkiej satysfakcji.

Widziałby pan Beatę Szydło za rok w kampanii wyborczej znów u swego boku?

Zawsze. Pani premier w 2015 r. sprawdziła się doskonale. Dziś ma jeszcze większe doświadczenie niż wtedy. To dużej klasy polityk.

Myśli pan, że ona znika z krajowej polityki?

W Parlamencie Europejskim jest się co tydzień, przez pięć dni w tygodniu. Jedyny czarodziej, który jest jednocześnie tam i tu, to Ryszard Czarnecki.

Czyli jednak można wypracować w sobie dar bilokacji.

Ale on jest jedynym takim mistrzem. Europoseł znika z ojczyzny, tym bardziej jeśli weźmie na siebie dodatkowe obowiązki w Brukseli. Ja np. byłem w dwóch komisjach tzw. koordynatorem, czyli głównym przedstawicielem klubu parlamentarnego. Na takiej osobie spoczywa obowiązek przekazywania klubowi informacji o tym, co się dzieje w komisji, kiedy będą ważne głosowania. To wymaga sporo pracy. Byłem w PE bardzo zaangażowany, więc niewiele bywałem w domu. To jest największy minus. Bruksela wciąga i pojawia się obawa, że zniknąłeś z polityki krajowej. W weekend próbuje się nadrobić tę nieobecność, a to odbija się na domu, gdzie cię praktycznie nie widzą. To jest trudne.

Minęły już cztery lata od wygranych przez pana wyborów. Niebawem wejdziemy w ostatni rok prezydentury. Ma pan jakieś konkretne plany na te ostatnie miesiące,

eprasa.pl 273b5b4c04

na walkę o drugą kadencję? Już pan to sobie jakoś rozrysował?

Robimy swoje. Postawiłem sobie za cel, by pojechać do moich rodaków we wszystkich zakątkach Polski. Pod tym względem dla mnie kampania się nie skończyła, tylko doszły obowiązki prezydenckie. Odwiedziłem wiele powiatów, w których jeszcze nigdy nie było głowy państwa. To daje mi ogromną satysfakcję. Wiem, jak wygląda Polska w każdym zakątku. Najważniejsza jest dla mnie rozmowa z ludźmi. Dlatego w czasie tych wyjazdów najwięcej czasu poświęcam na rozmowy.

Lubi pan sprawiać kłopoty funkcjonariuszom Służby Ochrony Państwa.

Pewnie panowie zajmujący się moim bezpieczeństwem tego nie lubią, ale mi te spotkania są niezwykle potrzebne i bardzo je cenię. Pałac Prezydencki rzeczywiście jest złotą klatką. Jedynym sposobem, by nie dać się oderwać od rzeczywistości, jest wyjście do ludzi. Trzeba się zatrzymać, zrobić zakupy w osiedlowym sklepie spożywczym, wejść na stację benzynową, posłuchać, co mówią. Nie wolno dać się odizolować.

> W Parlamencie Europejskim jest się co tydzień, przez pięć dni w tygodniu. Jedyny czarodziej, który jednocześnie jest tam i tu, to Ryszard Czarnecki

Potwierdzenie tego widzieliśmy ostatnio w Mysłowicach. Nic się pod tym względem u pana nie zmieniło – wciąż lubi pan robić selfie.

Taki kontakt też jest ważny. Chcę, by zwykli obywatele – by pan Jan, pani Maria – mogli podejść i normalnie porozmawiać z prezydentem. Powiedzieć też, co im się nie podoba.

I o co mają pretensje?

Cały czas dziękują za 500+. Nie brakuje wzruszających momentów, gdy np. przychodzi małżeństwo z czwórką, piątką dzieci i całą rodziną dziękują. Bardzo też docenia się obniżenie wieku emerytalnego. To było moje wielkie zobowiązanie w kampanii i słowa dotrzymałem. Ludzie to doceniają. Jednak sporo jest głosów emerytów wskazujących na niskie uposażenia. Wielokrotnie słyszałem prośbę: „Tak, wiemy, że dajecie 500+. Dziękujemy, że pamiętacie o naszych wnukach, ale pamiętajcie też o nas". Bez awantury, cicho mówione, ale wiele razy. Trzynasta emerytura odpowiedziała na tę potrzebę i za to usłyszałem mnóstwo podziękowań. Pretensje są też o wymiar sprawiedliwości, że jeszcze nie został naprawiony. I tu głosy często są radykalne: „Pogonić ich wszystkich!".

Czy pana weta też są przypominane?

Zdarza się. To bardzo trudna materia. Gdy wyjaśniam swoje motywacje i tłumaczę, dlaczego na pewne przepisy w nowych ustawach nie mogłem się zgodzić, wtedy ludzie zaczynają rozumieć.

Kilka razy próbował pan wzbudzić dyskusję o zmianach w konstytucji. Chyba nie do końca się to udało. Zaproponował pan też, by wpisać do ustawy zasadniczej członkostwo Polski w NATO i Unii Europejskiej. To rzeczywiście jest konieczne?

Uważam, że należy to rozważyć. Jestem zdania, że taka zmiana ma sens, choćby po to by mocniej zaznaczyć polską suwerenność w kontekście prawa europejskiego i jego relacji do polskiego prawa.

Przewrotne myślenie. Nasuwa się skojarzenie z wpisaniem kiedyś do konstytucji braterstwa ze Związkiem Radzieckim.

To bardzo złośliwa interpretacja, bo chyba zgodzą się panowie, że do Unii Europejskiej chcieliśmy iść, a wiązać z ZSRR raczej nie. Poza tym proszę pamiętać, że konstytucję można zawsze zmienić, tylko trzeba mieć do tego odpowiednią większość.

Niebawem leci pan z wizytą do Stanów Zjednoczonych, na początek będzie Waszyngton i spotkanie z Donaldem Trumpem w Białym Domu. Czy z tej podróży przywiezie pan obietnicę zbudowania Fort Trump w Polsce, czy zostanie to ogłoszone przez prezydenta USA 1 września w Polsce?

Nazwa „Fort Trump" to symbol. Chodzi mi o zwiększenie obecności militarnej Stanów Zjednoczonych w naszej części Europy. Dziś, w rezultacie warszawskiego szczytu NATO oraz umów dwustronnych, mamy ok. 4,5 tys. żołnierzy amerykańskich w naszym kraju, sprzęt i dużą inwestycję, jaką jest baza w Redzikowie. Rusza też budowa amerykańskiego szpitala wojskowego. Naszym celem jest, by obecność tę zwiększyć ilościowo i jakościowo. Rozmowy na ten temat nabrały ostatnio tempa. Więc nie mówimy – jak wcześniej o jesieni – lecz o realnym planie, by ogłosić decyzję już w czerwcu. Ale zaznaczam: negocjacje trwają, a ustalenia muszą zostać zaakceptowane zarówno przeze mnie, jak i prezydenta Trumpa.

Na razie wszystko idzie w dobrą stronę. Kilka dni temu komisja sił zbrojnych amerykańskiego Senatu przyjęła projekt przyszłorocznego budżetu obronnego USA. Przewiduje on m.in. zwiększenie obecności wojskowej Stanów Zjednoczonych w Polsce.

To ważny sygnał, ale podchodzę do tego bardzo spokojnie. Cieszę się z zaproszenia ze strony prezydenta Trumpa. To, że odbywam drugą oficjalną wizytę w Waszyngtonie, jest sytuacją wyjątkową. Chyba pierwszy raz zdarza się tak, że prezydent Polski odbywa dwie oficjalne wizyty w ciągu roku i nie są to spotkania kurtuazyjne, tylko omawianie wspólnych interesów. Wojsko, energetyka, nowoczesne

eprasa.pl 273b5b4c04



technologie, infrastruktura, medycyna – w tym leczenie chorób nowotworowych, to obszary, w których mamy dziś wspólne polsko-amerykańskie projekty.

A jakie są relacje prezydentów? Jak wyglądają poza kamerami?

Prezydent Trump jest bardzo spontaniczny, choć twardo stąpa po ziemi. Jest bardzo amerykański. Ma wielkie poczucie godności i niezachwiane poczucie wartości własnego kraju. I to nas zbliża. Wie, że jest człowiekiem gigantycznego sukcesu biznesowego, do którego dołączył wielki sukces polityczny, jakim jest prezydentura USA, szefowanie największemu mocarstwu na świecie. Jest otwarty i zachowuje się wobec mnie i wobec Polski w sposób bardzo życzliwy. A to jest dla mnie niesłychanie ważne – by Stany Zjednoczone traktowały nas życzliwie i uczciwie. Myślę, że bardzo ważne jest także to, że prezydent Trump docenia znaczenie amerykańskiej Polonii.

[Obecny przy rozmowie współpracownik prezydenta podpowiada: „Sprawdziłem, będzie to ósme spotkanie prezydenta Dudy z prezydentem Trumpem, a 12. z prezydentem USA, licząc Baracka Obamę.] I za każdym razem rozmawiamy.

Mówi do pana per Andrew?

Nie, używamy formy „panie prezydencie".

Niedawno podpisał pan ustawę o Narodowej Strategii Onkologicznej. To pana projekt, o którym nie za wiele mówiło się w mediach. Banałem jest powiedzieć, że nasz kraj umiera na raka. Od 1999 r. liczba zachorowań zwiększyła się o 46 proc., liczba zgonów o 23,2 proc., to już druga najczęstsza przyczyna śmierci Polaków. Na nowotwory umiera co roku aż 100 tys. naszych rodaków. Jesteśmy w europejskim ogonie, jeśli chodzi o skuteczność leczenia. Jak ta strategia ma to zmienić?

Wszyscy eksperci mówią, że zachorowalność na raka będzie wzrastać, bo żyjemy coraz dłużej. Niezbędny jest specjalny plan stworzenia całego systemu centrów onkologicznych, w których pacjent dostanie kompleksową opiekę. Gdy ktoś się dowiaduje, że ma nowotwór, jest kompletnie zagubiony. Pacjent powinien być poprowadzony za rękę w każdej sferze. Nie chodzi tylko o onkologię, ale i profilaktykę, opiekę psychologiczną, edukację, jak się zachowywać, by zmniejszyć prawdopodobieństwo zachorowania, a zatem – kluczowe w tej sprawie – wczesne wykrywanie. Śmiano się z mojej ustawy antysolariowej, a przecież czerniak to jest kosiarz! Chodziło przede wszystkim o to, by zatroszczyć się o młodych ludzi, zwłaszcza dziewczyny, nieświadome zagrożeń, jakie może nieść ze sobą dbanie o piękny wygląd. Lekarze są zgodni, że to bardzo ważna ustawa.

Według ekspertów liczba zachorowań wzrośnie na przestrzeni najbliższych dekad kilkakrotnie.

I dlatego trzeba coś z tym zrobić. Zamiast czekać, działajmy już teraz. Zacznijmy budować system, który będzie chronił, leczył, a w tych najgorszych przypadkach zapewniał opiekę paliatywną.

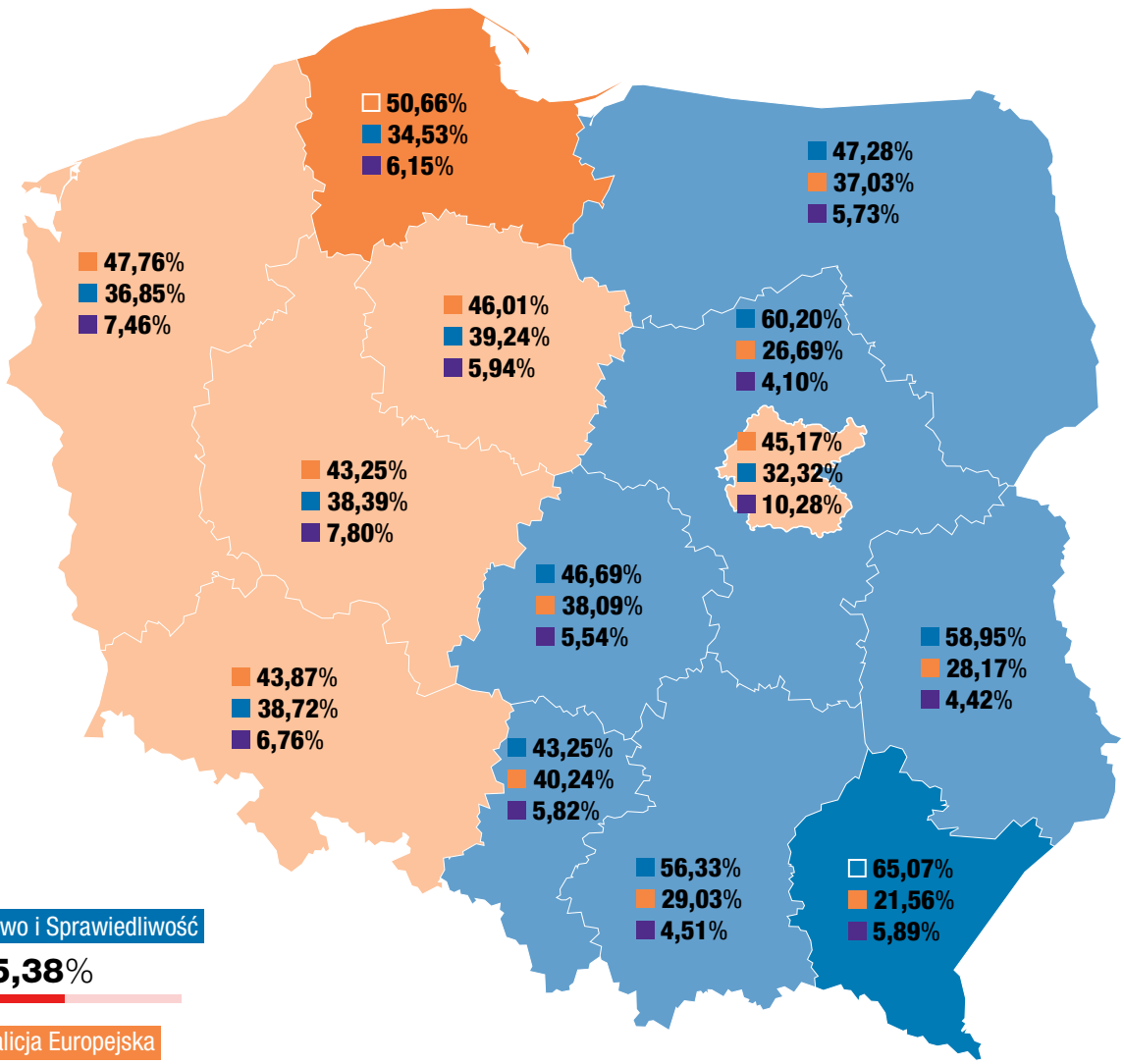
Skoro tym tematem kończymy, proszę się przyznać: pali pan jeszcze papierosy?

Nie. Nie palę od dwóch i pół roku i zachęcam wszystkich do rzucenia.

eprasa.pl 273b5b4c04

WYNIKI WYBORÓW DO EUROPARLAMENTU 2019

Źródło: PKW



Prawo i Sprawiedliwość 45,38%

Koalicja Europejska 38,47%

Wiosna Roberta Biedronia 6,06%

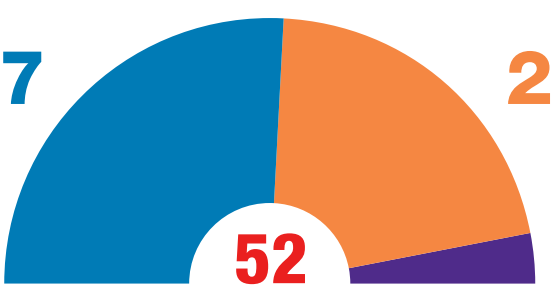
Konfederacja 4,55%

Kukiz'15 3,69%

Lewica Razem 1,24%

FREKWENCJA

45,68%



eprasa.pl 273b5b4c04

Twardo, do przodu

10 lekcji płynących z majowych wyborów do Parlamentu Europejskiego



STANISŁAW JANECKI

Wybory europejskie, chyba jak żadne wcześniejsze, obaliły wiele mitów i rzekomych prawd objawionych. Pokazały trwałe tendencje w polskiej polityce. Uświadomiły, co się faktycznie liczy, a co jest tylko pozorem i złudzeniem. Oto 10 najważniejszych wniosków płynących z elekcji do Parlamentu Europejskiego, mogących mieć decydujące znaczenie podczas wyborów parlamentarnych jesienią br. i prezydenckich późną wiosną 2020 r.

1. *PiS ma zdolność pozyskiwania nowych wyborców*

W stosunku do wyborów parlamentarnych w 2015 r., mimo niższej o 5,24 pkt. proc. frekwencji, Prawo i Sprawiedliwość zyskało w eurowyborach 481 093 głosy, w stosunku zaś do wyborów samorządowych z 2018 r. (do sejmików wojewódzkich, co jest porównywalne), mimo frekwencji niższej o 9,22 pkt. proc. – 925 113 głosów. W szczegółach wyglądało to następująco: w wyborach europejskich PiS zdobyło 6 192 780 głosów, w wyborach parlamentarnych w 2015 r. – 5 711 687 głosów, w wyborach samorządowych zaś w 2018 r. (do sejmików województw) – 5 267 667 głosów. Przy czym partia Jarosława Kaczyńskiego wygrała wybory parlamentarne w 2015 r., wybory samorządowe w 2018 r. (do sejmików wojewódzkich) i wybory europejskie w br.

Z kolei ugrupowania wchodzące w skład Koalicji Europejskiej (mniej więcej, SLD bowiem występował w szerszym komitecie Lewica Razem) w wyborach europejskich w br. straciły w stosunku do parlamentarnych z 2015 r. 1 493 886 głosów, w stosunku zaś do wyborów samorządowych z 2018 r. (do sejmików wojewódzkich) – 1 974 854. W szczegółach wyglądało to następująco: Koalicja Europejska (PO, PSL, SLD, Nowoczesna, Zieloni) w wyborach europejskich w br. otrzymała 5 249 935 głosów, w wyborach parlamentarnych w 2015 r. na PO, PSL, Zjednoczoną Lewicę i Nowoczesną łącznie oddano 6 743 821 głosów, w wyborach samorządowych zaś w 2018 r. było to 7 224 789 głosów.

Jak widać, PiS cały czas jest w stanie pozyskiwać nowe głosy i w kolejnych wyborach liczba tych nowych głosów rośnie (w stosunku do wyborów z 2015 r. o prawie pół miliona, a w stosunku do tych z 2018 r. o niemal milion), opozycyjna koalicja zaś odwrotnie – w stosunku do wyborów w 2015 r. straciła niemal 1,5 mln głosów, w stosunku zaś do tych z 2018 r. – prawie 2 mln głosów. A to oznacza, że im większa opozycyjna koalicja, tym większe straty.

2. *Polska B kontra Polska ĄĘ*

Na korzyść Prawa i Sprawiedliwości, a na niekorzyść Koalicji Europejskiej (szerokiej koalicji opozycyjnej) działa przekonanie polityków, a za nimi wyborców tej drugiej, że są kimś lepszym, lepiej wykształconym, lepiej sytuowanym, kulturowo i cywilizacyjnie stojącym wyżej, mającym większe możliwości i wyższe aspiracje. Takie przekonanie jest często podstawą dzielenia kraju na Polskę A i B, i ta A ma być geograficznie zachodnia, ta B – wschodnia (także w sensie kulturowym, cywilizacyjnym i geopolitycznym). Prof. Wojciech Sadurski, jeden z najbardziej zaciekawionych i oddanych zwolenników opozycji, twierdzi, że część zachodnia jest „proliberalna, europejska, świecka", część wschodnia zaś „wiadomo". W związku z tym potrzebne są „kompetencje wspólne: polityka zagraniczna i obronna, waluta, armia, podstawowe wolności obywatelskie (ale w skansenie wschodnim – mniej wolności od religii)".

Wybory europejskie (ale także, choć w mniejszym stopniu, parlamentarne w 2015 r. oraz samorządowe w 2018 r.) dowiodły, że dzieląc Polskę na A i B, proponuje się dyskryminację części kraju oraz części jej obywateli. Tuż po wyborach europejskich w internecie pojawił się wyjątkowo trafny koncept, że faktycznie nie chodzi o podział na Polskę A i B, lecz na Polskę B i ĄĘ. I politycy, ich apologeci, szczególnie naukowcy i ludzie kultury, oraz wyborcy Polski ĄĘ są pyszni, zarozumiali, nadęci, pretensjonalni. Ale przede wszystkim gardzą przeciętnymi Polakami. Znajduje to swój wyraz nie tylko w wypowiedziach profesorów Wojciecha Sadurskiego, Jana Hartmana, Zbigniewa Mikołejki czy Ireneusza Krzemińskiego, ludzi kultury w rodzaju Krystyny Jandy, Macieja Stuhra, Andrzeja Saramonowicza, Krystiana Lupy, w działaniach KOD, Obywateli RP czy Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, ale też w rosnącej nienawiści i pogardzie zwolenników opozycji wobec sympatyków PiS.

W wyborach europejskich Polska B zademonstrowała Polsce ĄĘ, że nie tylko nie czuje się gorsza, ale potrafi Polskę ĄĘ sprowadzić na ziemię i sfalsyfikować jej

eprasa.pl 273b5b4c04

przekonanie o wyższości oraz sprawczości. Zresztą jest ona tylko umownie Polską B, bo gdyby popatrzeć choćby na wyniki matur, to są one tam znacznie lepsze niż w Polsce ĄĘ.

3. *Na władzę można liczyć, bo PiS naprawdę rządzi*

Wybory europejskie pokazały, że Polacy oczekują, by rząd rządził, ale nie wbrew obywatelom, jak to było szczególnie widoczne w latach 90. Wyborcy cenią państwo skuteczne – zarówno w walce z patologiami, jak i w dzieleniu się owocami wzrostu z możliwie największą grupą obywateli. Cenią i widzą to, że zastopowanie idących w setki miliardów złotych oszustw na podatku VAT umożliwiło wysoki wzrost dochodów państwa, a co za tym idzie – sfinansowanie programu 500+, wyprawki szkolnej, trzynastej emerytury, podniesienie płacy minimalnej i minimalnej stawki godzinowej, podwyższenie najniższej emerytury i renty, obniżenie wieku emerytalnego czy objęcie programem 500+ także pierwszego dziecka.

Państwo pokazało siłę, nie tylko wydając 2 proc. PKB na obronę i zapewniając Polsce najnowocześniejszą broń oraz obecność wojsk NATO, szczególnie USA na naszym terytorium, co ma znaczenie wobec agresywnej polityki Rosji. Państwo osiągnęło spektakularny i doceniany na świecie sukces w likwidacji biedy, głównie w odniesieniu do dzieci. A w ostatnich dniach kampanii europejskiej dowiodło, że nikt nie będzie zostawiony samemu sobie w razie klęski żywiołowej. Gdyby jeszcze skuteczna, bo nieblokowana przez zawodowe kasty oraz ich zagranicznych sprzymierzeńców, okazała się reforma sądów, siła i odpowiedzialność państwa byłyby powszechnie odczuwane.

4. *Jarosława Kaczyńskiego nie trzeba chować*

Przez lata pokutowało przekonanie, że bez schowania lidera PiS Jarosława Kaczyńskiego nie da się wygrywać wyborów. W eurowyborach 2019 r. prezes PiS był motorem kampanii, a w jej końcówce lokomotywą oraz tzw. gamechangerem. Podobnie było w wyborach samorządowych w 2018 r. Owszem, Jarosław Kaczyński nie ubiega się już o najwyższe urzędy w państwie, ale jest niekwestionowanym liderem obozu rządzącego. I jest w coraz większym stopniu jego największym atutem, gdyż obywatele, w tym ci niegłosujący na PiS, mają liczne dowody, że gwarantuje on realizację podejmowanych przez rządzących zobowiązań, a wręcz ich mobilizuje, by możliwe było więcej, niż wcześniej obiecali.

Przede wszystkim z tego powodu jest przez opozycję znienawidzony, gdyż obóz Zjednoczonej Prawicy jest skuteczny i wiarygodny, a opozycja bezsilna oraz niewiarygodna, przynajmniej w tym, co obiecuje, a czego nie zrobiła, będąc przez osiem lat u władzy. Nie było najmniejszych problemów, by ważne propozycje rządzących przedstawione podczas kampanii europejskiej nazwać „piątką Kaczyńskiego", gdyż nazwisko lidera Zjednoczonej Prawicy tylko je uwiarygodniało.

5. *Ideowa wyrazistość i obrona wartości są premiowane*

Jesienią 2010 r., podczas kampanii samorządowej, z wszechobecnych billboardów spoglądał na Polaków ówczesny premier Donald Tusk, a hasło głosiło: „Nie róbmy polityki. Budujmy drogi/szkoły/mosty". Była to kontynuacja tzw. polityki ciepłej wody w kranie. Przez następne lata wmawiano Polakom, że polityka powinna być skupiona wyłącznie na konkretach. A już włączenie do politycznych debat oraz do agendy kwestii odnoszących się do wartości bądź wielkich idei miało skazywać na przegraną. Ten dyktat płaskiego pragmatyzmu sprawił, że za rządów PO-PSL coraz śmielej poczynały sobie ruchy propagujące ideologie gender, LGBT, feminizmu, aborcjonizmu, antyklerykalizmu, w kontrze do konserwatystów, których oskarżano o rasizm, faszyzm, antysemityzm, ksenofobię, dyskryminację mniejszości.

Gdy PiS doszło do władzy, „postępowe" ideologie stawały się dominującym elementem polityki opozycji, co było szczególnie widoczne po powstaniu Koalicji Europejskiej. A podczas kampanii europejskiej mieliśmy wielką wojnę z Kościołem (jako depozytariuszem wartości oraz tradycji), uzasadnianą walką z pedofilią księży. Mieliśmy wojnę z polską polityką historyczną – uzasadnianą ustawą wspierającą IPN, amerykańskim JUST Act 447, wypowiedziami polityków z Izraela oraz USA i atakami zagranicznych mediów. Mieliśmy oskarżenia o polexit – uzasadniane uruchomieniem procedury z art. 7 TUE oraz sprawami kierowanymi do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Mieliśmy ofensywę homolobby na szkoły (programy edukacyjne dotyczące seksu i LGBT). Mieliśmy żądania zalegalizowania małżeństw homoseksualnych. Mieliśmy naciski na wprowadzenie aborcji na życzenie.

Ataki „postępowców" były tak brutalne i szeroko prowadzone oraz tak mocno wspierane przez Koalicję Europejską, że wydawało się, iż zniechęcą wyborców PiS oraz będą wiatrem w żagle opozycji. To wszystko pękło jednak jak bańka mydlana i zmobilizowało wyborców PiS oraz niezdecydowanych, gdy liderzy rządzącej partii, a zwłaszcza Jarosław Kaczyński, stanowczo przeciwstawili się atakom na Kościół, rodzinę, dzieci. Gdy twardo odrzucili żądania w kwestii restytucji mienia. Gdy wskazali na pełne prawo, a wręcz obowiązek Polski wpływania na kształt i przyszłość UE.

Końcówka kampanii europejskiej to była bardzo twarda obrona wartości, zasad i praw większości. To była twarda obrona polskiego interesu narodowego. I wbrew opiniom tzw. ekspertów PiS to wcale nie zaszkodziło, lecz pomogło w uzyskaniu najlepszego wyniku tej formacji w całej historii III RP.

6. *Antypis to o wiele za mało*

Opozycji wydawało się, że za cały program wystarczy jej nienawiść do PiS czy też bycie antypisem. To zawiodło już w wyborach parlamentarnych w 2015 r., ale wróciło w kampanii samorządowej w 2018 r. i europejskiej w 2019 r., głównie w związku z atakami na Polskę z zewnątrz oraz z powodu oskarżania PiS o wszystko co najgorsze przez media establishmentu III RP.

Idea antypisu zawiodła przede wszystkim w konfrontacji z rzeczywistością rządzenia przez ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego. PiS odniosło niekwestionowane sukcesy, docenione przez miliony obywateli, więc bycie antypisem jest przez wyborców

eprasa.pl 273b5b4c04

traktowane jak odcinanie się od tego, żeby Polakom było lepiej. Antypis byłby może skuteczny, gdy obecny rząd był nieskuteczny. Ale tak nie jest, więc idea antypisu nawet przez osoby niechętne obecnej władzy jest uznawana za rodzaj aberracji oraz przyznania się do bezradności i programowej miałkości. Bycie antypisem znacznie bardziej uderza w opozycję niż w partię rządzącą.

7. *Fikcja mitycznego centrum*

Przez lata, a nawet dekady różni analitycy i eksperci przekonywali, że w Polsce wybory się wygrywa, poszerzając bazę elektoratu w stronę centrum, jakkolwiek zmistyfikowane by ono było. Owszem, może to mieć pewne znaczenie w wyborach prezydenckich, ale w coraz mniejszym stopniu decyduje o wyniku wyborów parlamentarnych oraz samorządowych i, jak się okazało, także europejskich. Trzeba dbać przede wszystkim o własnych wyborców i pozyskiwać nowych, którzy mogą się z konkretną partią nie identyfikować, ale docenią jej osiągnięcia, konsumowane także przez nich samych. Liczby przytoczone w pierwszej części tego tekstu mówią za siebie: PiS wygrywa, w pełni mobilizując własny elektorat i pozyskując nowych wyborców efektami własnych rządów. I to daje coraz lepsze wyniki. Dlatego wydaje się to trwałą tendencją na najbliższe lata.

8. *Poza wielkimi miastami też się dzieje*

Wybory europejskie dowiodły, że mitem jest, iż tylko wielkomiejski, lepiej wykształcony elektorat jest upolityczniony i zdeterminowany, by aktywnie wpływać na kształt polskiej demokracji, polskiej polityki, by tworzyć społeczeństwo obywatelskie, ale też wpływać na instytucje europejskie. Okazało się, że poza wielkimi miastami upolitycznienie jest nie mniejsze, podobnie jak chęć współtworzenia społeczeństwa obywatelskiego oraz uczestnictwa w tym wszystkim, co wynika z członkostwa Polski w UE. Oznacza to, że w polskiej polityce nie da się już grać aktywnością wyborców, skoro nie jest ona ograniczona ani geograficznie (regionalnie), ani pod względem np. poziomu wykształcenia, zamożności, miejsca zamieszkania, poglądów politycznych czy wyznawanych wartości.

W miarę proporcjonalne, równomierne i coraz wyższe upolitycznienie obywateli oczywiście sprzyja umocnieniu demokracji oraz zmniejsza pole do wpływania na wyniki głosowania poprzez manipulowanie wyborcami, co zdarzało się w przeszłości.

> Opozycji wydawało się, że za cały program wystarczy jej nienawiść do PiS czy też bycie antypisem

9. *Przyszłością nie są teflonowi politycy ani teflonowe partie*

Nawet Emmanuel Macron musiał zerwać z wizerunkiem polityka teflonowego, żeby realnie i skutecznie rządzić partią. Nowi liderzy w Europie nie są już tak teflonowi i obli, jak jeszcze dekadę wcześniej. Dobrym przykładem był (jest) tu Donald Tusk. To muszą być politycy z krwi i kości, jak choćby Jarosław Kaczyński, Andrzej Duda czy Mateusz Morawiecki w Polsce bądź Viktor Orbàn na Węgrzech. Podobnie wicepremier i szef MSW Włoch Matteo Salvini, kanclerz Austrii Sebastian Kurz czy premier Czech Andrej Babiš.

Wybory europejskie, nie tylko w Polsce, dowiodły, że wyrazistość i zdecydowana ideowość (i to głównie konserwatywna) są coraz bardziej cenione. A obłość i teflonowość są traktowane jak wada, przynajmniej gdy chodzi o pełnienie ważnych funkcji państwowych. Przywódca czy szerzej skuteczny polityk musi mieć kręgosłup, korpus wartości, wolę działania oraz twardość charakteru, a nie miękkość, ugodowość i chwiejność. Wracają czasy realnych przywódców, a kończy się czas politycznych celebrytów bez właściwości.

10. *Wbrew dominacji liberalno-lewicowych mediów*

Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że nie sposób w Polsce wygrywać wyborów, mając przeciwko sobie liberalno-lewicowe media. Pierwszym wyłomem były wybory prezydenckie w 2015 r., które Andrzej Duda wygrał wyraźnie wbrew tym mediom. Po kampanii prezydenckiej te media istotnie zaostrzyły kurs, koncentrując się na akcjach piętnowania i delegitymizowania PiS, by w kampanii europejskiej w br. skupić się na niszczeniu liderów Zjednoczonej Prawicy, przede wszystkim Jarosława Kaczyńskiego (niekończący się serial o prezesie – wielkim deweloperze i miliarderze) i Mateusza Morawieckiego (opowieści o bogaczu i graczu na rynku nieruchomości).

Liberalno-lewicowe media miały też wielki udział (może nawet decydujący) w niszczeniu wizerunku Polski za granicą, co poprzez szantaż, umacnianie kompleksów i pedagogikę wstydu miało obrócić przeciwko PiS tzw. umiarkowanych wyborców. Ogromnej przewagi medialnej nie dałoby się zneutralizować bez mediów publicznych skupionych na reprezentowaniu interesu narodowego i polskiej racji stanu. Wcześniej media publiczne były narzędziem establishmentu III RP, nastawionym na obronę i reprezentowanie jego interesów. Były niezdolne do przeciwstawienia się obcym ingerencjom w polskie sprawy, a czasem wręcz sprzyjającym takim wpływom.

Znaczącą rolę w łamaniu monopolu tub III RP odegrały też media niezależne, choć wciąż jeszcze biedne, np. portal wPolityce.pl, telewizja wPolsce.pl czy tygodnik „Sieci". Ale nawet mimo przełamywania monopolu mediów służących establishmentowi III RP nie byłoby sukcesów wyborczych bez bezpośredniego docierania do wyborców, nawet jeśli potem opozycyjne media przedstawiały te spotkania karykaturalnie. Najważniejsi politycy obozu rządzącego docierali do każdego zakątka Polski, umacniając przekonanie, że każdy wyborca jest ważny, a władza nie zadziera nosa, tylko próbuje wszędzie zapracować na poparcie.

eprasa.pl 273b5b4c04



MICHAŁ KARNOWSKI



Koalicja Europejska śmiertelnie przestraszyła Polaków. Dotknęła takiej nuty narodowej duszy, która zmobilizowała do oporu wobec ataku na najważniejsze wartości

Fot. Andrzej Wiktor

Osobisty triumf lidera

To wcale nie musiało się tak skończyć. Przez długie tygodnie kampanii wyborczej to opozycja była w ofensywie, to ona narzucała tematy, to jej sprzyjały wydarzenia społeczne. Precyzyjnie rozpisany plan uderzenia antykościelnego był rdzeniem pomysłu środowisk opozycyjnych na wyborczą wygraną. Założenie było proste: skoro nie możemy zniszczyć Prawa i Sprawiedliwości, bo ma świetne wyniki rządzenia, a jej lider nawet nagrany potajemnie okazuje się nieskazitelnie uczciwy, to rozbijmy wspólnotę obozu patriotycznego u źródeł, sparaliżujmy ją moralnie. Temu służyło najpierw przygotowywanie podglebia w postaci podsycania nastrojów antyklerykalnych (film „Kler", profanacje, występ duetu Tusk–Jażdżewski), a następnie wyprowadzenie decydującego ciosu w postaci premiery filmu Sekielskich, niemal w przededniu wyborów.

Nikt po stronie opozycji oczywiście nie uważa naprawdę, że Kościół wspiera prawicę. To są opowieści powielane albo ze złą wolą, albo przez ludzi, którzy dawno na żadnej mszy świętej nie byli. Nie przypadkiem nigdy nie pada żaden cytat z kazania, nigdy nie ma konkretów, ale operuje się wyłącznie kategoriami ogólnego wrażenia. Mimo to pomysł opozycji był w jakiś sposób racjonalny, bo ludzie wierzący i praktykujący są bardziej przejęci Polską, zanurzeni w tradycji, postrzegają siebie jako element łańcucha pokoleń. A przez to są bardziej otwarci na program formacji chrześcijańsko-narodowej, jaką jest obóz Jarosława Kaczyńskiego. Gdyby operacja uderzenia w Kościół, zerwania duchowej więzi Polaków z księżmi się powiodła, cała ta grupa miała stracić pewność siebie i zostać w domu.

Dlaczego to się zatem nie powiodło? Wszystko wskazuje, że wymknęło się to wszystko spod kontroli. Zawiniły dwa elementy: oderwanie sztabowców opozycji od rzeczywistości (projekcje TVN i Michnika biorą za społeczne fakty), a także sama konstrukcja Koalicji Europejskiej. W jej skład weszli ludzie i organizacje, z których każdy miał prawo pleść dowolne bzdury, a poczucie przyzwolenia na szaleństwo redukowało cały przekaz do ekstremizmu. Do opinii publicznej docierały obrazy sprofanowanego wizerunku Matki Bożej Częstochowskiej, porównywania dyskusji z księżmi do zapasów ze świnią w błocie, wreszcie, w samym finale kampanii, wulgarnego przerabiania Najświętszego Sakramentu. I tak Grzegorz Schetyna chyba nawet nie zauważył, jak został Januszem Palikotem. Była to tak skumulowana dawka brutalnego antyklerykalizmu połączona z zapowiedziami rozprawy z Kościołem, że dotarła do najdalszych zakątków kraju. Nikt nie mógł powiedzieć, że nie rozumie, jaka jest stawka tych wyborów, nikt nie mógł uznać, iż to jego nie dotyczy. Komunikaty obiecujące jakiś nowy bolszewizm śmiertelnie przeraziły ludzi przejętych Polską. Dotknięto w tych dniach bolesnej

eprasa.pl 273b5b4c04

struny narodowej duszy i to wywołało mocną reakcję.

Oczywiście inne elementy także zaważyły. Koalicja Europejska nie przekonała Polaków, że programy prorodzinne i prospołeczne byłyby pod ich rządami bezpieczne, za to Jarosław Kaczyński był bardzo wiarygodny, gdy pokazywał kolejne dowody na skuteczność rządów swojego obozu. Lider Prawa i Sprawiedliwości dobrze też odpowiedział na ataki z prawej flanki i wystarczająco głośno odrzucił wszelką możliwość zapłacenia przez Polskę jakichkolwiek pieniędzy za zbrodnie dokonane przez Niemców na terenach okupowanej Rzeczypospolitej. Tu wszak adresatem powinien być Berlin. W ogóle końcówkę kampanii, ostatnie dwa tygodnie tej walki, wejście na pierwszy plan Jarosława Kaczyńskiego, przywrócenie pionu ideowego, trzeba uznać za kluczowe. Wtedy niedobre trendy zostały zatrzymane. Padł przy okazji ważny mit, mimo braku dowodów ciągle suflowany: że Jarosław Kaczyński to polityk niezdolny do frontowego pociągnięcia wyniku ponad próg żelaznego elektoratu, że musi się zasłaniać innymi. Okazało się odwrotnie: to właśnie Kaczyński osobiście wyciągnął z domów uśpionych wyborców, co dało skok frekwencyjny po stronie wyborców prawicy i w efekcie zwycięstwo.

Na samym finiszu dobra reakcja premiera Mateusza Morawieckiego na powódź oraz kompromitacja Platformy Obywatelskiej, której lider najpierw z tego kpił, a następnie pojechał na wały powodziowe nagrywać spoty, dopełniła obrazu. Grzegorz Schetyna dywagujący o rzekomym cyrku, jakim miała być mobilizacja rządu w obliczu zagrożenia, przypomniał, jak bezduszne, zimne, wręcz bezwzględne wobec słabszych i pokrzywdzonych były rządy PO-PSL (i generalnie wszystkich formacji III RP). Ich genotypem jest zapewnianie prosperity klasom rządzącym, establishmentowi i sytej, zadowolonej z siebie oraz często egoistycznej wyższej klasie średniej. Łączy się to z pogardą dla tych, którzy z różnych względów pozostają w tyle. Miało to swój efekt wyborczy.

W dniu wyborów 26 maja twarze ludzi Koalicji Europejskiej długo były uśmiechnięte. Wysoka od rana frekwencja zdawała się prognozować, zgodnie z doświadczeniem lat minionych, triumf strony lewicowo-liberalnej. Tym większy był szok, gdy wieczorem się okazało, iż tym razem to strona konserwatywna zmobilizowała się mocniej. Warto zwrócić uwagę, że w sumie ponad połowa głosów padła na listy, które możemy uznać za konserwatywne (PiS, Kukiz, Konfederacja). Zestawiony z tym dostęp tej grupy wyborców do najcenniejszych wspólnych zasobów gospodarczych i społecznych wskazuje, z jak wielką nierównowagą mamy w Polsce do czynienia.

> Padł ważny mit: że Jarosław Kaczyński to polityk niezdolny do frontowego pociągnięcia wyniku ponad próg żelaznego elektoratu, że musi się zasłaniać innymi

Media? Gdyby nie pluralizująca rzeczywistość TVP, byłoby to może pięć procent zasobów, i to w dobrych czasach. Uniwersytety? Ludzie o poglądach konserwatywnych są tam prześladowani, wypychani. Kultura i sztuka? Podobnie. I nawet w sporcie to się też zaczyna, co widać po atakach spadających na Zofię Klepacką. W zbyt wielu miejscach – od mediów przez sądy po liczne szkoły i uczelnie – osoby o poglądach konserwatywnych czują się wykluczane, prześladowane. Wyrównanie dostępu do tych zasobów to ważne zadanie na kolejną kadencję prawicy.

Czy jest ona pewna? Czy to już rozstrzygnięte? Jaką linię przyjmie opozycja? Sądzę, że gdy minie pierwszy szok, wszystko wróci w stare koryto, może z wyjątkiem prób złagodzenia tego wściekłego antyklerykalizmu. Obóz opozycyjny spróbuje jeszcze mocniej rozhuśtać emocje, jeszcze brutalniej zagrać strachem przed PiS, jeszcze konsekwentniej destabilizować sytuację. Strajk cynicznie wykorzystanych nauczycieli pokazał (ogromne koszty dla dzieci, ogromne), że żadnych hamulców nie ma ani nie będzie. Czasu jest bardzo mało na jakieś większe korekty. Na dodatek poza poczuciem własnej wyższości i oskarżeniami PiS o zamach na demokrację innego paliwa tam po prostu nie ma. Każda inna oferta na tle ostatnich lat i dorobku rządów Kaczyńskiego będzie jeszcze mniej wiarygodna, jeszcze bardziej fałszywie brzmiąca. Wielki obóz polityczny przypomina tankowiec na morzu – radykalne manewry grożą jeszcze większą wywrotką.

Dla obozu prawicowego widzę dwa zagrożenia: pychę, że bitwa jesienna rozstrzygnęła się 26 maja, oraz wynikającą z tego demobilizację. Każdy, kto chce kontynuacji obecnego kursu państwowego, musi dać z siebie równie dużo jak w maju albo wcześniej.

Nie można też wykluczyć próby uderzenia jeszcze bardziej brutalnego, fizycznego, bezpośredniego w osoby uznawane za symbole siły obozu PiS. Przede wszystkim w Jarosława Kaczyńskiego.

Trzeba ostrożnie używać słów, ale po Smoleńsku, po Cybie biegającym z nożem po Krakowskim Przedmieściu w poszukiwaniu Jarosława Kaczyńskiego, każdy musi zdawać sobie sprawę, że tu nie ma żartów. Wiem, że ochrona jest, zapewne najlepsza z możliwych. Ale powinna być teraz jeszcze zwiększona. Stawka jest ogromna, stawka nie tylko krajowa. Podobnie uważam, że powinno się szczególnie chronić wszystkie kluczowe dla obozu osoby: prezydenta Dudę, premiera Morawieckiego, premier Szydło, ministrów Ziobrę, Brudzińskiego, Jakiego i innych. Pamiętajmy: w takich akcjach czasami nie chodzi o konkretny cel, ale o samo zdestabilizowanie sytuacji, o zbudowanie momentu kryzysowego. Dlatego ochrona polityków oraz spotkań opozycji, a także gmachów państwowych, musi być w nadchodzących miesiącach szczególnie uważna. Podkreślam: nikogo nie oskarżam o żadne niecne zamiary. Proszę tylko na chłodno, by to zagrożenie wzięto pod uwagę.

eprasa.pl 273b5b4c04



Kolejne przełamanie

Projekt zaproponowany Polakom przez PiS w 2015 r. nie tylko się nie wyczerpał, lecz wciąż zdobywa nowych zwolenników. Rzecz w historii polskiej demokracji bez precedensu

Fot. Wojciech Stróżyk/REPORTER



JACEK KARNOWSKI

Najważniejsze pytanie po majowych wyborach do Parlamentu Europejskiego, w których Zjednoczona Prawica rozbiła bank, zdobywając rekordowe w dziejach III RP poparcie, brzmi: czy to tylko polityczny sukces, bezdyskusyjnie wielki, czy też może zapowiedź kolejnego przełamania? Czy tak jak rok 2015 dał prawicy szansę na sprawne rządzenie, rok 2019 może dać mandat do przebudowy sięgającej samych fundamentów? Czy można myśleć o większości konstytucyjnej albo takiej, która pozwoli na przełamanie kolejnych linii obronnych systemu zbudowanego po „okrągłym stole"? Zachowując pokorę, nie sposób nie zauważyć, że polityka prowadzona przez ostatnie trzy lata z kawałkiem przekonuje do siebie kolejne grupy Polaków. Przekonuje w takim stopniu, że chcąc reanimować starą tezę o politycznym podziale Polski na wschód i zachód kraju, tygodnik „Polityka" musi dość mocno fałszować mapę z wynikami wyborów, sugerując nieprawdziwie pęknięcie wzdłuż linii Wisły. Geograficznie patrząc, to już nie jest nawet echo II Rzeczypospolitej, to raczej pisowskie morze z wyspami wysokiego poparcia dla opozycji. Pewnym smutnym wyjątkiem jest jedynie Wielkopolska, wciąż odrzucająca projekt państwowy, pod którym podpisaliby się zapewne Karol Marcinkowski czy Hipolit Cegielski.

To zwycięstwo, a właściwie ten triumf obozu Kaczyńskiego, wyrasta więc przede wszystkim z naprawdę solidnych podstaw, z dobrej polityki gospodarczej, społecznej i godnościowej. To także ważna lekcja – III RP wdrukowała wielu ludziom ze świata polityki i mediów przekonanie, że jedyne, co się liczy, to wizerunek, piarowe sztuczki, medialna zasłona. Że otoczka jest ważniejsza niż treść, niż konkretne działania. Teraz widzimy, że może być inaczej, że politycy mogą liczyć na premię, jeżeli działają w interesie zwykłych obywateli. Powoli dociera to także do liderów opozycji, jeszcze parę tygodni temu głęboko przekonanych, że konkretny program i czytelne zobowiązania są przeszkodą w drodze po władzę. W tym sensie Jarosław Kaczyński wyrywa całą sferę polityki z krainy niepowagi, przywraca jej klasyczną polityczność, przywraca tak mocno podmytą wiarę, że w ogóle można coś zmienić. A tym samym prowadzi polską politykę na Zachód, ku normalności. To na Wschodzie przecież rządzenie polega nie na rozliczaniu polityków ze zdolności do zrealizowania celów, ale na kolejnych operacjach socjotechnicznych, projektowanych przez polittechnologów, często z udziałem służb specjalnych.

Ale trzeba też uczciwie powiedzieć, że zwycięzcy sprzyjało szczęście, i to w dużych dawkach. Pogromu opozycji spodziewało się niewielu. Nastroje w końcówce kampanii nie były

eprasa.pl 273b5b4c04

najlepsze i wielu przyjęłoby z ulgą nawet jednopunktowe prowadzenie PiS. Zwracano uwagę na niezdolność obozu rządzącego do narzucenia własnych tematów debaty, na grę pod dyktando drugiej strony, na defensywę prawicy w internecie, powątpiewano w mobilizację wyborców konserwatywnych, mocno obitych precyzyjnym scenariuszem uderzenia w Kościół. Na koniec pojawiło się zagrożenie z prawej flanki, w postaci bardzo pewnej siebie i coraz bardziej agresywnej Konfederacji. Paradoksalnie jednak to te dwa niebezpieczeństwa doprowadziły PiS do tak imponującego finału. Gdyby nie uderzenie opozycji i jej mediów w Kościół, gdyby nie próba obalenia cywilizacji chrześcijańskiej, obóz rządzący nadal starannie unikałby wchodzenia na pole sporów światopoglądowych, obawiając się, że da to zwycięstwo lewicowym konkurentom. Totalność i rozmach tego, co się zdarzyło w okresie między profanacjami wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej a profanacją Najświętszego Sakramentu w Gdańsku (wystąpienie Leszka Jażdżewskiego o „świniach", film Sekielskiego, zapowiedzi uderzenia w Kościół po wyborach), sprawiło, że PiS nie miało już wyboru – musiało zaakceptować zderzenie na gruncie sporu cywilizacyjnego. Podobnie było ze sprawą roszczeń żydowskich – wielokrotne, choć wyraźnie spóźnione powtarzanie twardego zapewnienia, że nie ma mowy o jakichkolwiek ustępstwach, zabrało Konfederacji wystarczająco wiele wiatru, by nie przekroczyła progu. Te dwie sprawy łączą się, ponieważ ugrupowanie zbudowane przez narodowców zyskiwało także dzięki przekonaniu części konserwatystów, że PiS nie robi wystarczająco wiele, by powstrzymać lewicowe szaleństwo. Wniosek z tego taki, że to nie łagodzenie przekazu, ale jego jednoznaczność jest kluczem do wielkich zwycięstw. Nie znaczy to, że nie należy niuansować formy przekazu, że nie należy hamować skrajności; należy to czynić, nie rezygnując z nazywania rzeczy po imieniu.

Kampania europejska obaliła zresztą parę innych mitów, od lat zatruwających myślenie prawicy. Okazało się po raz kolejny, że realnie nie sposób zdemobilizować drugiej strony w stopniu, który przyniósłby polityczną premię. Po prostu druga strona dysponuje takimi zasobami medialnymi i instytucjonalnymi, i jest tak mocno świadoma swoich celów, że zawsze jest w stanie podnieść temperaturę. Zbyt miękki, zbyt techniczny i wyprany z emocji kurs rodzi jedynie apatię i frustrację we własnych szeregach. Znacznie lepsze efekty przynosi nakręcanie zaangażowania wśród własnych zwolenników. Ta konstatacja – że wzrost frekwencji, która przecież 26 maja dobiła do rekordowego poziomu 45,68 proc., przynosi premię nie opozycji, ale rządzącym – jest źródłem prawdziwego przerażenia wśród medialnych analityków drugiej strony. Oznacza ona bowiem, że podpalenie kraju, o czym III RP marzy od pierwszego dnia po przegranych wyborach parlamentarnych, niekoniecznie da władzę Schetynie i Michnikowi.

Podobnym złudzeniem kolejny raz okazały się złote rady tych licznych komentatorów, którzy na wszystkie kłopoty mają zawsze jedną odpowiedź – zabiegajcie o „klasę średnią", walczcie do upadłego o wielkie miasta, przymilajcie się do „mitycznego centrum". Owszem, rządzenie przy otwartej wrogości najbardziej wpływowych i zamożnych grup społecznych jest trudne, ale być może należy się z tym tymczasowo pogodzić. Może cena za zdobycie tych grup jest tak wysoka, że oznaczałaby podmycie samych fundamentów całego obozu? Czy nie jest tak, że przebudowując III RP, nie można nie zrazić – na poziomie interesów ekonomicznych bądź prestiżowo-symbolicznych – jej dotychczasowych beneficjentów? Grupy, których biografie sukcesu zbiegają się z historią III RP, nie uznają z dnia na dzień, że tak bardzo się myliły, że oduczono je społecznej empatii i myślenia w kategoriach systemowej całości. Zaznaczam od razu, że nie oznacza to, że nie należy upraszczać systemu podatkowego lub że nie należy walczyć z biurokracją. To należy robić. Nie wolno natomiast ulegać złudzeniu, że bycie miłym przekona ludzi, którzy tak wiele zainwestowali w nienawiść i fałszywe poczucie kulturowej wyższości.

> III RP wdrukowała wielu ludziom przekonanie, że jedyne, co się liczy, to wizerunek, piarowe sztuczki, medialna zasłona. Teraz widzimy, że może być inaczej, że politycy mogą liczyć na premię, jeżeli działają w interesie zwykłych obywateli

Wielu komentatorów powinno także przeprosić Jacka Kurskiego. Bez odpornej na presję zewnętrzną TVP wyniki wyborów byłyby odwrotne, czyli wysoko wygrałaby opozycja. Czy to się komuś podoba, czy też nie, TVP musi być wyrazistą alternatywą dla potężnych stacji komercyjnych. Tylko wówczas polska demokracja działa, a wyborca ma realny wybór.

Wszystko wskazuje na to, że jesienią będziemy mieli powtórkę majowego starcia. Opozycja, jeśli chce marzyć choćby o podtrzymaniu obecnego status quo, jeśli nie chce pozwolić na przełamanie w stylu węgierskim, nie ma innego wyjścia, jak iść dalej razem. Niczego to jej nie gwarantuje, ale jakąś nadzieję daje, w przeciwieństwie do scenariusza, w którym startują trzy lub cztery listy. To z pewnością będzie inna kampania, bo III RP spróbuje wyciągnąć wnioski z obecnej klęski; już widać, że zamierza wyciszyć ataki na Kościół. To PiS ma jednak idealną pozycję wyjściową – projekt zaproponowany Polakom w 2015 r. nie tylko się nie wyczerpał, lecz wciąż zdobywa nowych zwolenników. Rzecz w historii polskiej demokracji bez precedensu.

Jeszcze jedna uwaga: tę kampanię wygrał osobiście, szaleńczym wręcz objazdem kraju, Jarosław Kaczyński. Po drugiej stronie przegrał, także osobiście, Donald Tusk autoryzujący nagonkę na Kościół, łamiący unijne traktaty udziałem w marszu opozycji. I to mówi chyba najwięcej o zmianie, która zaszła w Polakach.

eprasa.pl 273b5b4c04

Lekcja od wzgardzonych

„Pogarda to policzek wymierzony na odległość" – pisał Wiktor Hugo i choć „jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nastaw mu i drugi", to tym razem godność przeważyła nad pokorą i wygrała z pogardą



ALEKSANDRA JAKUBOWSKA

Wybory do Parlamentu Europejskiego nie były w mojej opinii starciem światłych, proeuropejskich elit z zaściankowym, ksenofobicznym plebsem, lecz konfrontacją stosunku do obywatela i człowieka. Początkowe próby Platformy Obywatelskiej, a potem Koalicji Europejskiej, by przekonać wyborców, iż prawica pragnie polexitu i zamknięcia Polski w zapóźnionym cywilizacyjnie grajdole, do którego powróci (jeśli już nie działa) „dyktatura ciemniaków", tylko tym razem nie czerwonych, ale pokropionych wodą święconą, skutecznie zostały zneutralizowane. Przeniesienie przedwyborczego dyskursu na krajowy grunt szybko starło z opozycyjnych polityków politurę światowości i europejskości i spod tego złudnego błysku znowu wyjrzała pogarda. Znowu, ponieważ już po wygranych w 2015 r. przez prawicę wyborach ponownie wypłynęła na powierzchnię spod ciepłej wody z kranu, choć nie w tak brutalnej formie jak za czasów prezydentury Lecha Kaczyńskiego i po tragedii smoleńskiej.

Trudno zapomnieć, jak podniosła głowę, kiedy wprowadzano pierwszy duży program socjalny – 500+ – i to larum, że publiczne pieniądze z „naszych" przecież podatków płyną do patologicznych wielodzietnych rodzin, do bezrobotnych leni, półanalfabetów, którzy natychmiast zamienią je na butelki wódki i czteropaki piwa.

Szczególnie oburzeni byli wszelkiej maści celebryci, tak chętnie uczestniczący w różnego rodzaju charytatywnych akcjach, np. zbierania funduszy dla głodnych dzieci w szkołach, w przerwach między walką o dobrostan psów przykuwanych łańcuchami do bud albo adoptujących pszczoły. Dlaczego tak wiele dzieci było głodnych, już nie zaprzątało ich uwagi ani czasu poświęcanego pozowaniu na ściankach i zaszczycaniu swoją obecnością otwarcia kolejnego butiku czy galerii. Ich idealny świat wakacyjnych kurortów zaczęli psuć rodzice z dziećmi, których pierwszy raz w życiu było stać na to, żeby pokazać swoim pociechom góry czy morze. „We Władysławowie jest totalny armagedon – zjechali wszyscy państwo Kiepscy z rodzinami i przyjaciółmi, jedzenie jest drogie i przeważnie niedobre – ryby smażone na oleju nie pierwszej świeżości, królują gofry i fryty. Wszędzie gra muzyka, w każdej knajpie faceci w gastronomicznej ciąży opędzają się od swoich dzieci i umęczonych żon. Wiadomo, dobry browar to podstawa!" – napisała w 2016 r. w mediach społecznościowych dziennikarka i telewizyjna gwiazda Agata Młynarska. Artystka Krystyna Janda poskarżyła się z kolei dziennikarzowi, że kobiety zamiast sprzątać w zamożnych domach i opiekować się cudzymi dziećmi, zajmują się teraz swoimi domami i swoimi dziećmi: „Mam problem ze znalezieniem gosposi. Wolę zagrać w teatrze i w nim zarobić pieniądze, żeby dobrze zapłacić gosposi. Ale nie ma takich osób. Na szczęście są panie z Ukrainy".

Kolejne programy socjalne i kolejne erupcje troski i pochylania



eprasa.pl 273b5b4c04

się nad ludźmi, którzy, zadziwiające, nie chcą, żeby było tak, jak było. Bezpłatne leki 75+? Lista nie ta, emeryci narzekają, państwo dużo obiecuje, mało daje. Mama+? No cóż, dlaczego dawać emeryturę kobietom, które wychowały czworo dzieci i więcej, skoro są takie, które w takiej samej sytuacji jednak „potrafiły" pogodzić pracę zawodową z życiem rodzinnym. Dodatkowa 13. emerytura? To przedwyborczy ochłap rzucony emerytom, których przecież poprzednia władza tak dopieszczała waloryzacją ich świadczeń, że była pani prezydentowa radziła im, aby koniecznie spędzali wakacje na nartach w Alpach.

I to koszmarne „rozdawnictwo" z budżetu państwa, do którego przecież płyną przede wszystkim „nasze" podatki, a nie tych biedaków, ledwo wiążących koniec z końcem, oczywiście tylko dlatego, że są leniwi, niezaradni i opóźnieni technologicznie i cywilizacyjnie.

Jednak gdy obrzydzanie „rozdawnictwa" państwa nie przyniosło oczekiwanych rezultatów, bo okazało się ku niepomiernemu zdziwieniu polityków opozycji i sekundujących im celebrytów klakierów, że większość ludzi to akceptuje, a do tego gospodarka nie załamała się pod tą socjalną lawiną, wręcz przeciwnie, mocno pogalopowała do przodu, perspektywa zbliżających się wyborów zmusiła do rozpaczliwej zmiany taktyki. Rozpaczliwej, bo nic bardziej szkodzącego jej samej opozycja nie mogła wymyślić. Wydawać by się mogło, że w kraju, w którym, jak to ktoś kiedyś powiedział: „Katolicyzm jest rozległy jak morze i płytki jak rzeka", uderzenie w Kościół, przy jednoczesnym sprytnym powiązaniu go z aktualną władzą, da oczekiwane rezultaty. I nadarzyła się taka okazja, choć nie będę tu wnikać, czy zupełnie przypadkowo. Zarówno film „Kler", jak i dokument braci Sekielskich, pokazujące patologie w Kościele, a szczególnie pedofilię, zostały uznane przez opozycję za przydatny oręż w walce o rząd dusz.

I rzeczywiście oburzenie, obrzydzenie i potępienie dla pokazanych patologii płynące powszechnie ze wszystkich stron było jak powódź, która może podmyć fundamenty instytucji budowanej od tysiącleci i sprawić, że wierni się od niej odwrócą. I niektórzy politycy opozycji tej okazji nie wypuścili z rąk. Ale zapomnieli o jednym – że oprócz Kościoła jako instytucji jest jeszcze wspólnota, którą łączy wiara. Niewierzący czy ateiści wiarę swoich rodaków winni szanować – nie tylko dlatego, że wiara w dużej mierze dała siłę ich przodkom i ochroniła naród bez państwa, dała siłę, by przetrwać najgorsze czasy. Ta wiara to był wędrujący z chaty do chaty obraz Matki Boskiej w czasach, kiedy groziło to represjami, umajone przydrożne kapliczki, przy których także dziś zbierają się do wspólnej modlitwy ludzie, to tysiące pielgrzymów udających się na Jasną Górę, by się modlić, prosić o łaskę lub dziękować za to wszystko, co ich dobrego w życiu spotkało. I o ile wielu z nich potępia trąd, który trawi część Kościoła, i uważa, że trzeba za wszelką cenę wyplenić go do cna, o tyle na znieważanie najważniejszych dla siebie symboli wiary – Matki Boskiej Częstochowskiej i Najświętszego Sakramentu – nie pozwolą.

> Zapiekła złość, nienawiść, powyborcze rozczarowanie sprawiły, że szambo pogardy wybiło ponownie

Dla wielu ludzi, którzy poszli do urn, nie były to wybory do Parlamentu Europejskiego, ale wybór pomiędzy tym, czy nadstawić drugi policzek, czy też walczyć o swoją godność. Bo jeśli ktoś raz ją odzyskał, tak łatwo nie da sobie jej odebrać.

Wydawać by się mogło, że wynik wyborów skłoni do refleksji i opamiętania tych, którzy liczyli na zwycięstwo Koalicji Europejskiej. Do zmiany, która będzie wynikiem zrozumienia, że droga, którą dotychczas szli, nie przyniesie oczekiwanych rezultatów. Nic z tego. Zapiekła złość, nienawiść, powyborcze rozczarowanie sprawiły, że szambo pogardy wybiło ponownie. Były prezydent mówi, że na PiS głosowali ci, którzy nie płacą podatków. W internecie publikowany jest rysunek „antykomunistycznego" kiedyś rysownika Andrzeja Mleczki przedstawiający szczerbatego, bosego i ubranego w połatane ubranie chłopa na tle kościoła i chałupy z napisem „Pisowski głupek – produkt regionalny", a aktorka Janda, która kilka tygodni temu oświadczyła, że „nie czuje już potrzeby wymiany myśli z tym narodem", postanowiła się jednak podzielić w internecie rysunkiem babci klęczącej przed facetem w garniturze, który jak kość trzyma w ręku banknot i rozkazuje: „Daj głos!" (oczywiście w wyborach).

Okazuje się, że ci, którzy głosowali na PiS, to ciemnogród, zacofanie i pazerność, ludzie, którzy nie lubią wolności, za to lubią mieć pełny żołądek (Janusz Korwin-Mikke), a 70 proc. z nich nie jest w stanie zrozumieć rozkładu jazdy (tenże JKW). Maciej Stuhr porównuje Polskę do wrzodu na „d...e Europy", a aktor Borys Szyc do olimpijskiej medalistki zwraca się „dziewczynko", każe jej oddać medale i zabrania nosić orła na reprezentacyjnej koszulce tylko dlatego, że pozwoliła sobie publicznie wyrazić swoje zdanie w sprawie seksualizacji dzieci według programu zapowiedzianego w warszawskiej Karcie LGBT+. Z tego samego powodu telewizyjna gwiazda Kinga Rusin krzyczy do niej przez całą ulicę jak przekupka: „Wstyd!", a potem oskarża Zofię Klepacką o to, że takie poglądy mogą doprowadzać dzieci do samobójstwa (?!).

Mój teść opowiedział mi kiedyś, jak obraził fornala. Działo się to przed wojną, w majątku jego ojca, który to usłyszał. Ojciec kazał zwołać wszystkich pracujących tam ludzi i w ich obecności teść musiał pocałować fornala w rękę i go przeprosić. Tak kiedyś wychowywano elity – w szacunku do prostego, ciężko pracującego człowieka. Bo prosty człowiek czasem zasługuje bardziej na szacunek niż prostak w garniturze od Armaniego i prostaczka z torebką za 10 tys. zł.

Rys. Andrzej Krauze

eprasa.pl 273b5b4c04



Marine Le Pen i Matteo Salvini

Fot. Marco Aprile/Shutterstock.com

Mainstream osłabiony, ale nie pokonany

Pomimo przepowiedni partie eurosceptyczne i reformatorskie nie wygrały eurowyborów. Pokawałkowanie prounijnego głównego nurtu i wzmocnienie sił stojących do niego w opozycji oznacza jednak, że nowy Parlament Europejski będzie miał o wiele większą demokratyczną legitymację niż obecny



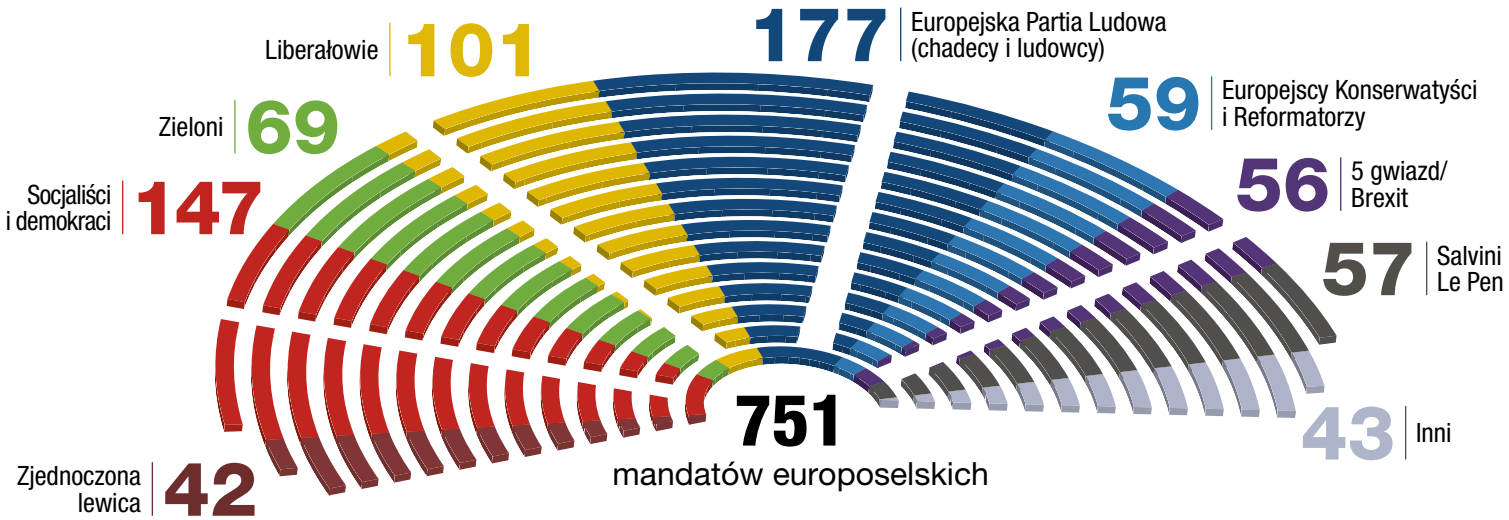
ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Europejscy wyborcy naruszyli status quo w nowym Parlamencie Europejskim, przełamując monopol głównych partii – europejskich chadeków i socjalistów. EPL i S&D będą miały łącznie już tylko około 44 proc. europosłów. Mainstream został osłabiony, ale nie pokonany. Tradycyjny układ będzie trwał, poszerzony o liberałów i Zielonych. Powstała jednak – po raz pierwszy – prawdziwa opozycja w PE wraz ze skromnym na razie potencjałem blokującym. To oznacza, że jeśli europejski establishment nie weźmie sobie do serca ostrzeżenia otrzymanego od elektoratu i będzie dalej dążył do pogłębienia integracji, partie eurosceptyczne mogą się stać przy okazji następnych wyborów za pięć lat główną siłą w PE.

eprasa.pl 273b5b4c04

PODZIAŁ MANDATÓW W EUROPARLAMENCIE

Źródło: Parlament Europejski



ROZBITY GŁÓWNY NURT

Przez ostatnie 20 lat frekwencja w wyborach do PE stale malała. W 2014 r. spadła poniżej 43 proc. Dla większości Europejczyków europarlament był klubem dyskusyjnym wypełnionym po brzegi wybrakowanym towarem, czyli tym, co nie zmieściło się w narodowych sejmach i sejmikach, skompromitowanymi politykami i celebrytami, pozbawiony realnej władzy decyzyjnej i legitymacji oraz rządzony przez „wielką koalicję" na wzór niemiecki. Coś pomiędzy zjazdem KC PZPR a dobrze płatną terapią zajęciową dla rytualnych gęgaczy. Perspektywa rozbicia skostniałego układu w PE zmobilizowała europejskich wyborców. Zarówno tych mających nadzieję na pierwszą realną zmianę dotychczasowego układu sił, jak i tych obawiających się wejścia do PE sił „populistycznych" czy to prawicowych, czy to lewicowych. Frekwencja wyniosła – jak dumnie ogłosił rzecznik Komisji Europejskiej Margaritis Schinas – rekordowe 51 proc. Ostatni raz frekwencja w eurowyborach przekroczyła 50 proc. ponad 20 lat temu. Na Malcie frekwencja była najwyższa (72,6 proc.), a najniższa na Słowacji (20 proc.).

Ale to niejedyny przełom godny odnotowania. „Wielka koalicja" z europejskich chadeków i socjalistów straciła większość, po raz pierwszy od 1979 r. Europejska Partia Ludowa zdobyła 180 mandatów, o 37 mniej niż podczas ostatnich wyborów pięć lat temu. I może stracić kolejne 13, jeśli węgierski Fidesz opuści frakcję EPL, partia Viktora Orbána zdobyła bowiem w tych wyborach aż 52,1 proc. głosów, miażdżąc lewicową opozycję nad Dunajem. Przed wyborami to europejscy ludowcy rozważali wydalenie Orbána ze swoich szeregów, teraz sytuacja się nieco odwróciła i węgierski premier grozi odejściem. Nie bez powodu: w EPL każdy mandat jest na wagę złota, partia chce bowiem wepchnąć przewodniczącego frakcji EPL Manfreda Webera na stanowisko szefa Komisji Europejskiej. Kolejny zgniły kompromis, jak grzmią krytycy, szykuje się więc między chadekami i coraz bardziej niewygodnym węgierskim premierem. Europejscy socjaliści także stracili w tych wyborach – 33 mandaty (151 zamiast 184 zdobyte w 2014 r.). Wzmocnili się za to Zieloni i liberałowie, głównie dzięki włączeniu do swoich szeregów partii prezydenta Francji Emmanuela Macrona.

Prounijny blok uległ więc fragmentacji, co oznacza, że chadecy będą potrzebowali więcej niż jednego koalicjanta, by móc rozdawać karty. Dokooptowanie Zielonych i liberałów wydaje się w tej sytuacji nieuniknione. Im większa jednak koalicja, tym większa konieczność zawierania kompromisów, długich i skomplikowanych rokowań, i tym większa niestabilność. Jednak odejście od klasycznej dominacji „wielkiej koalicji" centroprawicy i centrolewicy oznacza znacznie lepsze odzwierciedlenie poglądów wyborców, a wysoka frekwencja zwiększa demokratyczną legitymację nowego europarlamentu.

STREFA ZDERZENIA: RADA EUROPEJSKA

Należy powiedzieć to wprost: „populistyczna" fala nie nastąpiła. Mimo kryzysu wiarygodności Unii trzy prawicowe (czyli „populistyczne") frakcje w PE zwiększyły swój stan posiadania o zaledwie 18 mandatów (3–4 proc.) wobec 2014 r., zdobywając ich w sumie 173. To starczy na uformowanie głośnej opozycji, ale raczej nie pozwoli im w sposób znaczący kształtować procesu legislacyjnego w PE. „Barbarzyńcy" – jak ich pogardliwie nazywają mainstreamowe

eprasa.pl 273b5b4c04

media – zaczęli napierać na bramy Europy, ale jeszcze ich nie sforsowali. Mainstream wciąż trzyma 2/3 mandatów. Warte odnotowania są jednak ogromne sukcesy Ligi Północnej we Włoszech (34 proc.), Zgromadzenia Narodowego Marine Le Pen we Francji (23,4 proc.), które pokonało (nieznacznie wprawdzie, bo o 0,9 proc.) partię Emmanuela Macrona, oraz sukces Partii Brexitu Nigela Farage'a, która zdobyła 33,3 proc. głosów, pokonując zarówno Partię Pracy, jak i skompromitowanych torysów Theresy May. 49 europosłów pozostaje niezrzeszonych.

W innych krajach jednak zwyciężyli socjaliści lub chadecy (w Niemczech, Szwecji, Bułgarii, Portugalii czy Hiszpanii). U naszych sąsiadów za Odrą obie główne partie wprawdzie straciły, ale chadecja utrzymała swoją przewagę (28,9 proc.), podczas gdy Alternatywa dla Niemiec (AfD) zdobyła zaledwie 10,5 proc. głosów, i to głównie we wschodnich landach. W Austrii mimo tzw. afery Ibizagate (pisaliśmy o niej w tygodniku „Sieci"), czyli dwuznacznych powiązań polityków Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ) z rzekomą siostrzenicą rosyjskiego oligarchy i rozpadzie koalicji rządzącej w Wiedniu, w eurowyborach triumfowała rządząca konserwatywna Austriacka Partia Ludowa (ÖVP) Sebastiana Kurza z wynikiem 34,5 proc., a dopiero za nią uplasowała się Socjaldemokratyczna Partia Austrii (SPÖ) z wynikiem 23,5 proc. FPÖ powinna była otrzymać mniej niż 10 proc. poparcia, czego wszyscy się spodziewali, ale otrzymała aż 17,5 proc., co oznacza, że Austriacy uważali koalicję ÖVP i FPÖ za udaną, a prowadzoną przez nią politykę za słuszną.

Zwycięstwo Partii Brexitu Farage'a w Wielkiej Brytanii oznacza zaś, że mieszkańcy Wysp Brytyjskich chcą brexitu i wzięli udział w głosowaniu (w którym nie uczestniczyliby, gdyby Londyn wyszedł z Unii zgodnie z planem i obietnicami rządu w marcu) tylko po to, by wystawić premier Theresie May czerwoną kartkę za fatalny przebieg negocjacji z Brukselą i próby oszukania obywateli. Konserwatyści uzyskali zaledwie 8,8 proc. głosów, co przełoży się na garstkę mandatów. Gorzej wypadły tylko nowa proeuropejska partia Change UK (prounijna) i eurosceptyczna UKIP, czyli Partia Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (po 3,5 proc.), która została pożarta przez nową formację Farage'a. Lider Partii Brexitu nawołuje teraz do „ostatecznego zerwania z UE", co zapewne zwiększy presję na brytyjski rząd i nieszczęśliwca, który zastąpi May po jej dymisji. Jeśli Londyn nie wyjdzie z UE do października, brytyjska scena polityczna, a raczej to, co z niej pozostało, może się całkowicie posypać.

Nieznaczne wzmocnienie eurosceptycznej i reformatorskiej frakcji w PE (głównie dzięki włoskiej Lidze Północnej) przy dobrych wynikach tzw. populistów w wielu krajach członkowskich oznacza, że głównym miejscem sporów pozostanie Rada Europejska, a konflikt będzie przebiegał wzdłuż osi Północ–Południe i Wschód–Zachód.

> Rozpoczęły się rozmowy na temat tego, kto powinien zastąpić Donalda Tuska. Może to być Dalia Grybauskaitė, która właśnie opuściła urząd prezydenta Litwy

MALEJĄCY WPŁYW NIEMIEC

Spory sukces w tych wyborach osiągnęli Zieloni. Z szóstej siły stali się czwartą formacją w PE. „Zielona fala" jest jednak ograniczona geograficznie. Ekolodzy zdobyli drugie i trzecie miejsce głównie w krajach Zachodu, jak Niemcy (20 proc.), Francja, Finlandia i Luksemburg. Za to nie zdobyli ani jednego mandatu w krajach Europy Południowej i Wschodniej. A w Szwecji, ojczyźnie Grety Thunberg, niespodziewanie uzyskali zaledwie 11,4 proc. poparcia, niemal o 4 proc. mniej niż w 2014 r. Wpływ Niemiec w obu głównych frakcjach w PE stanie się – mimo sukcesu Zielonych – słabszy po tych wyborach. CDU i SPD wyślą znacznie mniej parlamentarzystów do Brukseli niż pięć lat temu. Tak więc – jak pisze dziennik „Die Welt" – wpływ Berlina na obie główne frakcje będzie mniejszy, u socjaldemokratów ton nadawać będą Hiszpanie i Włosi. Jeśli chodzi o liberałów, to niemieckiej FDP udało się wprawdzie zwiększyć liczbę mandatów do pięciu, ale biorąc pod uwagę, że cała frakcja ALDE będzie liczyła aż 108 posłów, nie ma to większego znaczenia. Europejskich liberałów zdominuje więc partia Macrona, dążąca do rozwiązań, którym niemieccy liberałowie się sprzeciwiają, jak unia transferowa i uwspólnotowienie długów. Spitzenkandidat socjalistów i wiceszef KE Frans Timmermans głośno marzył przed wyborami o „postępowym sojuszu" partii liberalnych i lewicowych, ale marzenie to nie ma szans na spełnienie. Arytmetyka jest nieubłagana i połączenie socjalistów, Zielonych, liberałów i skrajnej lewicy (bez EPL) nie pozwala osiągnąć większości, czyli co najmniej połowy 751 mandatów w PE. To także oznacza, że Timmermans raczej nie zastąpi Jeana-Claude'a Junckera na stanowisku przewodniczącego Komisji.

DŁUGIE I TRUDNE ROKOWANIA

Podziały w głównym nurcie mogą wydłużyć formowanie nowej Komisji Europejskiej. Szanse Webera, bez żadnego doświadczenia we władzy wykonawczej, nigdy nie były – jak pisze portal Deutsche Welle – oceniane w Brukseli jako bardzo duże, a teraz umiarkowany wynik frakcji EPL (pozostanie największym klubem, ale tylko z 24 proc. europosłów), która jest niewiele lepsza od S&D (20 proc. europosłów), też nie jest pomocny dla Webera. Swoje ambicje, by ścigać się o fotel po Junckerze, potwierdziła także Margrethe Vestager, komisarz UE ds. konkurencji, wywodząca się z duńskich liberałów. Ponieważ europejscy liberałowie się wzmocnili, a wszyscy głośno mówią o równouprawnieniu, to czemu Junckera nie miałaby zastąpić kobieta,

40/0519/F

eprasa.pl 273b5b4c04

na dodatek liberał? W miniony wtorek przywódcy 28 państw członkowskich dyskutowali na temat obsadzenia stanowisk w przyszłej Komisji podczas szczytu w Brukseli. Przy okazji wybuchł spór o to, kto powinien wskazywać kandydatów na szefa Komisji. Główne polityczne ugrupowania w PE chciałyby przejąć tę prerogatywę od państw członkowskich – zgodnie z systemem Spitzenkandidaten (głównych kandydatów) wprowadzonym kilka lat temu, ale traktaty mówią o wyłącznej kompetencji Rady UE. Jak przypomniał europosłom przewodniczący Rady Donald Tusk: „Rada Europejska powinna zaproponować, a Parlament Europejski wybrać szefa Komisji Europejskiej i dlatego przyszły szef Komisji Europejskiej musi mieć poparcie obu instytucji". Zapowiedział też rozpoczęcie konsultacji z PE, a konkretnie z tzw. konferencją przewodniczących, w której skład wchodzą przewodniczący parlamentu oraz szefowie wszystkich frakcji. Jednocześnie za kulisami rozpoczęły się dyskretne rozmowy państw członkowskich.

> Odejście od klasycznej dominacji centroprawicy i centrolewicy oznacza lepsze odzwierciedlenie poglądów wyborców w nowym europarlamencie

Grupa V4, która zaproponowała kandydaturę słowackiego polityka Maroša Šefčoviča na najwyższe stanowisko w Komisji Europejskiej, spotkała się np. z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem. Negocjacje mogą się okazać długie i żmudne, tym bardziej iż w niektórych państwach równolegle z wyborami do PE odbyły się wybory parlamentarne (Belgia) lub rozpadła się rządząca koalicja (Austria) i te kraje będą zapewne chciały przeciągnąć rozmowy aż do chwili powstania nowych gabinetów.

Karuzela nazwisk tymczasem kręci się w najlepsze. W Brukseli mówi się m.in. o opuszczającej właśnie urząd prezydencki na Litwie Dalii Grybauskaitė, a także zapowiadającej polityczną emeryturę kanclerz Merkel (czemu ona zaprzecza), szefie unijnego zespołu negocjacyjnego ds. brexitu Francuzie Michelu Barnierze czy obecnej wiceprezes Banku Światowego, a niegdyś unijnej komisarz Bułgarce Kristalinie Georgiewej. Rozpoczęły się zresztą także rozmowy na temat tego, kto powinien zastąpić Tuska. Może to być Grybauskaitė, jeśli nie załapie się ona na najwyższą pozycję w Komisji. Takie plotki napływają z unijnych instytucji. Na rozstrzygnięcie tej kwestii trzeba będzie jeszcze poczekać.

REKLAMA

PŁATNOŚCI KARTĄ W TWOIM SKLEPIE

Jeśli prowadzisz sprzedaż detaliczną, z pewnością zauważyłeś, że coraz więcej klientów pyta o możliwość zapłacenia kartą lub telefonem. Z badań wynika, że aż 30 proc. kupujących nie nosi przy sobie gotówki. Dodatkowo klienci płacący kartą często kupują i wydają więcej. Warto więc ich zatrzymać w swoim sklepie.

JAK TO ZROBIĆ?

Przyda Ci się do tego kasoterminal iPOS duet. Są to dwa, a nawet trzy urządzenia w jednym. Przede wszystkim kasoterminal umożliwia przyjmowanie płatności kartą i telefonem. Zastępuje także urządzenie fiskalne, wymagane do ewidencjonowania sprzedaży, a ponadto dzięki wbudowanemu modułowi pobierania danych bezpośrednio z bazy REGON od razu może drukować faktury. Nie musisz już sporządzać ich w innym systemie po wystawieniu paragonu. Obsługa zwrotów jest równie prosta. iPOS odszukuje transakcję w systemie i drukuje protokół zwrotu wraz z kopią paragonu dla klienta.

Dodatkowo kasoterminal może przesyłać wszelkie dane, paragony i statystyki sprzedaży na Twój smartfon lub komputer. Masz więc kontrolę nad biznesem zawsze i wszędzie. Decydując się na kasoterminal, wyposażasz swój sklep nie tylko w obowiązkową kasę fiskalną, lecz także w zaawansowaną platformę do zarządzania sprzedażą.

PROGRAM POLSKA BEZGOTÓWKOWA

Aby pomóc właścicielom małych i średnich firm wdrażać płatności bezgotówkowe, powstał Program Wsparcia Obrotu Bezgotówkowego, czyli powszechnie znana Polska Bezgotówkowa.

Z programu mogą skorzystać przedsiębiorcy, którzy w ciągu ostatnich 12 miesięcy nie oferowali płatności bezgotówkowych w swoim punkcie handlowym, posiadają mniej niż pięć



placówek, nie są franczyzobiorcami ani nie należą do sieci handlowo-usługowej.

Jednym z najłatwiejszych sposobów jest skorzystanie z oferty Idea Banku. Zakładając tu konto firmowe, otrzymasz kasoterminal w promocyjnej cenie, a jeśli spełniasz warunki programu Polska Bezgotówkowa, zapłacisz jeszcze mniej – nawet 799 zł netto.

eprasa.pl 273b5b4c04

Krystyna Janda jest rasistką

Elity III RP żyją w bańce warszawskiego Monako, innej, odklejonej rzeczywistości. Ta perspektywa zasłania im oczy i pozwala zapomnieć, że podwyższenie stawki minimalnej do 12 zł za godzinę było dla wielu ludzi rewolucją – mówi Jan Śpiewak, socjolog, prezes stowarzyszenia Wolne Miasto Warszawa, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Krystyna Janda rasistką? Nie przesadziłeś?

Jan Śpiewak: Straciłem cierpliwość. Nasze elity liberalne niczego się nie nauczyły od roku 2015 i – jak pokazuje reakcja na wynik ostatnich wyborów – nadal nic nie rozumieją. Rasistka to określenie adekwatne – w Polsce przez prawie 400 lat naszej historii panowało niewolnictwo, a chłopi byli wyrzuceni poza nawias historii. Pogarda wobec biednych, wykluczonych mieszkańców wsi ma charakter nie tylko ekonomiczny, ale i etniczny.



Co przelało tę czarę goryczy?

Obrazek, jaki udostępniła Janda na swoim profilu na Facebooku – kobieta w tradycyjnym stroju klęczy przed mężczyzną z banknotem, a rysunek okraszony jest hasłem: „Daj głos!"... To sprowadzenie przeciwnika politycznego do psa, który nie ma ludzkich cech. Myślę, że to pokazuje szerszy problem, który zresztą jest domeną nie tylko elit liberalnych. Mam wrażenie, że i część elit konserwatywnych myśli podobnie – pamiętam niektóre wypowiedzi komentatorów po wygranej Trzaskowskiego w Warszawie.

Wracając do Jandy – chciałem pokazać stanowisko, dać do myślenia, licząc, że może jakaś refleksja przyjdzie...

Wcielę się w rolę adwokata diabła – może jednak coś w tym jest? Może wszystkie te transfery to rzeczywiście kiełbasa wyborcza, za którą PiS kupiło głosy?

Nie. To o wiele głębszy proces. W wieczór wyborczy napisałem, że skończył się w Polsce liberalizm.

Co to znaczy?

Żyliśmy przez 30 lat w systemie, który mówił nam mniej więcej to, co Bronisław Komorowski – jak ci nie idzie, zmień pracę, weź kredyt. Przypływ uniesie każdą łódkę, każdy jest kowalem swojego losu, a jak się komuś nie udało, to był głupi albo leniwy. Albo jedno i drugie.

PiS zdiagnozowało słusznie, że ten model się wyczerpał. Ludzie nie są w stanie dłużej ciągnąć na śmieciówkach, bez bezpieczeństwa zatrudnienia, bez żadnej pomocy ze strony państwa. A przecież nawet PiS w roku 2005 było blisko liberalnego ideału. Jednak 10 lat później PiS wysłało jasny sygnał – nie jesteśmy tylko zbiorem jednostek, ale wspólnotą. A państwo ma tej wspólnocie dać poczucie elementarnego bezpieczeństwa. Doszło do radykalnej zmiany, która została potwierdzona w kampanii tzw. piątką Kaczyńskiego.

Tymczasem strona liberalna ciągle żyje perspektywą lat 90. Wspomniana Krystyna Janda jest tego zjawiska świetnym przykładem – sama żyje z dotacji publicznych...

eprasa.pl 273b5b4c04



Zdjęcia Andrzej Wiktor

Wsparcie ministerialne dla jej teatrów i fundacji spadło w ostatnich latach z poziomu kilkunastu milionów złotych za czasów Platformy do kilkuset tysięcy. Z tym że w dotacjach na kulturę nie ma niczego nadzwyczajnego.

Oczywiście, że nie ma niczego złego! W każdym państwie, które chce dbać o kulturę, musi się pojawiać mecenat ze strony państwa, ale mówię o tym dlatego, że akurat Krystyna Janda powinna rozumieć, że jest beneficjentem tego, że państwo dotuje niedochodowe sektory gospodarki! Tymczasem ona traktuje tę rzeczywistość jako taką, która jej się należy.

Twoim zdaniem to jednostkowe przykłady tego rodzaju mentalności?

Problem jest głębszy. Paradoksalnie moja porażka wyborcza w Warszawie pozwoliła zachować Platformie dobre samopoczucie. PiS co prawda wygrało wybory samorządowe, wynik ze stolicy poszedł jednak mocno w świat: zwycięstwo Trzaskowskiego wprowadziło samozadowolenie. Uznali, że można straszyć PiS i jakoś to będzie. No, nie będzie.

Złośliwi mówią, że to tak naprawdę spór Polska B kontra Polska Ą. Na czym polega to odklejenie tej drugiej, o którym pisałeś w wieczór wyborczy?

Elity III RP żyją w bańce warszawskiego Monako, innej rzeczywistości. Ta perspektywa zasłania im oczy i pozwala zapomnieć, że podwyższenie stawki minimalnej do 12 zł za godzinę było dla wielu ludzi rewolucją. Liberałowie się na to nie mogli zdobyć, bo nie mieli z tymi ludźmi żadnego kontaktu.

Platforma odkleiła się też, stawiając na stworzenie własnej maszyny propagandy – w dużej mierze za sprawą jednej sondażowni pompującej rezultaty – preparując fakty społeczne i wierząc w swoją propagandę.

Wydawało się, że wyrwać się z tych baniek pomoże Robert Biedroń.

Tak się wydawało, ale tak się nie stało. Ogromna siła Biedronia polegała na tym, że sam pochodzi z niewielkiej miejscowości, że udowodnił, że nie ma znaczenia, że jest się gejem, że można pracować w takich miastach jak Słupsk, być blisko ludzi, a przy tym nie rezygnować ze swoich poglądów. Tego zabrakło w tej ostatniej kampanii – Biedroń postawił w dużej mierze na technokratów, na zdjęcia z Timmermansem... To nie mogło się udać.

Mamy kryzys liberalnego modelu i trzeba coś z tym zrobić. PiS wykonało tutaj pierwszy krok. Zmniejszyło

eprasa.pl 273b5b4c04

nierówności, a problemy zasypało górą kasy – ale to nie przełożyło się na jakość państwa. Nadal są problemy ze służbą zdrowia, zanieczyszczeniem powietrza, z sądami...



O sądach porozmawiamy za moment. O jakiej jakości państwa mówisz?

Chodzi o to, że model zasypywania problemów kasą w pewnym momencie po prostu się wyczerpie. Jeśli opozycja chce walczyć, to obietnice pieniędzy są czymś dalece niewystarczającym. Jak jesteś chory, dostaniesz 500 zł ekstra. To ci wystarczy na doraźne wsparcie, może dwie wizyty u lekarza, ale co dalej? Chaos w szkołach wypycha uczniów do szkół prywatnych, co przecież zwiększa koszty dla rodziców. Jasne, można to łatać wzrostem pensji, dodatkami etc., ale i to się skończy w pewnym momencie. Naprawa państwa nie nastąpiła i to jest hasło, które w końcu się pojawi – jeśli nie w tych wyborach, to w roku 2023.

Zostawmy to. Ile masz procesów w związku z aferą reprywatyzacyjną w Warszawie?

Przestałem dokładnie liczyć... (śmiech). Przynajmniej kilkanaście. Najbliższy proces, który mnie czeka, dotyczy córki ministra Ćwiąkalskiego. Kancelaria byłego ministra sprawiedliwości z czasów PO oskarża mnie już w sądzie apelacyjnym. Sąd I instancji dołożył mi 5 tys. zł grzywny, a do tego kolejne 10 tys. nawiązki dla pani Ćwiąkalskiej.

Może rzeczywiście z czymś przesadziłeś? Za co cię oskarżono?

Za to, że ujawniłem, iż pani Ćwiąkalska była kuratorem 118-letniej osoby przy reprywatyzacji kamienicy na warszawskiej Ochocie. Sytuacja była prosta – w tej kamienicy w mieszkaniu komunalnym mieszkali moi dziadkowie. Lokatorzy tej kamienicy zwrócili się do mnie, bym im pomógł. Nagłośniłem tę sprawę.

No dobrze, to za co cię skazano?

Nie mogę powiedzieć.

Jak to?

Sąd utajnił nie tylko wyrok, lecz również sentencję uzasadnienia, co już jest uderzeniem w moje konstytucyjne prawo do jawnego procesu. A to naprawdę nie była sprawa dotycząca jakichś intymnych tajemnic pani Ćwiąkalskiej; mówiłem o sprawach ważnych dla tysięcy osób.

Chodziłeś na marsze w obronie sądów...

Moja obrona sądów mogła być bardziej umiarkowana... (śmiech) Jednak tzw. dobra zmiana w sądach i kolejne zmiany nie zwiększyły kontroli społecznej nad sądami. Dlaczego art. 212 ciągle jest w użyciu? Wasz redakcyjny kolega Wojtek Biedroń został całkiem niedawno skazany z tego artykułu, a jeszcze próbowano go zaostrzyć przy ostatniej nowelizacji.

Rozumiem, że na grzywnie może się nie skończyć.

Pani Ćwiąkalska żąda wyższej grzywny, ale i kary więzienia w zawieszeniu. Ale znowu – to nie chodzi o mnie, po prostu liberalna elita, o której rozmawiamy, a która skorzystała z transformacji w sposób niebywały, jest podpięta pod układ Platformy, i nie ma wstydu ścigać i próbować wsadzić sygnalistę, który nagłośnił aferę reprywatyzacyjną. Walka idzie o ich interes ekonomiczny, o to, by „zdobycze" reprywatyzacji nie zostały cofnięte. Na placu boju zostałem tylko ja, no i komisja weryfikacyjna, z którą nie wiadomo, co będzie, bo Patryk Jaki wyjeżdża do Brukseli.

Wygląda na to, że tak jak Bronisław Wildstein był swojego czasu jedynym skazanym w sprawie stanu wojennego, tak ty możesz być jedynym w sprawie afery reprywatyzacyjnej.

To pokazuje nędzę polskiego wymiaru sprawiedliwości. Ale jest szansa, że ze mną będzie jeszcze gorzej i pójdę siedzieć.

O czym mówisz?

W ramach obywatelskiego nieposłuszeństwa nie zapłacę ani grzywny, ani nawiązki dla pani Ćwiąkalskiej, niezależnie od tego, co postanowi sąd apelacyjny. To narusza moje elementarne prawa obywatelskie. Niech sąd zamienia wyrok na areszt, trudno.

Następny wywiad przeprowadzimy zza krat?

Mam tylko nadzieję, że następca ministra Jakiego, który będzie nadzorował służbę więzienną, załatwi mi dobrą celę i zapewni dostęp do książek.

eprasa.pl 273b5b4c04



Kadr z filmu „Tylko nie mów nikomu”

Pożar bywa czasem konieczny

Szok, oburzenie, smutek, złość to dominujące wśród wiernych i duchownych uczucia po obejrzeniu filmu braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”. Zapytałam kilku księży o ich reakcję na dokument oraz ewentualne skutki tego filmu w ich działalności duszpasterskiej



***Ks. Bogusław Wolański*, proboszcz parafii św. Józefa Oblubieńca NMP w Olszynie, przez 12 lat pracownik Kurii Biskupiej w Legnicy**

Film obejrzałem w dniu premiery. Wiodła mną ciekawość. Z minuty na minutę ogarniało mnie zdumienie, z czasem szok, a później wstyd, że takie zbiry noszą sutannę. Człowiek jest grzeszny, ale grzech bezczelnego wykorzystywania dzieci jest niewytłumaczalny. To bezczeszczenie obrazu Boga, który swoje oblicze wymalowuje w niewinności dzieci. Narastała we mnie złość i wręcz krzykiem pytałem się, jak oni zostali kapłanami?! Jak doszli do tak zaszczytnych urzędów: kapelan prezydenta RP, budowniczy Lichenia?! Jak zlecono im tak ważne zadania? Gdzie byli przełożeni? Było mi wstyd, że oni fotografowali się z Janem Pawłem II, największym z Polaków, świętym człowiekiem.

Gdy ochłonąłem, zacząłem myśleć. Diagnozować problem. Ogarnęła mnie złość, że tyle razy Jan Paweł II, Benedykt XVI, Franciszek zwracali uwagę, by nie przyjmować do seminariów, nie święcić mężczyzn ze skłonnościami homoseksualnymi, a ciągle oni stają do święceń. Niekiedy mam wrażenie, że z łatwością przedostają się na wysokie urzędy, kierują, rządzą i demoralizują. Burzą piękno Kościoła, a kiedy coś zaczyna się dziać, mówią: „Nie mówmy źle, zachowajmy milczenie”. Obrzydliwe. Ileż to razy ksiądz prof. Oko powtarzał, że większość pedofilów to homoseksualiści (widać też to w filmie). Dlaczego oni wciąż są przyjmowani do seminariów, dlaczego przez lata formacji nie są usuwani? I tu tkwi główny problem. Czy jest w Kościele wola, by to zboczenie wyeliminować? Mam obawy, że zbyt słaba albo żadna.

Po filmie, obrzydzony sytuacją, wyciągam jeden wniosek: muszę dbać o swoją świętość i piękno człowieczeństwa oraz kapłaństwa. Wiem, że od mojej świętości wiele zależy. Ludzie w parafii patrzą na Kościół przez swoich kapłanów. I tu mam wiele do uczynienia. Jeśli będę święty, to taki będzie Kościół.

eprasa.pl 273b5b4c04



Kadr z filmu „Tylko nie mów nikomu”

Każdy jest grzeszny, ale to, co zobaczyłem i co się wydarzyło, woła o pomstę do nieba. Muszą za to ponieść odpowiedzialność ci, którzy dopuszczają do święceń i wynoszą na urzędy ludzi wątpliwych moralnie, a w konsekwencji – okazuje się – zboczeńców i złoczyńców. Tymczasem wielu porządnych ludzi siedzi poupychanych na peryferiach.

Czy po filmie odejdą ludzie od Kościoła? Na pewno są zgorszeni, ale jeśli oczyścimy sytuację i normalni, zdrowi, święci ludzie będą przejmować władzę, to jest duża szansa odbudowania autorytetu kapłanów. Dzięki Bogu większość ma piękną duchowość i pięknie służy, a to dla wiernych jest ważne. Czują się bezpiecznie przy swoich kapłanach.



***Ks. Mariusz Wedziuk*, dyrektor, redaktor naczelny Radia Warszawa, rezydent w parafii Matki Boskiej Królowej Polski w Aninie**

Jako księdza głęboko zabolały mnie czyny moich współbraci kapłanów. Jednak jeszcze bardziej boli mnie, gdy czyny niewielu zostały przypisane wszystkim (mamy przecież ok. 30 tys. księży i zakonników w Polsce). Jest więc cała rzesza dobrych, gorliwych kapłanów, którzy dzisiaj są pomawiani i oskarżani o zło, którego nie popełnili. Ucierpiała na tym cała wspólnota Kościoła i skutki tego zła, które się dokonało, będziemy ponosić jeszcze przez wiele lat.

Kilka dni po pojawieniu się w sieci filmu braci Sekielskich rozmawiałem z zaprzyjaźnioną panią pedagog. Zapytałem ją o wrażenia. Chciałem znać odczucia osoby świadomie obecnej w Kościele. Usłyszałem, że pierwszym odczuciem mojej znajomej była niechęć do duchownych. Nie miała ochoty się spotykać ani rozmawiać z żadnym księdzem. Tak silną reakcję obrzydzenia wywołał film w osobie wierzącej i praktykującej. Okazało się, że byłem pierwszym duchownym, z którym rozmawiała po emisji. Skoro tak zareagowała osoba związana z Kościołem, co mogli poczuć ci wszyscy, którzy są od niego dalej?

Dzisiejsza sytuacja w Kościele będzie więc na pewno testem dla osób „letnich”. Grzech zgorszenia, do którego doszło, może mieć na nich taki wpływ, że zupełnie odejdą z Kościoła. Jest tak, jak jest napisane w Ewangelii św. Łukasza: „Niepodobna, żeby nie przyszły zgorszenia; lecz biada temu, przez którego przychodzą. Byłoby lepiej dla niego, gdyby kamień młyński zawieszono mu u szyi i wrzucono go w morze, niż żeby miał być powodem grzechu jednego z tych małych. Uważajcie na siebie!”.

Martwi mnie, że mogło się udać postawić w społecznej świadomości znak równości między Kościołem a pedofilią, między księdzem a pedofilem. Od dłuższego czasu podejmowana jest próba obrzydzenia Polakom Kościoła, a i ten film się do tego przyczynił. Tym bardziej cieszą akcje, które pojawiły się w mediach społecznościowych w kontrze do tytułu „Tylko nie mów nikomu” – „Tylko powiedz wszystkim (o dobrych księżach)”. Dziś ci dobrzy, normalni księża są wytykani palcami, bo zło ich braci, którzy się pogubili,

27/0519/F

eprasa.pl 273b5b4c04

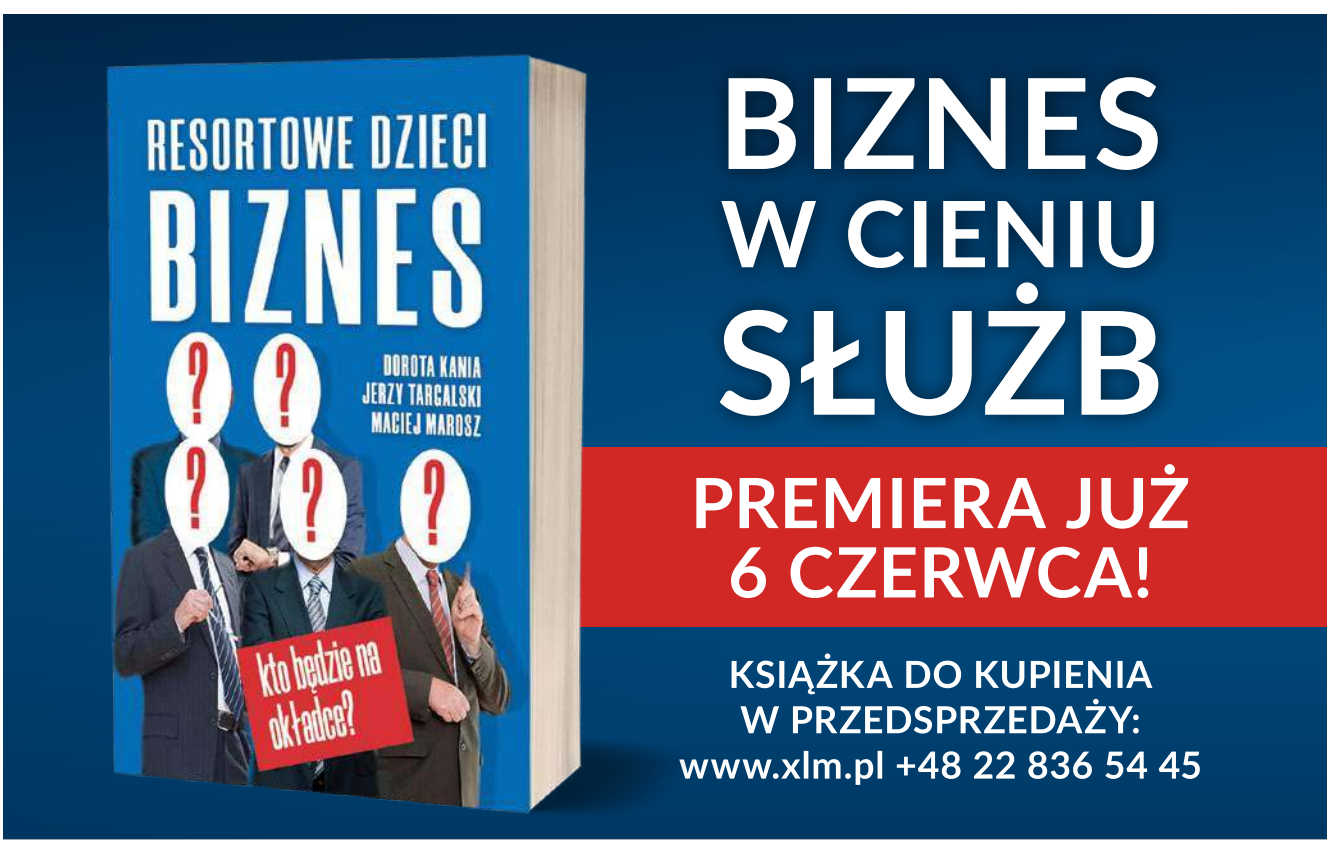

Kadr z filmu „Tylko nie mów nikomu”

przenoszone jest na wszystkich duchownych. I bardzo żal mi tych księży, którzy gorliwie i uczciwie pracują, a zaczęto ich postrzegać przez pryzmat win innych. To wyrządza im wielką krzywdę. Są stawiani pod pręgierzem z winnymi.

Po emisji filmu braci Sekielskich nie spotkałem się jednak ze złością czy agresją w bezpośrednich kontaktach z parafianami. Ludzie raczej oczekiwali, że wytłumaczymy im rzeczywistość oraz że nie będziemy uciekać od problemu, ale pokażemy, jak wypalić zło rozpalonym żelazem. Osoby obecne w Kościele i za ten Kościół odpowiedzialne mają świadomość zgorszenia, jakie się dokonało, natomiast nie uogólniają problemu i nie robią z niego słabości całego Kościoła. W jednym z kazań sam powiedziałem, że zło trzeba nazwać złem oraz się z nim zmierzyć. Nie można go jednak utożsamiać z całym Kościołem i wszystkimi duchownymi, bo to kłamstwo.

Ważne, by pomóc zrozumieć ludziom, czym jest Kościół. Z powodu filmu „Tylko nie mów nikomu”, a także rozpętanej nagonki Kościół utożsamiany jest z instytucją, hierarchią kościelną, z aparatem politycznym. Tymczasem Kościół to wspólnota, to my wszyscy, ludzie wierzący. Jeśli ktoś rozumie Kościół jako wspólnotę, to czuje za niego odpowiedzialność, nie jest to wówczas Kościół biskupów, papieży, księży, ale wspólnota, w której wszyscy jesteśmy obecni, za którą wszyscy bierzemy odpowiedzialność. Tymczasem wielu świeckich zdystansowało się od tematu, mówiąc, że to problem księży, Kościoła instytucjonalnego, nie ich problem, niech więc oni się tłumaczą. Jednak jeśli ktoś jest w Kościele obecny świadomie, bierze za niego odpowiedzialność. Gdy ktoś ze świeckich popełni zło, Kościół się od niego nie odżegnuje, bierze za niego odpowiedzialność. Zdarzyło mi się, że po eucharystii parafianie dziękowali za wyjaśnienie, czym w istocie jest Kościół. Oczywiście nie bierze się cudzych grzechów na siebie, ale one ranią całą wspólnotę Kościoła. Kościół jest święty, ale składa się z grzesznych ludzi, a ich grzeszność rani całą wspólnotę. Na szczęście ludzie obecni świadomie w Kościele nie mają chyba

REKLAMA



eprasa.pl 273b5b4c04

tendencji, by utożsamiać problem pokazany w filmie z całą wspólnotą Kościoła i ze wszystkimi księżmi. Tacy wierni mają doświadczenie relacji ze swoimi duszpasterzami i to przez ich pryzmat patrzą na wspólnotę. Wiele osób mówiło mi po filmie: „Proszę księdza, nie znam takich duchownych, nigdy z czymś takim się nie spotkałem". Na kanwie tego filmu oczekuje się teraz od księży, żeby wystawili się do bicia i nieustannie przepraszali. A przeprosiny już padły: i z ust przewodniczącego episkopatu abp. Stanisława Gądeckiego i z ust prymasa abp. Wojciecha Polaka.

O ile nie spotkałem się z bezpośrednią agresją wiernych, o tyle spotkałem się ze złością i agresją w mediach społecznościowych. Anonimowość w sieci rozzuchwala ludzi do obrażania, poniżania i wyzwisk. Jestem obecny na Twitterze, doświadczyłem więc hejtu, podając nawet Słowo Boże przeznaczone na dany dzień. Kościół został założony przez Chrystusa i jest w jego rękach. Założyciel Kościoła obiecał nam, że „bramy piekielne Kościoła nie przemogą", a on „będzie z nami przez wszystkie dni, aż do końca świata".

> Po filmie, obrzydzony sytuacją, wyciągam jeden wniosek: muszę dbać o swoją świętość i piękno człowieczeństwa oraz kapłaństwa. Ludzie w parafii patrzą na Kościół przez swoich kapłanów



***Ks. Bogusław Kowalski*, proboszcz katedry św. Michała Archanioła w Warszawie**

Film braci Sekielskich obejrzałem z wielkim bólem. Trudno go nie odczuwać, gdy patrzymy na takie zło, podane w tak ostry sposób. Dzień po opublikowaniu tego filmu w sieci miałem swój tradycyjny półgodzinny stand-up na jarmarku. Zapowiadał mnie jeden z kabareciarzy bardzo znanego kabaretu. I ku mojemu zaskoczeniu był niezwykle życzliwy i serdeczny. Wchodząc na scenę w koloratce, spodziewałem się różnych reakcji oraz tego, że mogę usłyszeć z tłumu dosłownie każdą obelgę. A było tego dnia bardzo dużo ludzi. Jednak nie spotkało mnie nic przykrego, nikt nawet nie podjął tego tematu. Był śmiech i brawa. I myślę, że to nawet nie chodziło o samego Kowalskiego, tylko o to, że część ludzi chciała okazać życzliwość i wsparcie.

Spotkałem się także z bezpośrednimi komentarzami, ale i one nie były złośliwe. Jedna osoba powiedziała mi pod kościołem, że zawsze wiedziała, iż za Kościół trzeba się modlić, ale teraz ta modlitwa jest mu szczególnie potrzebna i teraz bardziej niż kiedykolwiek wspólnota musi być razem. Spotkałem się także z uwagą mężczyzny, że dziś trzeba prawdziwej odwagi, by pokazać się na mieście w koloratce czy sutannie. I to właściwie wszystkie reakcje. Od publikacji dokumentu mijają już dwa tygodnie, a w tym czasie nikt mnie jeszcze nie opluł czy nie zwyzywał na ulicy. Co więcej – w dwie kolejne niedziele na wieczornych mszach, na które przychodzą głównie ludzie młodzi, było więcej osób niż w niedziele przed publikacją dokumentu.

Ale i to nie wszystko. Niedawno byłem w pałacu w Sannnikach, za Sochaczewem. Zaproszono mnie tam do występu. Tematem był chrześcijański humor w anegdotach księży Piotra i Bogusława, na bazie płyty i książki: „Czarny humor" (ks. Piotr Pawlukiewicz & ks. Bogusław Kowalski). Sala była wypełniona po brzegi. I nawet ochroniarz komentował, że dawno nie widział tak pełnej sali, bo przeważnie przychodzi połowa tego, co na nasz występ. Nie próbuję osładzać sytuacji, tylko widzę, że ludzie próbują okazać wsparcie. Na praskiej ulicy wciąż słyszę: „Pochwalony".

Listu biskupów poświęconego pedofilii w Kościele zdecydowałem się jednak nie czytać. Jeśli chodzi o mszę dziecięcą – w ogóle nie miałem wątpliwości, że ze względu na zawarte tam treści najmłodsi nie mogą tego usłyszeć. W przypadku innych mszy kuria zostawiła nam furtkę, pisząc, że odczytanie listu pozostawia do decyzji księży. Przegadałem sprawę z innymi kapłanami i podjęliśmy decyzję o nieczytaniu listu. Powiedziałem natomiast w ogłoszeniach, że są w Kościele krwawiące, bolesne rany, w związku z nimi episkopat wystosował list do wiernych, który opublikowany jest na stronie diecezji i kto ma ochotę może go bez problemu przeczytać. Nikt nie przyszedł do zakrystii z pretensjami, że list nie został odczytany, choć oczekiwałem takiego scenariusza. Nasza decyzja została uszanowana.

W związku z pedofilią w Kościele przytoczyłem w kazaniu pewną anegdotę, którą przytoczę także tutaj. Parę lat temu płonął dach kościoła Chrystusa Króla na Targówku. Gdy tam pracowałem przez cztery lata, z tego dachu wciąż kapało, a proboszcz nie mógł zlokalizować przecieku. Po sześciu latach przyjechałem na pogrzeb ciotki, a dach wciąż przeciekał. Czyli usterki nie udało się usunąć przez dziesięć lat. Choć różne ekipy próbowały zlokalizować i zlikwidować przeciek, to żadna nie zrobiła tego skutecznie. Wreszcie jedna z ekip zaprószyła ogień i spłonął dach. Wszyscy mówili więc o strasznej tragedii w parafii na Targówku. A po tym wydarzeniu proboszcz parafii mówi tak: „Ty Boguś wiesz, że bardzo przeżyłem ten pożar. Ale są dwa pozytywne skutki: ludzie się zjednoczyli po tym pożarze, a dach wreszcie przestał przeciekać, bo jest nowy". Trzeba więc czasem bolesnego pożaru, żeby zlokalizować przeciek i zlikwidować podskórne kanały. Kościołowi też jest potrzebny bolesny i przykry pożar, który unicestwi podskórne zło. Teraz wszyscy moralnie i duchowo cierpimy, ale liczę, że owoce z tego cierpienia będą piękne.

Dorota Łosiewicz

eprasa.pl 273b5b4c04

List na Pierwszą Komunię

List Rady Stałej Episkopatu na temat dewiacji seksualnych skierowany do wiernych i do ich małych dzieci był świadectwem zlekceważenia ich obecności w Kościele oraz dania prymatu piarowskiej kampanii schlebiania antyreligijnym mediom



Fot. Shutterstock



JAN ROKITA

Niedziela 26 maja. Tak się składa, że jestem na sumie we wsi na odległej polskiej prowincji. Ale obrazek z tego czasu jest typowy i znany dobrze każdemu polskiemu katolikowi. Kościół udekorowany symbolami niewinności: śnieżna biel lilii i styropianowych wycinanek baranków, pierwsze rzędy krzeseł zaś przyozdobione białym atłasem i konwaliami. Zajmuje je gromada ślicznie wystrojonych dzieci – tych, które tydzień temu przystąpiły do Pierwszej Komunii, i tych, które świętują dziś pierwszą rocznicę tego wydarzenia. Nazywa się to biały tydzień.

Kościół podczas sumy nabity ludźmi, w sporej części rodzinami dzieci, przejętymi

eprasa.pl 273b5b4c04

całą sytuacją nie mniej niż one same. Po komunii – nieporadne dziecięce recytacje wierszy o wdzięczności i zaufaniu do Pana Jezusa, a także do starego proboszcza, który te dzieci przez rok przygotowywał do sakramentu. No i również o miłości matczynej, bo to 26 maja – obchodzony u nas powszechnie Dzień Matki. Wszystko trochę naiwne, może nawet nadto odpustowe, ale szczere i pełne wiary. A przede wszystkim dobrze znane, bo powtarzalne co roku w maju w każdej albo w prawie każdej świątyni.

„BRUTALNE ODARCIE Z GODNOŚCI"

Tym dzieciom i ich bliskim polscy biskupi kazali odczytać w tę majową niedzielę list na temat (jak sami autorzy to określili) „skandali seksualnych z udziałem duchownych". W liście mowa o „wielkim zgorszeniu" oraz o „całkowitym potępieniu i żądaniu wyciągnięcia surowych konsekwencji wobec przestępców". Dzieciom, które dopiero co pierwszy raz w życiu z zaufaniem spowiadały się u plebana, biorąc odeń karteczki niezbędne do otrzymania sakramentu, biskupi postanowili oznajmić, iż: „dzieci szukające bliskości Jezusa doświadczają przemocy i brutalnego odarcia z godności". Niespodziewające się czegoś takiego ośmio- i dziewięciolatki musiały przeżyć coś na kształt niepokojącego zdziwienia, słuchając słów tak sprzecznych z ich własnym doświadczeniem spotkania z księdzem, a zarazem tak obcych naturalnemu klimatowi pierwszokomunijnej celebry. Podobnie zresztą jak ich rodzice. Tak właśnie musiało się tego dnia zdarzyć w wielu kościołach w Polsce, chociaż akurat nie w tej wsi, w której byłem na sumie. Bogu dziękować, że stary, mądry pleban kazał wikaremu przeczytać list na mszy o siódmej rano, w której uczestniczy nieliczna grupa wiejskich dewotek. A sam podczas sumy wygłosił do dzieci przynależną liturgii tego dnia homilię o tajemnicy Eucharystii i roli matek w ich życiu.

Trudno nie zadać pytania – co musi dziać się w głowach ludzi, którzy z premedytacją nakazali czytać ów tekst podczas wszystkich mszy 26 maja, świadomi przecież, że w tym roku ów dzień kończy właśnie tzw. okres komunijny? Myślę o ścisłym kierownictwie polskiego Kościoła, czyli Radzie Stałej Episkopatu, która w środę 22 maja wystosowała ów list, nakazując go bezzwłocznie czytać w kościołach już w najbliższą niedzielę.

To, co zwraca tutaj uwagę, to odstępstwo od kościelnych zwyczajów, wedle których tzw. listy pasterskie, a nawet komunikaty biskupów przygotowywane są zazwyczaj wiele tygodni przed datą ich odczytywania na mszach. Najwyraźniej szefostwo Episkopatu musiało uznać, że z publicznym wyrażeniem swojego „całkowitego potępienia i żądania wyciągnięcia konsekwencji" nie może już ani chwili dłużej zwlekać. Czemu? Tak jakby autorów listu nagle ogarnęła jakaś nieposkromiona panika. Nawiasem mówiąc, już szóstą dekadę chodzę co niedzielę na mszę, ale jeszcze dotąd nie słyszałem, aby od ołtarza ex officio zgłaszano żądania „wyciągnięcia surowych konsekwencji wobec przestępców i osób ich ukrywających". Dotąd byłem pewien, że gdzie jak gdzie, ale u stóp ołtarza wzywa się tylko do pokuty i miłosierdzia nawet dla największych zbrodniarzy. Tak jak czyni to starodawna liturgia Wielkiego Piątku, w której Kościół od prawie dwóch tysięcy lat nieodmiennie modli się o „otwarcie więzień i rozerwanie kajdan". Tym razem można było odnieść wrażenie, że biskupi z jakiegoś powodu wchodzą w rolę bezlitosnego prokuratora Zbigniewa Ziobry, publicznie się domagając, by okazać surowość przestępcom i ich popleczni kom.

DIAGNOZA PRYMASA

Odkąd po filmie (świetnego skądinąd dziennikarza) Tomasza Sekielskiego kler w Polsce stał się obiektem bezprzykładnej nagonki, nietrudno spostrzec coraz liczniejsze objawy paniki biskupów, zwłaszcza tych piastujących kluczowe kościelne urzędy w Polsce. Uciszono i kazano przepraszać arcybiskupowi Sławojowi Głódziowi, który ośmielił się powiedzieć jedno lekceważące zdanie za dużo na temat filmu. Kardynał Kazimierz Nycz uznał za słuszne udzielić „Rzeczpospolitej" wywiadu, w którym kajał się za to, iż nie chciał wystąpić w filmie, w którym dziennikarz sprytnie próbował zastawić nań pułapkę: miał występować, nie wiedząc ani w czym, ani w jakim kontekście. „Dziś bym wystąpił, pragnę za to przeprosić" – bije się w piersi metropolita warszawski. I zapowiada, że biskupi gotowi są spełnić żądanie najbardziej zapamiętałych wrogów religii, domagających się powołania jakiegoś państwowego specjalnego organu dla rozliczenia Kościoła katolickiego z całej historii dewiacji seksualnych kleru. Polscy przeciwnicy religii z zazdrością spozierają na przykład Australii, gdzie właśnie tą metodą udało się osiągnąć coś, co u nas jest jeszcze nadal tylko marzeniem: rozpętać prawdziwie ludową falę nienawiści wobec kleru.

Wrocławska kuria bez wahania tym razem oznajmiła, iż wszczyna śledztwo w sprawie oskarżeń formułowanych wobec kardynała Henryka Gulbinowicza, a nawet uznała za stosowne odciąć się publicznie od prawników próbujących występować w obronie dobrego imienia starego hierarchy. Wszystko to pomimo oczywistego faktu, iż autorem owych oskarżeń, formułowanych od wielu lat, jest jakiś zdeprawowany człowiek, w sieci poszukujący (jak sam pisze) „zabawy, mężczyzny i miłości", a na dodatek niekryjący swej fanatycznej wrogości wobec chrześcijaństwa. W ciągu poprzednich sześciu lat zasiadania na wrocławskiej stolicy biskupiej arcybiskup Józef Kupny nie widział powodu dla takiego śledztwa, choć to samo oskarżenie było znane i obecne w domenie publicznej.

Bodaj najbardziej aktywnym w mediach hierarchą jest prymas Polski. I to on właśnie jest autorem zadziwiającej diagnozy aktualnej sytuacji polskiego Kościoła, jaką sformułował w wywiadzie dla TVN. „Nie widzę tej ręki, która jest podniesiona na Kościół" – mówi arcybiskup Wojciech Polak, wchodząc w polemikę ze znaną i powtarzaną w toku kampanii wyborczej tezą Jarosława Kaczyńskiego o „trwającym ataku na Kościół". Nawiasem mówiąc, prymas, przeciwstawiając się wprost diagnozie szefa PiS, czyni to na sposób (chciałoby się rzec) nieco „jezuicki", gdyż jednocześnie zastrzega się, iż „nie będzie komentował wypowiedzi lidera partii rządzącej".

eprasa.pl 273b5b4c04

Rzecz jednak w tym, iż diagnoza prymasa formułowana jest w tym samym czasie, gdy jedna z najbardziej opiniotwórczych polskich gazet wszczyna właśnie akcję mającą zorganizować katolików, aby respektowali 14 przykazań, jakie gazeta ogłosiła właśnie, powołując się na postulaty czytelników. Są wśród nich m.in. takie: „Katolicy, nie idźcie na mszę", „Kilka mocnych demonstracji przed kościołami", „Wypowiedzieć konkordat", „Sprawdzać katechetów", „Niech Kościół płaci wysokie odszkodowania" etc., etc. To tylko dość przypadkowy przykład rozwijającej się i coraz lepiej zorganizowanej akcji dążącej do zniszczenia religijności społeczeństwa polskiego. Trudno więc nie postawić pytania: czy prymas Polski utracił kontakt z rzeczywistością? Czy też po prostu świadomie mówi nieprawdę w tak zasadniczej dla dzisiejszej sytuacji kwestii? A jeśli świadomie fałszuje rzeczywistość, to dlaczego?

> Odkąd kler w Polsce stał się obiektem bezprzykładnej nagonki, nietrudno spostrzec coraz liczniejsze objawy paniki biskupów

Tutaj właśnie tkwi chyba sedno sprawy. Panika biskupów (przynajmniej niektórych z nich), a także coraz liczniejszej grupy duchownych, bierze się właśnie z rosnącego poczucia oblężenia przez antyreligijną kampanię prowadzoną przez media. Początkowo biskupi milczeli albo próbowali się opędzać od wrogich mediów niczym od natarczywych much. Ale ta taktyka zaczęła zupełnie zawodzić po niedawnej premierze filmu Sekielskiego, pokazującego namacalnie i bez wątpliwości przypadki księży dewiantów, których nigdy nawet nie próbowano odseparować od pracy duszpasterskiej. W hierarchii kościelnej zaczął się pojawiać strach przed ludowym linczem podsycanym przez gazety, telewizje, portale oraz (co nie bez znaczenia) partyjnych polityków, próbujących użyć podburzonych zbiorowych namiętności jako wiatru w żagle swoich partii na finiszu kampanii wyborczej.

Strach ów pobudzany jest jeszcze błyskawicznie obiegającą kraj pogłoską, a to, że opluty na ulicy ksiądz płakał na kazaniu, a to, że gdzieś wszyscy alumni porzucili seminarium, a to znowu, że gdzie indziej mają już przygotowane „papiery na kolejnego biskupa". Do tego pikiety pod kuriami, zapowiedzi zajęcia archiwów kościelnych (były minister spraw wewnętrznych), wulgarne napisy na murach klasztorów, doniesienia do prokuratury, zgłaszane roszczenia finansowe oraz żądania dymisji tego czy innego biskupa albo nawet całego Episkopatu. Na dodatek biskupi dobrze wiedzą (co zresztą przyznano wprost w liście Rady Stałej), że wykazali sporo nieudolności w tym, aby uniemożliwić kapłanom dewiantom ich aktywność, zwłaszcza gdy idzie o dzieci. Boją się zatem jeszcze i tego, że rozpętana w Polsce antykościelna kampania może skłonić papieża (także skądinąd bardzo wrażliwego na media) do podjęcia przeciw nim kroków nieobliczalnych, takich choćby na jakie zdecydował się wobec biskupów chilijskich.

PANIKA JEST ZŁYM DORADCĄ

Tak, to prawda. Można od tego wszystkiego stracić głowę i trzeźwą ocenę sytuacji. Prymas Polski najwyraźniej próbuje oswoić całą tę wrogą wobec Kościoła rzeczywistość, udając, że widzi w niej tylko szczerą troskę o religię, a nie dostrzega żadnego wrogiego planu walki z chrześcijaństwem. Myślę, że czyni tak w nadziei, iż tym sposobem złagodzi jakoś zwłaszcza agresywny ton mediów podburzających opinię publiczną oraz skłoni antyreligijnych polityków i aktywistów, aby i oni przyhamowali swoje natarcie. Być może także prymas i inni członkowie Rady Stałej liczą na to, że uda im się uspokoić wpływowych w Watykanie, a niekoniecznie życzliwych polskiemu Episkopatowi papieskich współpracowników. Jest to taktyka znana dobrze z terenu polityki, ale od razu powiedzmy: najczęściej złej polityki, takiej, której zwykle nie udaje się osiągnąć niczego. Zresztą reakcja na nagły i nieznoszący chwili zwłoki list Rady Stałej świadczy o tym dobitnie.

Ze wspomnianej już wpływowej i antyreligijnej gazety autorzy listu mogli się dowiedzieć, że najprawdopodobniej robią to, co robią, gdyż jest to z ich strony „próba gaszenia medialnego pożaru i ratowania stołków". A nawet gdyby niektórzy spośród nich przeszli autentyczne „nawrócenie", to i tak w polskim Kościele nie oni są ważni, ale „konserwatywni i zaangażowani politycznie proboszczowie". Gazeta daje biskupom lekcję, że im bardziej będą działać pod dyktando agresywnych mediów, tym bardziej będą atakowani jako słabi i nieumiejący się bronić.

Trudno zresztą w jednym nie zgodzić się z diagnozą owej gazety. W ciągu ostatnich dwóch tygodni kierownictwo Episkopatu działa wyraźnie z intencją „gaszenia medialnego pożaru". I wydaje się, że dla tego nieosiągalnego przecież celu gotowe jest machnąć ręką na wrażliwość i uczucia paru milionów zwykłych wierzących ludzi, np. tych, którzy 26 maja z zaufaniem do księży i biskupów posłali swoje dzieci do Pierwszej Komunii. List na temat dewiacji seksualnych skierowany tego dnia do nich i do ich małych dzieci był świadectwem zlekceważenia ich obecności w Kościele oraz dania prymatu piarowskiej kampanii schlebiania antyreligijnym mediom. Biskupi popełniają w ten sposób błąd typowy dla ludzi, których ogarnęła panika. Tracą mianowicie rozeznanie w tym, gdzie oni sami, a z nimi cały Kościół ma dziś jeszcze prawdziwe oparcie i źródło siły. A nie są to ani grające na rozpętanych złych namiętnościach partie polityczne, ani warszawskie redakcje, ani nawet masowo oglądane programy telewizyjne. Ale zwyczajni proboszczowie i ich parafianie, którym w momencie zagrożenia trzeba okazać duchową moc, konsekwencję w działaniu i niepoddawanie się nastrojom. Wiadomo przecież, że panika jest najgorszym doradcą.

eprasa.pl 273b5b4c04

Atak na arcybiskupa

Ostatnie tygodnie przed wyborami do europarlamentu upłynęły pod znakiem nieustannych ataków na Kościół katolicki i wspólnotę wierzących. Profanowano wizerunki Matki Bożej Jasnogórskiej, szydzono z Najświętszego Sakramentu, dewastowano pomniki Jana Pawła II, wzywano do rozprawy z księżmi. Uroczysty wykład Donalda Tuska z okazji Święta Konstytucji 3 Maja poprzedzony został tak napastliwym antyklerykalnym wystąpieniem, jakiego nie słyszano w Polsce od czasów upadku komunizmu.

Część głosów krytycznych pod adresem hierarchów Kościoła miała swoje realne uzasadnienie, zwłaszcza tych, które dotyczyły skandali związanych z molestowaniem seksualnym osób nieletnich. Poświęcony tej sprawie film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu" niewątpliwie dotknął prawdziwego problemu będącego źródłem publicznego zgorszenia.

Obraz został później wykorzystany jednak do walki nie tylko z problemem pedofilii, lecz także z niektórymi nielubianymi biskupami. Gdybyśmy mieli wskazać, który z dostojników stał się celem szczególnie zjadliwych ataków, nie mielibyśmy problemów z wytypowaniem metropolity krakowskiego Marka Jędraszewskiego.

Abp Marek Jędraszewski stał się ostatnio celem zmasowanej kampanii medialnej. To dobrze zaplanowana akcja sięgająca po manipulacje i kłamstwa. Dlaczego?



GRZEGORZ GÓRNY

KŁAMSTWO I POLITYKA

12 maja w „Faktach" TVN wyemitowany został materiał reporterski Renaty Kijowskiej, w którym usłyszeć można następującą narrację lektorską: „Film »Tylko nie mów nikomu« braci Sekielskich to spowiedź ofiar, bezkarność sprawców i tuszowanie ich win ze strony przełożonych. Po nim pojawiły się skrajnie różne reakcje kościelnych hierarchów. Od przeprosin po ucieczkę od tematu i obronę przez atak". W dalszym ciągu reportażu pojawia się postać Lecha Wałęsy, który krytykuje sprawców pedofilii, kończąc swą wypowiedź zdaniem: „Hierarchia nasza niech bierze się do jakiegoś wyjaśnienia". W słowo wchodzi mu głos lektorki, która kontynuuje: „Czy się weźmie? Biskup Gądecki tym razem ogłasza, że tak. Jednak po wypowiedziach innych trudno uwierzyć w nową odsłonę".

W tym momencie na ekranie pojawia się postać abp. Marka Jędraszewskiego, który zagadnięty przez reporterkę podczas uroczystości kościelnych na Wawelu mówi do mikrofonu: „Z kłamstwa robi się dzisiaj element polityki wielkiej, a właściwie to jest bardzo mała i nędzna polityka".

Wymowa jest jednoznaczna i porażająca: hierarcha uważa ujawnianie afer pedofilskich w kontekście filmu braci Sekielskich za kłamstwo w służbie nędznej polityki. Bazując na tym materiale, „Gazeta Wyborcza" pisze: „W niedzielę arcybiskup zareagował na film Tomasza Sekielskiego »Tylko nie mów nikomu«: – Z kłamstwa robi się dzisiaj element polityki wielkiej, a właściwie to jest bardzo mała i nędzna polityka – mówił".

W rzeczywistości słowa hierarchy zostały wyrwane z szerszego kontekstu i nie dotyczyły obrazu braci Sekielskich. Na szczęście obok była kamera „Wiadomości" TVP, która zarejestrowała całą wypowiedź metropolity. Później archidiecezja krakowska na swej stronie internetowej zamieściła oba nagrania (TVN i TVP), obnażając manipulację, jakiej dopuścili się redaktorzy stacji z Wiertniczej, i domagając się sprostowania. Było już jednak za późno. Przekaz poszedł w świat.

SPRAWA PELLA

Miesiąc wcześniej podczas Europejskiego Kongresu Samorządów w Krakowie abp Jędraszewski uczestniczył w panelu „Czy religia jest jeszcze człowiekowi potrzebna?". Powiedział wówczas m.in.: „Krytyka Kościoła ma miejsce nie tylko w Europie, spójrzmy na Australię i sytuację kard. George'a Pella. W imię reguł prawnych łamie się tam prawa człowieka. To minie. Chrześcijaństwo zawsze było związane z koniecznością z jednej strony dawania świadectwa, a z drugiej strony było prześladowane".

Przez niektórych powyższe słowa zostały zinterpretowane jako obrona pedofilii, ponieważ wspomniany kard. Pell z Sydney został skazany na sześć lat więzienia za molestowanie seksualne nieletnich. Przewodniczący Rady Miasta Krakowa Dominik Jaśkowiec ogłosił nawet bojkot spotkań z metropolitą. Na Facebooku napisał: „Przyzwoitość nie ma ceny, postanowiłem od dziś nie uczestniczyć w spotkaniach publicznych z ks. abp. Markiem Jędraszewskim". Powodem była wypowiedź przedstawiająca australijskiego dostojnika jako ofiarę prześladowań Kościoła. Jaśkowiec stwierdził: „Pell już dwukrotnie został skazany przez australijskie sądy za przestępstwa seksualne wobec dzieci! Nie ma i nigdy nie będzie mojej aprobaty dla relatywizowania pedofilii".

eprasa.pl 273b5b4c04

W rzeczywistości abp Jędraszewski nie relatywizował zbrodni pedofilii. Przypadek kard. Pella jest dziś bowiem na świecie postrzegany przez bardzo wiele osób jako przykład walki z Kościołem pod pozorem walki z pedofilią. Wbrew temu, co twierdzi Jaśkowiec, australijski dostojnik nie został dwukrotnie skazany. W pierwszej instancji ława przysięgłych uniewinniła go stosunkiem głosów 10:2. Za winnego uznano go w drugiej instancji, jednak wyrok został zaskarżony do Sądu Najwyższego i obecnie czekamy na ostateczne rozstrzygnięcie.

Skazanie Pella wywołuje protesty wielu wpływowych myślicieli katolickich w anglosaskim kręgu kulturowym, takich jak np. o. Raymond J. de Souza, George Weigel, Ed Pentin, Philip Lawler czy Raymond Arroyo. Są to osoby zaangażowane w walkę z pedofilią wśród duchownych i nieuznające w tej sprawie żadnych kompromisów. W przypadku australijskiego hierarchy uważają jednak, że jest on niewinny i stał się kozłem ofiarnym. Ich zdaniem podczas procesu doszło do wielu rażących nieprawidłowości i uchybień (pisałem o tym szczegółowo na portalu wPolityce.pl, analizując przebieg rozprawy w Melbourne).

Podobnie uważa zresztą w Australii wielu publicystów niezwiązanych z Kościołem, np. popularny felietonista Andrew Bolt napisał, że choć nie jest katolikiem ani nawet chrześcijaninem, to musi uczciwie przyznać, iż przytłaczające dowody świadczą o niewinności hierarchy i według niego skazany dostojnik nie jest wcale pedofilem, lecz kozłem ofiarnym.

Warto przypomnieć, że w maju 2018 r. sąd skazał abp. Philipa Wilsona z Adelajdy na rok aresztu domowego za tuszowanie skandalu pedofilskiego. Hierarcha utrzymywał, że jest niewinny i nie chciał podać się do dymisji. Pod presją innych biskupów, premiera Australii oraz Watykanu został jednak zmuszony do ustąpienia. Kilka miesięcy później sąd drugiej instancji oczyścił go z zarzutów i uniewinnił.

Katoliccy publicyści podkreślają, że wyrok skazujący Wilsona w pierwszej instancji byłby niemożliwy bez nieustannej nagonki medialnej na niego, która utrwalała jego rzekomą winę w świadomości społecznej. Ataki na Wilsona były natomiast dziecięcą igraszką w porównaniu z kampanią medialną wymierzoną w George'a Pella.

Być może błędem abp. Jędraszewskiego było to, że nie rozwinął szerzej wątku australijskiego, poprzestając jedynie na wymienieniu nazwiska kard. Pella. Zapewne uznał, że wszyscy znają szczegóły tej sprawy i będą wiedzieli, o co mu chodzi. Niestety, musi się przyzwyczaić, że ma do czynienia nie tylko z niewiedzą czy ignorancją, lecz także złą wolą, i każde słowo, które wypowie, może zostać wyrwane z kontekstu i wykorzystane przeciwko niemu.



Fot. Damian Klamka/East News

eprasa.pl 273b5b4c04

ARCYBISKUP NON GRATA?

W tym przypadku wypowiedzi abp. Jędraszewskiego posłużyły jako pretekst do rozpętanej przeciw niemu kampanii. Jej wyrazem miały być uliczne demonstracje piętnujące postawę hierarchy. Do pierwszej z nich doszło jeszcze w kwietniu podczas tradycyjnego święcenia pokarmów na Rynku Głównym w Krakowie. Została ona przedstawiona jako wielki protest, podczas gdy w rzeczywistości była niewielka, a dostojnika otaczał tłum ludzi wyrażających mu słowa poparcia.

Podobna sytuacja wydarzyła się 18 maja w stolicy Wielkopolski. Warto na jej przykładzie pokazać przebieg tego typu akcji. Tego dnia w Poznaniu odbyła się uroczystość z okazji 100. rocznicy I LO im. Karola Marcinkowskiego. Absolwentem tej szkoły był właśnie abp Marek Jędraszewski, którego poproszono, by w tamtejszym kościele św. Michała Archanioła odprawił okolicznościową mszę. Uroczystość próbowali zakłócić demonstranci. Pierwsi na miejscu pojawili się jednak liczni dziennikarze, fotoreporterzy i kamerzyści. Dopiero później przyszło 40–50 uczestników pikiety zorganizowanej przez Marię Bąk-Ziółkowską, działaczkę znaną z udziału w wielu antyrządowych manifestacjach. To właśnie oni znaleźli się w centrum uwagi mediów. Ich akcja została nagłośniona, sprawiając wrażenie, jakby hierarcha spotykał się z powszechnym ostracyzmem. W świat poszedł komunikat, że abp Jędraszewski jest bojkotowany.

Nie pokazano natomiast scen, które nie pasowały do tego scenariusza. Widzowie TVN nie mieli więc szansy zobaczyć, że po przeciwnej stronie ulicy stoi o wiele liczniejsze grono osób wyrażających swe poparcie dla arcybiskupa. Przemilczano też to, że kościół pełen był ludzi, którzy po homilii zgotowali mu owację na stojąco.

„Kwiatów, które dostał, też nie pokazali, ani pocztów sztandarowych. Nie pokazali również dwie godziny później tysięcy ludzi na rozpoczęciu peregrynacji obrazu Matki Bożej Częstochowskiej parę kilometrów dalej przed kościołem, który zbudował śp. Ojciec abp. Jędraszewskiego, gdzie homilią również porwał ludzi" – napisała na Facebooku Joanna Adamik z biura prasowego kurii krakowskiej, dodając następnie apel: „Wyborcza, Onecie i inne TVN-y – byłam na was otwarta jak na wszystkie media, bo jestem uczciwym dziennikarzem od ponad 20 lat, ale zmieńcie kategorię z dziennikarstwa na bajkopisarstwo i propagandę, jakiej nie powstydziłaby się SB. Nie wiem, czy warto, ale tylko modlić się za was pozostaje".

W rozmowie z portalem wPolityce.pl Joanna Adamik powiedziała: „Na nagraniach, które robimy w czasie spotkań z abp. Jędraszewskim, słychać, jak ludzie życzą mu wytrwałości i proszą, by się nie poddawał. Gdyby na protesty przeciw arcybiskupowi przyszło chociaż 100–200 osób, nie dyskutowałabym z tym, nie protestowałabym, bo takie byłyby fakty. Ale te protesty robi garstka ludzi. Media zawężają kadr i robi się z tego wielkie wydarzenie. A tak nie jest i tak nie wolno robić. Protestuję przeciw temu jako dziennikarz z ponad 20-letnim stażem. Dziennikarz jest od przekazywania prawdy, a nie od kłamstwa. Dziennikarz nie jest od linczowania człowieka, który nie robi nic poza głoszeniem Ewangelii".

Co ciekawe, protest w Poznaniu był wcześniej zapowiadany i nakręcany przez „Gazetę Wyborczą" oraz inne lewicowo-liberalne media. Niedawno podgrzewały one atmosferę przed coroczną pielgrzymką mężczyzn do Piekar Śląskich. Ponieważ homilię do zgromadzonych miał wygłosić metropolita krakowski, alarmowano: „Abp Jędraszewski non grata na Śląsku", „Arcybiskup niemile widziany na Śląsku", „Ślązacy bojkotują męską pielgrzymkę do Piekar Śląskich", „Ślązacy nie chcą słuchać abp. Jędraszewskiego". W rzeczywistości, o czym mógł się przekonać każdy, kto był na piekarskich uroczystościach, kazanie hierarchy oklaskiwało ok. 80 tys. pątników.

> Abp Jędraszewski jest w episkopacie jedną z osób najmocniej afirmujących związki Kościoła z polskością oraz sprzeciwiających się lewicowym projektom inżynierii społecznej

O CO CHODZI?

O rzeczywistych powodach ataku na krakowskiego dostojnika wiele mówi list otwarty, jaki napisał do metropolity katowickiego abp. Wiktora Skworca były działacz Solidarności Piotr Polmański: „Abp Marek Jędraszewski nie od dziś jest kapłanem, który publicznie bierze w obronę przestępców w sutannie, niewybrednie krytykuje UE, wygłasza tezę o zamachu w Smoleńsku, a Okrągły Stół, przy którym Kościół był gwarantem historycznych i demokratycznych przemian, nazywa zdradą. To jest kapłan, który swoją pychą, arogancją i zakłamaniem dzieli, a nie łączy, który często wygłasza publicznie polityczne sądy na temat obecnej sytuacji i jest politycznie zaangażowany po stronie obecnie rządzących. Abp Jędraszewski swoją postawą i poglądami głoszonymi od lat jest zaprzeczeniem podstawowej misji Kościoła otwartego na wszystkich ludzi, jest zaprzeczeniem miłości i sprawiedliwości społecznej. Organizowane są w całym kraju protesty przeciwko obecności tego kapłana w przestrzeni publicznej, zwłaszcza państwowej. Wiem, że wiele osób zapowiada, i ja też, że nie będzie w tym roku pielgrzymowało do Piekarskiej Pani, jeżeli nic się nie zmieni. Dlatego ośmielam się zwrócić do Księdza Arcybiskupa z gorącym apelem o zmianę tych ustaleń dla wspólnego dobra".

Z treści listu wynika więc, że prawdziwym powodem ataków na abp. Jędraszewskiego są głoszone przez niego poglądy. Jest on bowiem w episkopacie jedną z osób najmocniej afirmujących związki Kościoła z polskością oraz sprzeciwiających się lewicowym projektom inżynierii społecznej. Kojarzenie go z aferą pedofilską jawi się zatem jako pretekst do kampanii godzącej w jego dobre imię.

Autopromocja

eprasa.pl 273b5b4c04

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI HISTORII

W numerze:

- **PAPIEŻ W SEJMIE**
  20. rocznica pamiętnej wizyty Jana Pawła II w Parlamencie RP
- **ROK 1989Ę**
  Czas wielkiego przełomu i droga od komunizmu do demokracji
- **WYŚCIG (NIE)POKOJU 1969**
  Wyścig kolarski rozegrany kilka miesięcy po inwazji na Czechosłowację



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.
WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

eprasa.pl 273b5b4c04



Egzamin dla Temidy

Przez długie lata nie było możliwe pociągnięcie ich do odpowiedzialności karnej. Zamiast dymisji, dostawali awanse. Polityczni przełożeni zapewniali o ich fachowości. Bulwersujące nieprawidłowości wychodziły na jaw, a o konsekwencjach nie było mowy. Nieustępliwość rodzin ofiar katastrofy smoleńskiej sprawiła, że sąd zgodził się na zbadanie sprawy organizacji lotów z kwietnia 2010 r. Najważniejszą z osób zasiadających na ławie oskarżonych jest Tomasz Arabski, wieloletni szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, jeden z najbliższych współpracowników Donalda Tuska



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Ponad dziewięć lat od tej tragedii jedynym urzędnikiem, któremu wymierzono jakąkolwiek karę, jest gen. Paweł Bielawny. Były wiceszef Biura Ochrony Rządu przed dwoma laty został prawomocnie skazany na półtora roku więzienia w zawieszeniu za niedopełnienie obowiązków i poświadczenie nieprawdy w dokumentach przy planowaniu ochrony Donalda Tuska i Lecha Kaczyńskiego w Smoleńsku. Po trosze był kozłem ofiarnym, bo sprawiedliwość powinna też (albo przede wszystkim) sięgnąć jego przełożonego – gen. Mariana Janickiego. Poza Bielawnym nikomu włos z głowy nie spadł.

Kończący się przed warszawskim sądem okręgowym proces Tomasza Arabskiego i czworga innych urzędników z kancelarii premiera oraz ambasady w Moskwie jest pierwszą okazją, by w tej sprawie wreszcie pojawił się choćby cień sprawiedliwości.

ARSENAŁ DOWODÓW

W czasie mowy końcowej prokurator Przemysław Ścibisz przypomniał wiele dokumentów oraz co najmniej kilkanaście zeznań urzędników KPRM, polskiego i rosyjskiego MSZ, ambasady w Moskwie potwierdzających, że wszyscy doskonale wiedzieli, iż lotnisko Siewiernyj jest nieczynne. Arabski też miał tego świadomość. A mimo to nie zawahał się, by dopinać wylot do Smoleńska. „Wysoki Sądzie, historia uczy nas, że nieprzestrzeganie przepisów prawa regulujących zasady bezpieczeństwa związane z organizacją różnego rodzaju przedsięwzięć często kończyło się tragicznie" – mówił prokurator, przywołując tragiczne w skutkach przykłady katastrofy hali MTK w 2006 r., katastrofy w kopalni Halemba w 2006 r., katastrofy kolejowej pod Szczekocinami w 2012 r. I przytomnie dodał, że gdyby oskarżeni dopełnili swoich obowiązków, samolot z prezydentem do Smoleńska by nie poleciał i do tragedii by nie doszło.

Nie chodzi o czynienie z Arabskiego głównego winowajcy katastrofy – wielokrotnie mocno wybrzmiało to w sądzie. Nie ulega jednak wątpliwości, że nieprzestrzeganie przepisów przez byłego szefa KPRM i brak jego nadzoru nad podległymi pracownikami stworzyły możliwość zaistnienia dramatu 10 kwietnia.

Dlatego rodziny apelowały do sądu o sprawiedliwe potraktowanie oskar-

eprasa.pl 273b5b4c04

żonych urzędników. „Jesteśmy mocno przekonani, że jeśli w tym procesie nikt nie poniesie odpowiedzialności, urzędnicy państwowi w całej Polsce dostaną jasny sygnał, że jest to zawód poza prawem. Dostaną przyzwolenie na selektywne tracenie pamięci, niedopełnianie obowiązków, nieznajomość obowiązujących przepisów" – mówiła Beata Lubińska.

Wdowa po śp. Wojciechu Lubińskim, lekarzu prezydenta, podkreślała: „Wysoki Sądzie, nie jest to nasza osobista wendeta, proszę tego tak nie traktować. Tak naprawdę nikt nie wie, co przez te trzy lata działo się w naszych sercach podczas tego procesu. Jesteśmy tutaj z potrzeby poczucia fundamentalnej sprawiedliwości. Duże grono rodzin to żony, dzieci, rodzice urzędników państwowych. My doskonale wiemy, co to jest obowiązek, profesjonalizm, służba dla kraju. Liczymy na sprawiedliwy wyrok Wysokiego Sądu i bez względu na to, jaki on będzie, mamy nadzieję, że już żaden obywatel naszego kraju – nikt z państwa, nikt z bliskich państwa obrońców – nie stanie się ofiarą bylejakości i braku kompetencji funkcjonariusza publicznego".

Swoją mowę zakończyła łamiącym się głosem: „Na koniec postawmy sobie takie pytanie: czy dzisiaj, po całym procesie, po tym jak dokładnie wiemy, w jaki sposób organizowana była wizyta 10 kwietnia 2010 r., ktokolwiek z państwa obecnych tu na sali dobrowolnie wsiadłby do tego samolotu? Czy oskarżeni, czy państwo obrońcy, czy państwo dziennikarze pozwoliliby, żeby tym samolotem polecieli ich najbliżsi? Zostawiam to pytanie każdemu z państwa".

7 czerwca swoje mowy wygłoszą obrońcy oskarżonych urzędników. Zapewne kilka tygodni później sąd ogłosi wyrok.

Mec. Stefan Hambura w imieniu Piotra Walentynowicza wniósł o trzy lata bezwzględnego więzienia dla Arabskiego. Prokurator łagodniej – o półtora roku więzienia w zawieszeniu na cztery lata, ale też o czteroletni zakaz pełnienia funkcji publicznych. Jakakolwiek by ta kara była, choćby symboliczna, ważne, by wreszcie urzędnicy odpowiedzieli za swoje błędy.

Grzegorz Januszko, ojciec stewardesy z 36. specpułku śp. Natalii Januszko, najmłodszej ofiary katastrofy, mówił w sądzie: „Brak wiedzy w żadnym wypadku nie może być uważany za okoliczność łagodzącą. Wręcz przeciwnie – tym bardziej, jeśli pan Arabski nie czytał dokumentów, które podpisywał, co się okazało ostatnio. Ciężko o bardziej jednoznaczny dowód niedopełnienia obowiązków".

Na koniec nawiązał do słów wielokrotnie powtarzanych przez najważniejszych urzędników w czasie rządów PO-PSL: „Przez ponad dziewięć lat rodziny nie doczekały się skazania kogokolwiek winnego (poza sprawą funkcjonariuszy BOR), jakichkolwiek nieprawidłowości, które doprowadziły do śmierci naszych bliskich. Teraz Wysoki Sąd może przywrócić poczucie wiary w sprawiedliwość. Wierzymy w sprawiedliwy wyrok i dołożenie chociaż minimalnej treści do sformułowania o zdanym przez państwo egzaminie".

NIEUSTĘPLIWOŚĆ RODZIN

Tzw. subsydiarny akt oskarżenia w imieniu kilku rodzin ofiar katastrofy złożył jeszcze w 2014 r. ich ówczesny pełnomocnik mec. Piotr Pszczółkowski, dziś sędzia Trybunału Konstytucyjnego. Pierwotnie po stronie oskarżonych stała też Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga, która domagała się umorzenia procesu – jak zresztą sama umorzyła wcześniej śledztwo w tej sprawie. W kuriozalny sposób, na 400 stronach uzasadnienia, udowadniając niedopełnienie obowiązków urzędników, ale odstępując od ich ścigania, bo – jak stwierdzono – nie przewidywali oni, że ich zaniedbania mogą doprowadzić do tragedii. Sąd jednak nie zgodził się na umorzenie sprawy z prywatnego oskarżenia i proces ruszył. A w 2016 r., po zmianach w prokuraturze, śledczy dołączyli do oskarżycieli jako rzecznicy praworządności.

Na kilkudziesięciu rozprawach konsekwentnie pojawiali się bliscy ofiar, m.in. Natalii Januszko, Anny Walentynowicz, Dariusza Jankowskiego, Bożeny Mamontowicz-Łojek, Pawła Wypycha, Sławomira Skrzypka, Zbigniewa Wassermanna czy Janusza Kochanowskiego. Wysłuchiwali zasłaniających się niepamięcią świadków, kłamstw dotyczących roli oskarżonych w procesie organizacji wizyty i spoglądali na nierzadko uśmiechniętych adwokatów na ławie oskarżonych.

Tylko adwokatów, bo sami oskarżeni konsekwentnie nie pojawiali się w sądzie – za wyjątkiem rozpraw, na które mieli obowiązek się stawić, by złożyć zeznania. Ale nawet gdy już przyszli, najczęściej odmawiali odpowiedzi na pytania. Tak było w przypadku Tomasza Arabskiego. Wygłosił tylko krótkie oświadczenie, w którym stwierdził, że nie miał nic wspólnego z organizacją wizyty prezydenta w Katyniu (to nieprawda, był nie tylko koordynatorem lotu, lecz również brał udział w wielu spotkaniach, również dotyczących uroczystości z udziałem prezydenta, walnie przyczynił się do rozdzielenia wizyt z okazji 70. rocznicy zbrodni katyńskiej). Szybko opuścił wówczas salę rozpraw, a dziennikarzom na korytarzu rzucił: „Od sześciu lat jestem obiektem nagonki. Czasem nie tylko nagonki, ale fałszywych oskarżeń i złośliwych komentarzy. (...) Apelowałbym, żeby z tak tragicznych zdarzeń jak katastrofa w kwietniu 2010 r. nie robić spraw politycznych".

W taki sam sposób swojego dawnego podwładnego wybielał Donald Tusk czy były szef MSZ Radosław Sikorski. Na próżno. W czasie trzyletniego procesu udowodniono bez wątpliwości, że Arabski złamał instrukcję HEAD, która zakazywała lotów VIP na nieczynne lotniska, czyli takie jak Smoleńsk Północny. Ten sam dokument czynił szefa KPRM koordynatorem wszystkich lotów VIP. Jak się jednak okazało na jednej z ostatnich rozpraw, Arabski instrukcję podpisał, lecz jej nie czytał – z wyemitowanego w sądzie nagrania z jego wysłuchania przed komisją Millera dowiedzieliśmy się, że zapoznał się z dokumentem dopiero po katastrofie.

Trudno sobie wyobrazić, by Arabski został uniewinniony. Byłoby to niezwykle szkodliwe nie tylko w kontekście katastrofy smoleńskiej, ale dla funkcjonowania całego państwa polskiego. Oznaczałoby bowiem usankcjonowanie bylejakości i skandalicznego lekceważenia obowiązków.

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl 273b5b4c04



Zdjęcia Andrzej Wiktor

Poczta reprezentuje państwo polskie

O zmianach w Poczcie Polskiej, podsumowaniu trzyletniej kadencji zarządu, o listonoszach i godle w urzędach pocztowych, a także znaczkach i renesansie filatelistyki z Przemysławem Sypniewskim, prezesem zarządu Poczty Polskiej SA, rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko

Panie prezesie, poczta – podobnie jak kolej i drogi – to infrastruktura, o której każdy może coś powiedzieć, każdy się na poczcie zna i wie, jak powinna działać. Od kilku lat wizerunek poczty się zmienia – rzadziej narzekamy. Jak z pana perspektywy zmieniła się ta instytucja...

Przemysław Sypniewski: Faktycznie mam wrażenie, że jest więcej rozmów o rynku pocztowym. Ten rynek się gwałtownie zmienia. Warto pamiętać, że cztery lata temu Poczta Polska została wybrana na operatora usługi powszechnej jako pierwszy operator w Europie. Dziś wydaje się to naturalne. Nie możemy jednak zapominać, że Poczta Polska – spółka skarbu państwa, firma działająca na podstawie Kodeksu handlowego – musi się starać osiągać zyski, ale odgrywa też rolę służebną i wykonuje obowiązki nieprzynoszące zysków.

Poczta Polska, będąc Narodowym Operatorem Pocztowym, zapewnia powszechny dostęp do swoich usług i jest partnerem pierwszego wyboru w obszarze usług komunikacji i logistyki dla administracji publicz-

eprasa.pl 273b5b4c04

nej i spółek skarbu państwa. To też wymóg pewnej formy działalności firmy.

Infrastruktura pocztowa jest elementem państwa. Jest wiele obszarów, w których Poczta Polska jest jedynym miejscem wykonywania zadań państwa. To obowiązek państwa wobec obywateli. W wielu krajach odroczono wykonanie dyrektyw unijnych dotyczących wyboru operatora powszechnego. Polska pierwsza zastosowała te przepisy. Jesteśmy zatem swego rodzaju lodołamaczem. W skali europejskiej – rynek pocztowy stał się de facto rynkiem logistycznym. To moim zdaniem jest największa zmiana.

To jednak zachęca do komercjalizacji, prywatyzacji biznesu pocztowego.

Dobrym przykładem jest poczta holenderska. TNT było prekursorem zmian, przekształcenia poczty w spółkę, komercjalizacji usług – ostatecznie w pełni sprywatyzowane po kryzysie finansowym trafiło na rynek w pełni prywatny. Dziś Holandia z trudem odbudowuje usługi pocztowe w PostNL. We Francji okazało się, że to właśnie w regionach, w których zamknięto placówki pocztowe, z których poczta francuska się wycofała, wygrywał skrajny Front Narodowy. Pojawił się społeczny bunt przeciwko abdykacji państwa z podstawowych obowiązków wobec obywateli.

Uważnie obserwuje pan europejski rynek. Korzystacie z tych nie zawsze udanych doświadczeń?

Patrzymy też na udane procesy na rynku. Spóźniliśmy się jako państwo i jako poczta z wieloma zmianami. Państwo porzucało spółki, które sobie nie radziły od początku transformacji. Polska poczta nigdy nie otrzymała pomocy publicznej. To ewenement w skali Europy i świata. Jesteśmy w kraju jedyną dużą polską firmą, która na taką skalę konkuruje ze światowymi korporacjami logistycznymi. Inni kluczowi gracze w tej branży na naszym rynku to poczty: niemiecka, francuska, brytyjska i amerykańskie firmy kurierskie.

Próba prywatyzacji usług pocztowych została podjęta. Scenariusz znamy aż za dobrze. Upadająca spółka państwowa, wyniki bez szans na poprawę – prywatyzujemy, bo przecież prywatne jest skuteczne, racjonalne, korzystne dla wszystkich. A w pamięci mamy LOT, kolej, ostatecznie telekomunikację...

Nie dostrzegano społecznej roli infrastruktury państwowej, także poczty. Aż do 2016 r., gdy nastąpiła zmiana, a walor działalności poczty – cywilizacyjny i społeczny – trafił do programu wyborczego PiS. To była kluczowa zmiana. Ta filozofia spoglądania na pocztę jako firmę, która nie powinna się zwijać, to ostatnie cztery lata. Wreszcie jest tak, że nawet w niezwykle trudnych rozmowach na temat współpracy z Ministerstwem Sprawiedliwości widzimy zmianę podejścia do narodowego operatora pocztowego. Poczta nie może się zwijać.

Kolejnym krokiem powinno być dostrzeżenie ciężaru odpowiedzialności po stronie poczty w funkcjonowaniu nowoczesnego państwa. Warto dziś w Polsce, w Europie, pomyśleć o inwestycjach w infrastrukturę ludzką, czyli kapitał ludzki, który jest największą wartością poczty. Mimo że płace w Poczcie Polskiej nie należą do najwyższych, to związek emocjonalny pocztowców z firmą jest wyjątkowy. Dzięki temu udaje się prowadzić od trzech lat dialog w sprawach płacowych. Dzięki takiej m.in. postawie pracowników poprawiła się sytuacja spółki.

Ale listy wysyłamy coraz rzadziej.

Świat odchodzi już od twardego podziału na listy i paczki, dziś używamy terminu „przesyłki". Moi poprzednicy deklarowali, że listy znikną w 2025 r. Moim zdaniem nigdy nie przestaniemy wysyłać listów, ale staną się one elementem biznesu „przesyłkowego". Wciąż ktoś będzie musiał odebrać i dostarczyć przesyłkę, choćby w postaci listu.

Rynek kurierski, handel internetowy, dostarczanie zakupów, towarów choćby nawet z Chin – to jest wyzwanie.

Poczta zmienia się w kierunku obsługi e-commerce – to wciąż logistyka. Stajemy się elementem całego łańcucha logistycznego, zatem jeśli państwo inwestuje w projekty związane z rynkiem usług logistycznych – Poczta Polska też jest w nich obecna. Myślę o Centralnym Porcie Komunikacyjnym, przekopie Mierzei Wiślanej. Patrzę na to w kategoriach budowy odpowiedniej struktury logistycznej, by poczta była skuteczniejsza w swojej działalności. Jeszcze Via Carpatia i Program Budowy Mostów – postrzegam te projekty jako eliminowanie przeszkód w naszej działalności logistycznej. Dziś kluczowym elementem tego przedsięwzięcia jest bowiem skracanie czasu dostawy.

Mówiliśmy o poczcie odpowiedzialnej społecznie. Odpowiedzialne państwo uruchamia program „pekaesowy", by niwelować nierówności. Pomaga też Poczcie Polskiej?

Posiadamy ponad 7,5 tys. placówek. Mamy obowiązek je utrzymywać, bo – jak mówiliśmy – to kwestia odpowiedzialności za państwo. Biznes jest dla placówek pocztowych głównym źródłem rentowności – tam, gdzie biznesu nie ma, trudno utrzymywać komercyjną pocztę. Ale też biznes nie pojawi się w miejscu, gdzie poczty nie ma, gdzie została zlikwidowana i... koło się zamyka. Banki likwidują swoje oddziały, my dla klientów jesteśmy obecni w całej Polsce. W przyszłości możemy być jedyną firmą w kraju z taką siecią usług biznesowych i obywatelskich.

W imieniu czytelników musimy zapytać o jakość usług pocztowych. Choć rzadziej, to wciąż skarżymy się na pocztę. Pan jest zadowolony z poziomu oferowanych usług w Poczcie Polskiej?

W ostatnich latach wychodziliśmy ze strukturalnej zapaści. To wiązało się z obniżeniem części kosztów, zwolnieniami – kilkadziesiąt tysięcy osób rozstało się z Pocztą. Po trzech latach udało się zoptymalizować strukturę zatrudnienia, zwiększając jednocześnie obecność w nowych obszarach działalności. Niedawno zaproponowaliśmy

eprasa.pl 273b5b4c04



naszym partnerom nowy system premiujący jakość i zwiększający tym samym wynagrodzenia w spółce. Mamy więcej paczek, a jednocześnie nasza struktura logistyczna wciąż bazuje na dostarczaniu listów. Poczta jest dziś firmą niezadłużoną, mamy oczywiście kredyty obrotowe – ale nie kredytowaliśmy inwestycji. Pożyczanie pieniędzy traktuję wciąż jako ostateczność. Przypomnę, że pojawiały się wcześniej pomysły prywatyzacji Poczty przez giełdę, sprzedaży niektórych naszych spółek – choćby Banku Pocztowego, który uznaję za najbardziej wartościową kapitałowo spółkę. Mamy w Poczcie Polskiej siedem spółek zależnych – patrzę na nie jako na pewną strukturę strategiczną, zatem współpraca powinna dotyczyć całej zdywersyfikowanej działalności Poczty – od banku, przez ubezpieczenia, po Envelo – naszą spółkę technologiczną. Również pod kątem związania się strategicznego z silną firmą, np. PKO BP.

Dzięki tej współpracy zmienia się oferta Poczty.

Jeszcze niedawno na poczcie nie można było płacić kartą. Dziś transakcje płatnicze wykonywane są w oddziałach i u listonoszy. Mamy ok. 4 tys. placówek z dostępem do darmowego internetu. Dziś miejscem, gdzie można w pełni skorzystać z możliwości dowodu cyfrowego, są właśnie oddziały Poczty Polskiej. To efekt intensywnej współpracy z Ministerstwem Cyfryzacji – dla obywatela miejscem korzystania z e-państwa staje się właśnie poczta. Chcemy też w pełni realizować zadania Narodowego Operatora Cyfrowego – nie wyrzekamy się obciążeń związanych z odpowiedzialnością, ale chcemy uczestniczyć w rozwoju rynku cyfrowego. Celem jest także biznesowy rozwój w tych obszarach, które są najbardziej rentowne. To np. segment paczkowy.

Prowadzicie też program Mobilny Listonosz... To zapytamy o pewne atrybuty przedstawiciela państwowej poczty, wrócą mundury?

Chciałbym, by listonosze byli identyfikowani, by nosili się reprezentacyjnie. Przywracamy godło do urzędów pocztowych, chcemy, by wróciło też do ubioru listonosza – bo poczta i listonosze reprezentują państwo polskie. To na ludziach opieramy naszą działalność i odpowiedzialność.

Na przełomie października i listopada 2018 r. przeprowadzono badanie satysfakcji pracowników w Poczcie Polskiej. Zwrot wypełnionych kwestionariuszy liczył prawie 85 proc. ankiet. Wskaźnik odpowiedzi pozytywnie oceniających satysfakcję z pracy wyniósł prawie 79 proc. Jak pan ocenia dialog z pracownikami?

Prowadzę go, od kiedy zostałem prezesem. Oczekiwania związane ze wzrostem wynagrodzeń są znaczne, ale warto powiedzieć, że ich wzrost w tym czasie wyniósł średnio 20 proc. A między rokiem 2008 a 2015 nie było żadnych podwyżek. Wtedy z Poczty odeszło ponad 25 tys. pracowników, co odbiło się też na strukturze i jakości usług. Chcemy zarobić na podwyżki, ale jeśli mamy odbudować przychody, musimy wzmocnić wynagrodzenia pracowników.

Wynik finansowy brutto za 2017 r. jest dodatni i wzrósł o ponad 66 mln zł w stosunku do 2016 r. Ostatnie trzy lata, czyli okres działania obecnego zarządu Poczty Polskiej SA, to odwrócenie trendu w wynikach finansowych.

5/0419/F

eprasa.pl 273b5b4c04

Istotnie. Szczególnie ważne jest to, że nasze wyniki dostrzega świat pocztowy. Jeśli utrzymamy tę tendencję i zrealizujemy w tym roku plan finansowo-rzeczowy, to przychody w 2019 r. będą miały wymiar historyczny. Nigdy jeszcze Poczta Polska nie miała takich przychodów. Choć w 2018 r. mieliśmy stratę, w tym roku chcemy osiągnąć zysk. Wierzę, że strona społeczna ma świadomość korzyści długofalowych z tych zmian w trendzie wynikowym spółki. Zatrzymaliśmy kryzys związany z erozją zatrudnienia, mam też sygnały, że pracownicy wracają do nas.

Wracamy też do znaczków pocztowych. Udało się państwu zrobić z emisji znaczków także element polityki historycznej, reagować na bieżące wydarzenia – choćby wspólne znaczki polsko-izraelskie czy polski znaczek na wystawę Expo w Astanie, nie zapominając o ważnych dla nas datach – choćby rocznicy odzyskania niepodległości. To świadoma decyzja zarządu Poczty?

Tak, jak najbardziej. Znaczek jest narzędziem budowania wspólnoty, kultury pamięci. To taki mały pomnik, który zostaje wśród nas. Znaczek masowy trafia w społeczną percepcję – dlatego chcemy przypominać o ważnych wydarzeniach. W latach 2018–2021 wydajemy całą serię znaczków upamiętniających wydarzenie związane z odzyskaniem niepodległości. Z kolei u źródeł powstania znaczka polsko-izraelskiego była wola wskazania na wspólnotę losów naszych narodów. Tak było również ze znaczkiem poświęconym Polakom ratującym Żydów. Świadomie podjęliśmy decyzję, żeby znaczek „Operacja NKWD" trafił do obiegu powszechnego. Tak jest też ze znaczkami z powstaniem warszawskim. Przywracamy pamięć. To też element dyplomacji „znaczkowej". Mamy znaczek polsko-francuski, dzięki któremu odnowiliśmy dobre relacje z pocztą francuską. Zwracają się do nas ambasadorowie krajów, występując o wspólne emisje z ich pocztowcami – np. z Cypru, Malty, Grecji.

To nie jest jednak zamierający biznes i zwyczaj?

Filatelistyka jest oczywiście inna niż kilkadziesiąt lat temu. Ale odradza się. Moim marzeniem jest odbudowanie pewnego sentymentu do filatelistyki. We Francji wciąż jest ponad 300 tys. filatelistów, w Polsce 35–45 tys. osób zbiera znaczki. Ale chciałbym odbudować ten rynek, a wyniki wskazujące, że przychody ze sprzedaży znaczków rosną, są niezwykle optymistyczne.

Trzymamy zatem kciuki i namawiamy do wysyłania listów...

List zawsze będzie szlachetniejszą formą komunikacji. Wierzę, że to się nigdy nie zmieni.

REKLAMA





Wakacje z pasją

Z hiszpańskiego na muzykę, z muzyki na robotykę, z robotyki na karate. A przydałyby się jeszcze basen i tenis. Plan zajęć współczesnych uczniów bywa tak przeładowany, że dzieci nie mają czasu na zabawę ani czytanie książek. Jest jednak dobra wiadomość. Te pasje, na które nie ma już czasu od poniedziałku do niedzieli, można spokojnie odłożyć na wakacje



DOROTA ŁOSIEWICZ

Dzisiejsi rodzice często pełnią funkcję taksówkarzy własnych dzieci, przerzucając je z jednych zajęć na drugie. W tym biegu rodzice często zapominają, że dzieci potrzebują odpoczynku, czasem nawet zapominają zapytać, czym dzieciaki tak naprawdę się interesują i czy aby na pewno tym, na co właśnie są wiezione. Eksperci często podkreślają, że dzieci potrzebują po prostu pobyć w domu, poczuć się bezpiecznie, posiedzieć z rodzicami, porozmawiać z nimi, odpocząć, wchłonąć domową atmosferę.

NAJWAŻNIEJSZY JEST UMIAR

Nie znaczy to oczywiście, że w ogóle należy zrezygnować z zajęć pozalekcyjnych. Trzeba jednak wybierać je z umiarem i przede wszystkim w poszanowaniu zainteresowań własnych dzieci. Jeśli marzy nam się córeczka baletnica lub syn piłkarz, trzeba najpierw odpowiedzieć sobie na pytanie, czy przypadkiem nie przelewamy na nasze maluchy własnych niezrealizowanych ambicji i marzeń.

– Jeśli nasze dziecko wykazuje szczególne zainteresowanie jakimś sportem, modelarstwem czy malowaniem, to na pewno nam o tym powie i wtedy taką umiejętność warto rozwijać. Jednak żebyśmy mogli się dowiedzieć, co je naprawdę interesuje, musimy mu poświęcić swój czas, swoją uwagę, musimy go przede wszystkim słuchać – tłumaczyła mi kiedyś psycholog Marta Mauer-Włodarczak, prywatnie mama trójki dzieci.

– Czasem jako rodzice mamy głębokie przekonanie, że powinniśmy robić

47/0519/F

eprasa.pl 273b5b4c04

dla dzieci jeszcze więcej niż dotychczas. Podejmujemy więc walkę o to, by nasze dzieci były najlepsze. Poniosłam w takiej walce sromotną porażkę. Jeden syn wolał rozbieranie na części zabawek i skręcanie ich śrubokrętem taty niż cokolwiek innego, a kolejnego interesowało głównie spędzanie czasu w kuchni i eksperymenty gastronomiczne – śmieje się zaprzyjaźniona mama siedmiorga dzieci.

Wybierając dodatkową aktywność dla początkującego ucznia szkoły podstawowej, pamiętajmy, że mały człowiek w tym wieku potrzebuje przede wszystkim ruchu. – Dziecko przerzucane z jednych zajęć na drugie przestaje chłonąć wiedzę, staje się przemęczone i zniechęcone. Po powrocie z kolejnych zajęć musi jeszcze odrobić lekcje, wciąż tylko siedzi i siedzi. Dzisiaj dzieciom brakuje prawdziwego życia, czasu na zwykłą zabawę. Większość z nas pamięta pewnie szaleństwo w berka na podwórku, beztroski czas spędzony z kolegami na powietrzu. Dziś już tego po prostu nie ma. Dzieci wolą siedzieć przy komputerze niż na dworze. Nawet jeśli się spotykają, to siadają na ławce, żeby pograć w nową grę ściągniętą na smartfona. Rozsądną normą w przypadku zajęć dodatkowych są zajęcia ruchowe i jeden język obcy. Ale to wcale nie musi być trening piłkarski, na którym nasze dziecko powinno być według nas najlepsze. To może być beztroska gra w piłkę na pobliskim boisku. Dajmy dziecku czerpać z dzieciństwa przyjemność, bez utwierdzania go w przekonaniu, że musi być we wszystkim najlepsze – nie ma wątpliwości psycholog Marta Mauer-Włodarczak.

TU JEST MNÓSTWO PROPOZYCJI

Dlatego, gdy już przychodzą upragnione wakacje, warto pomyśleć, jak połączyć wypoczynek z realizowaniem dziecięcych pasji. Obozy marki Interkamp, organizowane przez firmę Kompas, to sprawdzony pomysł na kreatywne połączenie nauki, szału twórczego i wakacyjnego wypoczynku.

– Uzdolnione artystycznie oraz kreatywnie dzieci i młodzież spotykają się, by w wakacyjnej formie pracować wspólnie nad interesującymi projektami, uczyć się nowości i rozwijać swoje pasje. W ofercie mamy m.in. obozy wokalne, taneczne, dla projektantów gier, vlogerów czy obóz fashion – opowiada Agnieszka Zielińska, kierownik działu sprzedaży z Biura Turystyki Aktywnej Kompas.

Przeglądając ofertę Interkamp, można dojść do wniosku, że dziecko z dowolną pasją znajdzie tam coś dla siebie. Interkamp Junior zaprasza na wakacje dla najmłodszych miłośników komiksów, mangi, anime, sztuki i kultury japońskiej. Dzieciaki wyruszą w wielobarwny świat komiksowych superbohaterów, wakacyjnych przygód i działań twórczych. Będą rozwijać umiejętności plastyczne, chłonąć ciekawostki kulturoznawcze, bawić się i zwiedzać. Podczas zajęć poznają podstawy tworzenia komiksów, kadrowania, stosowania światłocienia, doskonalenie różnych technik twórczych (kredka, akwarela, flamastry). W programie jest również tworzenie własnych avatarów, komiksowe pojedynki, solidna dawka wiedzy na temat najpopularniejszych bohaterów i kultowych autorów mangi.

Na tych, którzy w teatrze czują się jak w domu, którzy marzą o aktorstwie, którzy chcą doświadczyć niezwykłej przygody, jaką jest tworzenie grupy teatralnej i zagranie w spektaklu, czeka obóz aktorski. Organizatorzy zapraszają do strefy rozwijania teatralnych pasji, do warsztatu pracy aktora, produkcji przedstawień oraz sceny wyobraźni. Biuro Turystyki Aktywnej Kompas proponuje także obozy filmowe dla małych i dużych, obozy fotograficzne, gitarowe i grafiki komputerowej. Jest także coś dla miłośników gier komputerowych, to Interkamp Junior – Gry & Roboty & Komputery. Tu można rozwinąć zdolności konstrukcyjne, graficzne i komputerowe. Organizator zapewnia rodziców o odpowiedzialnym doborze gier i czasu spędzanego przed komputerem oraz gwarantuje solidną porcję ruchu na świeżym powietrzu. Dla przyszłych artystów jest obóz malarsko-rysunkowy. To oferta dla tych, których interesuje historia sztuki, studia na ASP i tworzenie w plenerze. Kompas zaprasza na

Fot. Shutterstock

REKLAMA



wakacje nasycone barwami lata i pachnące farbą! A to tylko początek bogatej oferty wyjazdów dla dzieci i młodzieży. Coś dla siebie znajdą miłośnicy rocka, przyszli piosenkarze, tancerze, kucharze, dziennikarze i informatycy.



Fot. Shutterstock

NIE MA CZASU NA NUDĘ

– Czasy nudnych kolonii już dawno minęły. Rodzice oczekują od nas wysokiego standardu prowadzenia zajęć, ale też zapewnienia dzieciom odpowiedniego zakwaterowania czy specjalnej diety. Ważne dla rodziców jest to, aby każdy dzień od pobudki do ciszy nocnej był wypełniony ciekawym programem, aby dzieci nie miały chwili czasu na nudę. Rodzice coraz częściej wybierają wyjazdy, na których ich dzieci mogą zdobyć konkretne umiejętności lub rozwinąć swoje codzienne pasje, np. zdobyć patent żeglarza jachtowego, nauczyć się pływać czy opanować jazdę konną. Oczywiście widzimy, jak zmieniają się zainteresowania dzieci na przestrzeni kilkunastu lat i podążamy za nimi. Na naszych obozach siedmiolatek składa robota, 12-latek robi profesjonalną sesję i obróbkę zdjęć, 15-latek zgłębia tajniki sztuki operatorskiej. Staramy się śledzić obecne trendy i dostosowywać programy tak, aby dla pokolenia digital natives były one interesujące – tłumaczy Agnieszka Zielińska z Biura Turystyki Aktywnej Kompas.

> Rodzice coraz częściej wybierają wyjazdy, na których ich dzieci mogą zdobyć konkretne umiejętności lub rozwinąć swoje codzienne pasje, np. zdobyć patent żeglarza jachtowego

W najbliższe wakacje Interkamp po raz pierwszy zawita nad morze, do ośrodka Diuna, położonego w miejscowości Wicie. Ośrodek będzie do wyłącznej dyspozycji uczestników i kadry obozów Interkamp. Oddany zostaje po kapitalnym remoncie, z nowymi pokojami i łazienkami, a infrastruktura przygotowana została właśnie pod działania twórcze Interkampu. „Fantastyczne miejsce, domowa kuchnia, liczne sale warsztatowe, teren rekreacyjny i plaża tuż za rogiem z pewnością będą inspirować i sprzyjać kolejnym twórczym przygodom” – zachęca na stronie internetowej organizator.

Biuro Turystyki Aktywnej Kompas przekonuje: „Na naszych obozach nie ma czasu na nudę! Każdy dzień podzielony jest na trzy bloki zajęciowe: przedpołudniowy, popołudniowy i wieczorny. Dwa pierwsze poświęcamy zajęciom programowym: warsztatom twórczym, plenerom, turniejom, zabawom integracyjnym, konkursom i quizom. Wieczorem przychodzi czas na odpoczynek i jeszcze lepszą integrację z dziećmi również z innych obozów. Wówczas śpiewamy podczas obozowego karaoke i przy ognisku, tańczymy na zwariowanych dyskotekach, a także oglądamy filmy, kiedy czas się wyciszyć przed snem. W ostatni dzień obozów Interkamp odbywa się pokaz finałowy, który jest nie tylko podsumowaniem aktywności twórczych wszystkich grup, ale też dużym przeżyciem dla każdego uczestnika i uroczystym zwieńczeniem całego obozu”.

Warto pamiętać, że niezapomnianą przygodę może dziś obiecać każdy, jednak nie wszyscy są w stanie zagwarantować dzieciakom bezpieczeństwo. Przed wysłaniem pociechy w nieznane najlepiej sprawdzić organizatora atrakcji, żeby np. obóz survivalowy nie okazał się prawdziwym survivalem. Można to zrobić w Centralnej Ewidencji Organizatorów Turystyki i Pośredników Turystycznych. Obecność firmy na liście członkowskiej Polskiej Izby Turystyki też ma niebagatelne znaczenie. O jakości usług świadczonych przez organizatorów wycieczek dla dzieci mówią certyfikaty, jakie firma posiada i miejsca, jakie zajmuje w branżowych rankingach. Takich wyróżnień nie przyznaje się bez powodu. Przemawiają za nimi lata obecności na rynku i zadowolenie klientów, dlatego warto sprawdzić, czy organizator takie posiada.

eprasa.pl 273b5b4c04



Nicole Kidman *nie zwalnia tempa. Choć wyprowadziła się z Hollywood i manifestuje swój katolicyzm, za co spotkały ją gromy nawet od przyjaciół, to nadal gra w jednym z najgłośniejszych seriali HBO. Nowe życie, nowy sezon filmowy*

Katolicyzm mnie prowadzi

Fot. Shutterstock



ŁUKASZ ADAMSKI

Kara za grzechy i odkupienie win. O tym jest kontynuacja jednego z najciekawszych seriali ostatnich lat. Pierwszy sezon oparty był na powieści Liane Moriarty. We wchodzącej właśnie na ekrany kontynuacji Moriarty jest współautorką scenariusza. Miałem ogromne wątpliwości, czy jest sens kręcić dalszą część tak dobrze zamkniętej opowieści. Szczególnie że projekt opuścił Kanadyjczyk Jean-Marc Vallée („Witaj w klubie"). To jeden z najciekawszych reżyserów pracujących obecnie w Hollywood, specjalista od tworzenia skomplikowanych kobiecych postaci. Jest też reżyserem innego znakomitego serialu HBO – „Ostre przedmioty". Obie produkcje opowiadały o tajemnicy, autodestrukcji wynikającej z traumatycznego przeżycia oraz obnażały hipokryzję z pozoru poukładanej społeczności.

CO SIĘ KRYJE ZA NAJPIĘKNIEJSZYM ZE ŚWIATÓW

Taki jest świat z „Wielkich kłamstewek". To kalifornijski raj na ziemi. Palmy, ocean, słońce i pieniądze. Piękne kobiety z jeszcze piękniejszymi, wygłaskanymi dziećmi w najdroższych samochodach. Przystojni mężowie zarabiający krocie jako prawnicy, biznesmeni i informatycy. W raju dochodzi do zbrodni wpływającej na życie wszystkich bohaterów.

Druga odsłona serialu opowiada o konsekwencjach życia ze świadomością bycia częścią kłamstwa, naznaczonego krwią przyjaciela, męża i ojca własnych dzieci. Śmierć sadystycznego męża Celeste (Nicole Kidman) Perry'ego (Alexander Skarsgård) w najróżniejszy sposób wpływa na wszystkie kobiety, które w finale pierwszego sezonu były jej świadkiem.

Jane (Shailene Woodley) musi się zmierzyć z ujawnieniem synkowi, kto jest jego ojcem. Zawsze pewna siebie i wygadana Madaline (Reese Witherspoon) zderza się z własnymi grzechami w małżeństwie i buntem córki. Natomiast celebrytka Renata (Laura Dern) spada z bardzo wysokiego konia przez finansowe machlojki męża. W depresji zaczyna tonąć Bonnie (Zoë Kravitz), która najmocniej przyczyniła się do „uwolnienia" katowanej przez Perry'ego żony. Czy jednak zamknięty w złotej klatce koszmar kobiety nie był rodzajem perwersyjnej gry? Sugestywnie grana przez Kidman Celeste wciąż w dziwny sposób tęskni za zatrutym związkiem. Widzi też, jak śmierć męża wpływa na jej dwóch synków, dla których był on wymarzonym, kochającym ojcem.

Na domiar złego do miasteczka sprowadza się matka Perry'ego grana przez samą Meryl Streep. Jej rola to najmocniejszy punkt pierwszych trzech odcinków (tyle obejrzałem przedpremierowo) „Wielkich kłamstewek 2". Zdobywczyni trzech Oscarów nigdy nie schodzi z wysokiego poziomu aktorstwa. Nawet grając na autopilocie, olśniewa naturalnością i charyzmą. Tutaj momentami gra na nutach znanych z wspaniałej roli w „Aniołach w Ameryce" (2003), co jednak nie zmienia tego, że jej pojedynki z innymi zdobywczyniami Oscarów Nicole Kidman i Resse Witherspoon w każdej scenie elektryzują.

Pojawienie się szukającej przyczyn śmierci syna złośliwej teściowej ożywia historię, pozbawioną napięcia z pierwszej odsłony sygnowanej nazwiskiem Vallée. Siłą pierwszego sezonu było spojrzenie na hipokryzję dorosłych z perspektywy dzieci. To spięcie między dziećmi prowadzi do opadnięcia masek z twarzy pozornie szczęśliwych i przyja-

eprasa.pl 273b5b4c04

znych kobiet. Za nimi kryje się rozbicie, smutek, złość, kompleksy, strach oraz nienawiść. Teraz widzimy konsekwencje jednego wydarzenia, co może,



ale wcale nie musi, zamienić opowieść w rodzaj moralitetu. Oczywiście czysto laickiego i pozbawionego duchowości.

Jean-Marc Vallée pokazał w „Dzikiej drodze", jak wrażliwym jest obserwatorem kobiecych tragedii. Czysto ludzkich, codziennych i przyziemnych problemów. Kanadyjczyk ukazywał, jak oderwani od problemów zwykłych ludzi, opływający w dostatku „arystokraci" niszczą nadopiekuńczością własne dzieci i są więźniami własnego plastikowego, zatopionego w politpoprawność świata. To kolejny bardzo ciekawy element opowieści, kontynuowany w drugiej części serialu. Chodzące do elitarnej szkoły dzieci są typowymi „śnieżynkami". Przewrażliwione, kruche jak płatki śniegu, chowane w bezpiecznej bańce dostają ataku paniki podczas lekcji o ociepleniu klimatu. Są przepojone wszystkimi liberalnymi dogmatami i przejmują wszystkie neurozy swoich rodziców. Vallée za pomocą retrospekcji, nielinearnej narracji potrafił co chwila podnosić temperaturę opowieści, by nie ugrzęzła w melodramatycznych dołach. Mylił tropy, zwodził, ale ani na moment nie odrywał jej od czterech zatopionych w wielkich kłamstewkach kobiet. Kłamstewka narosły tak bardzo, że zamieniły się w jedno wielkie kłamstwo, z którego konsekwencjami muszą się zmierzyć bohaterki drugiego sezonu.

„Wielkie kłamstewka" są w pewnym stopniu symbolem życia Nicole Kidman, która przez wiele lat była uwikłana w toksyczny związek z Tomem Cruise'em, a przez niego ze scjentologami. Teraz aktorka mówi otwarcie o swoim katolicyzmie, który przyjęła po wyrwaniu się z mroków niebezpiecznej i szalenie wpływowej w Hollywood sekty.

KIDMAN: POWRÓT DO DOMU

„Katolicyzm mnie prowadzi. Naprawdę mam silną wiarę, staram się regularnie chodzić do kościoła, a także do spowiedzi. W tym sensie jestem uduchowiona, że absolutnie wierzę w Boga" – powiedziała kilka miesięcy temu w rozmowie z „Vanity Fair". Choć aktorka powróciła do wiary w 2006 r., to dopiero teraz tak otwarcie o niej opowiada. Kidman przyznała, że zetknęła się z religijnością w domu rodzinnym i teraz odkrywa w sobie porzuconą w Hollywood duchowość. „Miałam bardzo katolicką babcię i wychowałam się na modlitwach, które na mnie mocno wpłynęły" – wspomina.

Kidman związana jest z muzykiem country Keithem Urbanem. Urodzony w Australii piosenkarz nie unika w swojej twórczości chrześcijańskich odniesień. Kidman przed ślubem z Urbanem studiowała nawet teologię. Nie tylko po to, by zrozumieć istotę swojej wiary, lecz również, by wyrwać się z macek scjentologicznych, których najsłynniejszym kapłanem jest jej były mąż Tom Cruise. Uciec z organizacji pomógł Kidman australijski kapłan ks. Paul Coleman.

W wywiadzie dla „Vanity Fair" Kidman przyznaje, że nawet przyjaciele potrafią dokuczać jej z powodu otwartego katolicyzmu. Możliwe, że dlatego przeprowadziła się z Urbanem i dwójką dzieci do Nashville w Tennessee. Nie odcięła się jednak od swoich adoptowanych dzieci ze związku z Cruise'em. Jej córka dołączyła do ojca i wstąpiła do scjentologów.

Kidman poznała Toma Cruise'a na planie „Szybkiego jak błyskawica" (1989). Rok po spotkaniu ówczesna najgorętsza para Hollywood wzięła ślub. Ich małżeństwo rozpadało się na oczach kinomanów z całego świata. Nie bez przyczyny maestro Stanley Kubrick obsadził ich w swoim ostatnim filmie „Oczy szeroko zamknięte" (1999). Wielki reżyser zmarł sześć dni po zmontowaniu ostatecznej wersji filmu, który nabrał po jego śmierci dodatkowego wymiaru. Perwersyjna opowieść o mrokach kryjących się za fasadą doskonałego małżeństwa, zazdrości, wynaturzonym seksie, narkotykach i skrywanym pożądaniu stoi za sukcesem jednego z najbardziej kontrowersyjnych filmów ostatnich dekad. Film Kubricka w jednym aspekcie przypomina „Wielkie kłamstewka". Obie produkcje opowiadają o obnażaniu kłamstwa niszczącego małżeńską jedność. Ciekawe, czy Kidman dlatego przyjęła rolę Celeste. Kobieta, podobnie jak Alice u Kubricka, jest zniewolona niespełnionymi seksualnymi potrzebami. Seksualne wyzwolenie Celeste jest pożerane przez sadyzm i władczość jej męża. Alice tłumi swoją seksualność, ale za to perwersyjnie manipuluje mężem.

Kidman nigdy nie bała się niejednoznacznych ról i kontrowersyjnych projektów. Choć 51-letnia aktorka była w latach 90. dziewczyną Batmana („Batman Forever"), a w 2018 r. pojawiła się w komiksowych superprodukcjach takich jak „Aquaman", nie unika komedii familijnych („Paddington") ani horrorów („Inni") i ma wciąż status gwiazdy Hollywood. Ale wybiera też role w kinie autorskim. W ostatnich latach pracowała z takimi filmowymi indywidualnościami jak Sofia Coppola („Na pokuszenie"), Werner Herzog („Królowa pustyni") czy Jorgos Lanthimos („Zabicie świętego jelenia"). Nie bała się wystąpić u skandalisty i enfant terrible światowej kinematografii Larsa von Triera („Dogdville").

Przez całą karierę szukała wyzwań aktorskich. W „Pokusie" Lee Danielsa była wyzywającą i starzejącą się kobietą wampem, w „Godzinach", za które dostała Oscara, dała się oszpecić, by zagrać pisarkę Virginię Wolf. Istotne jest też to, że nie boi się mówić głośno o swojej wierze, jednocześnie nie rezygnując z kariery w fabryce snów. Przypomina w tym bardziej Marka Wahlberga niż Jima Caviezela, wycofanego dziś do kina stricte religijnego. Drugi sezon „Wielkich kłamstewek" pokazuje, że Kidman najciekawsze role może mieć jeszcze przed sobą.

Fot. Mat. prasowe, Shutterstock

eprasa.pl 273b5b4c04



Pomyślny wiatr

Z Waldemarem Dąbrowskim, dyrektorem Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

„Dla kogoś, kto nie wie, do jakiego portu zmierza, każdy wiatr jest niepomyślny". Tym cytatem z Seneki rozpoczął pan podziękowania, odbierając International Opera Award (IOA).

Waldemar Dąbrowski: To kluczowa myśl ujęta przez wielkiego filozofa w słowa – i zrozumiała, i piękna. Metafora portu jest częścią życia każdego człowieka. Ale port to nie tylko punkt, to także droga, zwieńczenie pewnego procesu, wysiłku, radości, smutku, które drodze towarzyszą. Wszystko razem idealnie pasuje do tego, co uważam za istotę świata sztuki, czyli zdolnoci otwierania ludzkich serc i umysłów. Czynienia życia piękniejszym, pełniejszym.

Wielkie słowa.

Na czym polega sens sztuki, jeżeli nie na uwznioślenіu rzeczywistego doświadczenia...

Wróćmy do operowego Oscara, jak nazywana jest IOA. Czym jest ta nagroda dla dyrektora Teatru Wielkiego – Opery Narodowej?

Dowodem na to, gdzie się znaleźliśmy: jako teatr, polska kultura i ja osobiście. Jesteśmy dziś wiarygodnym i pożądanym partnerem czołowych domów operowych świata. Taka sytuacja w 1998 r., kiedy obejmowałem dyrekcję TWON (z przerwą na posługę ministerialną), mogła się jawić tylko w marzeniach. By pozostać przy metaforze drogi, plan był wtedy taki, by wsiadać na statki, które już płyną. Czyli przyjmować istniejące koncepcje artystyczne, tytuły, obsady, realizatorów, dyrygentów, reżyserów. To, co nowatorskie, rodziło się w innych głowach, a my się do tego dołączaliśmy.

Dzisiaj sami proponujemy, to nas szukają. Krzysztof Warlikowski (który wyreżyserował w londyńskim Royal Opera House uznany w tej edycji za „najlepszą produkcję roku" spektakl „Z domu umarłych") czy Mariusz Treliński („najlepszy reżyser" ubiegłorocznej edycji IOA), podobnie jak Piotr Beczała (najlepszy śpiewak minionego roku) nie bez powodu są zapraszani do współpracy przez najbardziej prestiżowe zespoły operowe świata.

Kto przyznaje IOA?

Kilkudziesięcioosobowy skład jury wybierany spośród artystów oraz dyrektorów operowych, a także krytyków muzycznych i muzykologów z całego świata. Głosują więc przedstawiciele branży operowej od Sydney po San Francisco. Ich oceny są bardzo kompetentne.

Pan odebrał operowego Oscara w kategorii „Leadership", czyli za...?

Przywództwo i zarządzanie w teatrze. Traktuję tę nagrodę – notabene wręczoną w siedmioletniej historii IOA dopiero po raz trzeci – jako świadectwo dokonań całego mojego zespołu, we wszystkich jego warstwach: od technicznej, przez administracyjną, po artystyczną i intelektualną. Dopiero taka całość tworzy teatr doceniany nie tylko przez widzów w kraju.

Pomijając inne ważne aspekty, pracowanie na prestiż Polski wydaje mi się świętym obowiązkiem każdego z nas, każdego Polaka. Tego od spraw lokalnych, tego od regionalnych i tego od spraw narodowych, europejskich i światowych. Nasze wysiłki trzeba umieć sumować. I w tym sensie to była moja osobista satysfakcja: wyjście na scenę londyńskiego Sadler's Wells Theatre (a jest to sala z wielkimi tradycjami) i wygłoszenie przemówienia, już jako laureat, do elity świata opery. A mówiłem przecież jako przedstawiciel polskiej kultury.

Jaka jest dzisiaj pozycja naszej opery?

Udało się ją wprowadzić na salony prawdziwie światowe. Jedną z większych satysfakcji, jaką mam, są momenty zadziwienia Polską wielkich postaci światowej kultury. Kiedy przyjeżdżają z wpisanym stereotypem drugorzędności naszego rejonu i nagle wchodzą do świata żadną miarą nieustępującego temu, który uważają za wielki i wiodący. I dzieje się tak zarówno w sferze kultury, jak i w innych obszarach.

To znaczy?

Po kolacji w kultowym warszawskim miejscu U Kucharzy usłyszałem od wybitnego Anglika, że według niego to jedna z dwóch najlepszych restauracji na świecie. Do tych zachwytów dołączyło się kilkanaście innych obeznanych ze światem osób. Byli w Warszawie szczęśliwi – profesjonalnie (jako goście i jurorzy świeżo zakończonego

eprasa.pl 273b5b4c04



Fot. Marlena Bielińska, Shutterstock

jubileuszowego, 10. Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki) i towarzysko. To też był powód do satysfakcji.

A artystyczne zadziwienia?

Gdy objąłem dyrekcję TWON w 1998 r., wybitny szwedzki choreograf Mats Ek – który bardzo nielicznym zespołom dawał swoją choreografię do „Carmen-Suity" Rodiona Szczedrina, skomponowanej przez tego ostatniego dla swej żony, światowej ikony tańca Mai Plisieckiej – przyjechał do Warszawy bardzo sceptyczny, a wyjechał z poczuciem spełnienia. Niedługo potem na pytanie Mai Plisieckiej, która planowała swój obchodzony w 2000 r. na scenie Teatru Bolszoj jubileusz 75. urodzin, gdzie w Europie jest najlepsza „Carmen", Ek odpowiedział: „W Warszawie!". I w ten sposób, podczas wieczoru, na który zjechali najwybitniejsi tancerze naszego czasu, jedynym zespołem, na dodatek pointującym wydarzenie, był zespół naszego teatru.

Czy „zadziwił się" też Polską Fabio Biondi, który zdecydował się wystawić „Halkę"?

To coś więcej. I zasługa przede wszystkim Stanisława Leszczyńskiego, twórcy i dyrektora Festiwalu „Chopin i jego Europa". Ja byłem tylko uczestnikiem drogi, która doprowadziła do nagrania i wydania albumu, który w Japonii, kraju o niezwykłej kulturze muzycznej, został uznany za płytę miesiąca. W Polsce album ukazał się na początku stycznia. Towarzyszył inaugurującemu Rok Moniuszkowski koncertowemu wykonaniu „Halki" w języku włoskim, z grającą na instrumentach historycznych orkiestrą Europa Galante pod dyrekcją Fabio Biondiego.

Ten jeden z największych autorytetów muzycznych naszych czasów, kiedy w ubiegłym roku dostał od Stanisława Leszczyńskiego partyturę „Halki", był pod ogromnym wrażeniem: inwencji melodycznej, niezwykłego liryzmu, orkiestracji dokonanej z szacunkiem dla osiągnięć wielkich niemieckich symfoników, a równocześnie dla włoskiej prostoty. Przede wszystkim jednak doceniał podniesienie polskiej muzyki ludowej do rangi uniwersalnej. Zdaniem Biondiego nie można rozważać sztuki europejskiej XIX w., nie uwzględniając dokonań polskiego mistrza.

Kto zdecydował o wykonaniu „Halki" w języku włoskim?

Poniekąd sam Moniuszko, gdy opublikował pierwsze wydania partytury nie tylko po polsku, lecz także w tłumaczeniu na język włoski, autorstwa wybitnego barytona, zaprzyjaźnionego z Moniuszką, Achille Bonoldiego. Biondi sięgnął po tę drugą wersję.

Dzięki niej łatwiej będzie promować dokonania ojca polskiej opery i niwelować, jak pan to ujął, „Moniuszkowski paradoks"?

Niestety, mamy do czynienia z bolesnym stereotypem. Jako twórca Moniuszko został zredukowany do dwóch operowych tytułów: „Halki" i „Strasznego dworu". Jako człowiek postrzegany jest jako starszy pan w okularach, trochę nudny, któremu zawsze brakowało pieniędzy. Tymczasem tak wiele mu zawdzięczamy.

Do jego czasu polski teatr operowy był nasycony „włoszczyzną". Moniuszko wniósł do tego świata oryginalne dzieła: sześć oper, trzy balety, osiem operetek, potężne opus sakralne (msze i kantaty), muzykę fortepianową, o której mało kto wiedział (pamiętam zdziwienie Janusza Olejniczaka, kiedy wręczyłem mu nuty). W dorobku kompozytora nie sposób też pominąć pieśni. To unikatowy w skali europejskiej projekt artystyczno-społeczny. Blisko 300 utworów skomponowanych przede wszystkim na proste środki wykonawcze, czyli nieszkolony głos i domowy instrument, czyli pianino. Większość z nich została zebrana w 12 „Śpiewników domowych". Moniuszko urzeczywistniał w ten sposób Mickiewiczowski ideał ksiąg trafiających pod strzechy.

O wydarzeniach związanych z rokiem twórcy „Strasznego dworu" informuje na bieżąco strona Moniuszko200.pl.

W najbliższym czasie, 6 czerwca, w TWON czeka nas koncert Tomasza Koniecznego „Moniuszki śpiewnik symfoniczny", dwa dni później – premiera wileńskiej wersji „Halki" w reż. Agnieszki Glińskiej. To będzie debiut operowy tej niezwykle utalentowanej i inteligentnej artystki. Podczas sierpniowego festiwalu „Chopin i jego Europa" Fabio Biondi przedstawi koncertową wersję opery „Flis". Dzięki udziałowi Orkiestry XVIII Wieku kolejne kanoniczne wykonanie zyska też „Straszny dwór". We wrześniu, w ramach 62. Warszawskiej Jesieni, odbędzie się prawykonanie „Moniuszko a Paris" współczesnego utworu napisanego na zamówienie TWON i festiwalu.

Mocnym akordem obchodów 200-lecia urodzin Moniuszki będzie grudniowa premiera „Halki" w Theater an der Wien – nominowanym w tej

eprasa.pl 273b5b4c04

edycji IOA w kategorii „najlepszy teatr". Reżyseruje Mariusz Treliński, autorem scenografii jest Boris Kudlička. Partię Jontka zaśpiewa Piotr Beczała, w tytułowej roli wystąpi ceniona amerykańska śpiewaczka Corinne Winters. Rola Janusza przypadła Tomaszowi Koniecznemu, kierownictwo muzyczne objął Łukasz Borowicz. Mam głębokie przekonanie, że premiera ta będzie początkiem międzynarodowej kariery Moniuszki.

Mocnym akordem obchodów 200-lecia urodzin Moniuszki będzie grudniowa premiera „Halki" w Theater an der Wien. Mam głębokie przekonanie, że stanie się ona początkiem międzynarodowej kariery kompozytora

Na co jeszcze mogą liczyć widzowie?

W listopadzie premierę będą mieć „Zagubione dusze", wieczór baletowy w trzech częściach. W ramach projektu „BMW Art Club. Przyszłość to sztuka 2019" pod koniec listopada premierowy koncert połączy wizualny pokaz Borisa Kudlički z utworem „Carmina Burana" Carla Orffa. Marzec 2020 r. przyniesie premierę baletu „Korsarz" z choreografią Manuela Legris i Mariusa Petipa. W maju na scenie pojawią się opery „Medea" w reżyserii Simona Stone'a oraz „Werther" w reżyserii Willy'ego Deckera.

Luty 2020 r. będzie należał do „Halki" Trelińskiego i Kudlički. Duet ten towarzyszy panu od początku operowej drogi?

To dzięki nim jestem w operze. Propozycję objęcia TWON składano mi kilkakrotnie i zawsze odmawiałem. Kiedy Mariusz i Boris przyszli do mnie w 1998 r. ze swoją koncepcją „Madama Butterfly", zobaczyłem ideę artystyczną i estetyczną, która pozwalała wejść do świata opery z jakimś programem. Udało mi się zaprosić do współpracy wielu wspaniałych twórców i to się natychmiast przełożyło na atrakcyjność spektakli, a co za tym idzie – obecność publiczności.

Opera skupia różne dziedziny sztuki, różne doświadczenia, wrażliwości i osobowości. Zupełnie jak pana zawodowa droga, rozpoczęta założeniem... klubu Riviera-Remont (1973–1978).

Był taki moment, później, podczas kierowania Centrum Sztuki Studio (1982–1990), gdy z perspektywą trzydziestokilkulatka miałem obok: mojego najbliższego przyjaciela Jerzego Grzegorzewskiego, Tadeusza Łomnickiego, z którym też się bardzo zaprzyjaźniłem, Adama Hanuszkiewicza, Józefa Szajnę, któremu odbudowałem rzeczywistość jego teatru, zupełnie osobnego, i jeszcze Janusza Wiśniewskiego, który dołączył do nas po sukcesach z Teatrem Nowym w Poznaniu. To były bardzo silne, odrębne osobowości i taka też była ich sztuka, taki robili teatr.

Moim pragnieniem, szczególnie w Teatrze Studio, było pokazywanie kultury polskiej, prowadzenie dialogu żywego i ważnego z innymi kulturami świata. Obok Teatru Starego w Krakowie byliśmy jedyną sceną, która regularnie podróżowała po wszystkich kontynentach. Mieliśmy też Galerię Studio z jej w pełni uniwersalnym językiem. Brakowało tylko muzyki. Dlatego zaprosiłem Jerzego Maksymiuka i Polską Orkiestrę Kameralną, a kiedy Jurek postanowił wyjechać do Szkocji, stworzyliśmy z Franciszkiem Wybrańczykiem i Yehudi Menuhinem Sinfonię Varsovię (1984). Miałem już wtedy pełnię: dramat, muzykę i sztuki wizualne.

Czyli wszystko, co potrzebne jest operze, ale poszedł pan do Ministerstwa Kultury i trafił do... kina.

To był czas historycznego przełomu. Wymyślił mnie w tej roli – wiem to od Krzysztofa Zanussiego – Krzysztof Kieślowski.

Był pan idealnym kandydatem do przeprowadzania zmian w polskiej kinematografii?

Zacząłem w roku 1990, jeszcze jako wiceminister, ale to rok 2005 okazał się przełomem, gdyż wprowadził nas w bardzo trudną sytuację ze względu na to, że wciąż kultura dzielenia jest w Polsce wyższa od kultury łączenia. To samo było w środowisku filmowym: jakaś niewiara, nieufność, ale udało mi się zgromadzić tych największych wokół siebie: Kazimierza Kutza, który był wtedy wicemarszałkiem Senatu, Andrzeja Wajdę, Jacka Bromskiego, Krzysztofa Zanussiego, Wojciecha Marczewskiego, Feliksa Falka, Filipa Bajona, Agnieszkę Holland, całe grono znakomitych postaci kina, które było przekonane, że to jest właściwa droga rozwoju polskiej kultury filmowej. Po 14 latach od powstania PISF nie ma co do tego wątpliwości.

Czy kiedykolwiek przydała się panu wiedza zdobyta na Wydziale Elektroniki Politechniki Warszawskiej?

Jako magister inżynier elektronik, ze studiami z zarządzania procesem rozwoju na Harvardzie, czerpałem z jednego i drugiego źródła. Matematyka, fizyka i teoria pola magnetycznego są najbardziej humanistycznymi dyscyplinami, jakie znam. To języki opisu świata. Doskonałe, niezwykłe, otwierające wyobraźnię, pokazujące przestrzeń, sens upływu czasu. Teoria pola elektromagnetycznego jest dokładnie tym, co dzieje się w sztuce. By rozwiązać problem rzeczywisty, trzeba przejść do świata urojonego, a w nim, i tylko w nim „j do kwadratu równa się minus jeden". Rodzaj giętkości umysłu, który ćwiczą kierunki ścisłe, szalenie ułatwia kontakt z abstraktem, jakim jest sztuka. Ale droga do niej wcale nie jest prosta.

eprasa.pl 273b5b4c04

Pigułki chrześcijańskiego optymizmu



MARCIN FIJOŁEK

Jeśli polski kanał w serwisie YouTube z pogadankami poświęconymi wyłącznie sprawom wiary, religii i Kościoła subskrybuje niemal pół miliona widzów, a codzienne homilie i komentarze dominikanina regularnie ogląda po kilkadziesiąt (czasem kilkaset) tysięcy internautów, można mówić o pewnym fenomenie. Jeśli dołożyć do tego wypełniane po brzegi podczas spotkań hale, kościoły i aule (na całym świecie), znaków zapytania tylko przybędzie. Nowa książka o. Adama Szustaka – bo o nim mowa – pozwala przynajmniej w pewnej części zrozumieć to zjawisko, a może nawet stać się jego współuczestnikiem.

„Szusta rano" to 365 zachęt do małego resetu, a łącząc żargony literackie i medyczne – 365 małych pigułek serwowanych u progu dnia (choć pora stosowania „leku" może być dowolna), by dobrze go rozpocząć. Dominikanin odbija się od wybranych cytatów, anegdot i dykteryjek, zgrabnie nimi żonglując, by przekierować nasze myśli ku refleksji głębszej, ku pogłębianiu wiary i tworzeniu osobowej relacji z Chrystusem, na czym oparte jest przecież chrześcijaństwo.

Myliłby się jednak ten, kto sprowadziłby przekaz o. Szustaka do jakiejś formy treningu personalnego czy motywacji znanej z opowieści coachingowych. Przyznać jednak trzeba, że forma oraz sposób katechezy i ewangelizacji proponowane przez charyzmatycznego dominikanina są dalekie od tych, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Szustak potrafi znaleźć ewangeliczną głębię w słowach, decyzjach i historiach takich postaci jak Albert Einstein, Rocky Balboa czy nawet... Pietrek z serialowego „Rancza". Na pierwszy rzut oka historyjki dominikanina nie przytłaczają nas teologiczną głębią, ale jeśli uczciwie się w nie wgryźć, a najlepiej okrasić kilkoma minutami refleksji przy suflowanych przez Szustaka cytatach z Biblii, okazuje się, że jest zupełnie inaczej. Czytelnik ani się obejrzy, a ma za sobą solidną dawkę modlitwy, lektury Pisma Świętego, a może i zbudowania w sercu czegoś więcej.

Co ważne, Szustak nie chodzi na skróty, w sprawie nauki Kościoła – nowoczesne w jego wykonaniu są tylko (albo i aż) przekaz, forma, a nie treść, którą otrzymują widzowie jego nagrań, słuchacze konferencji, czy, jak w przypadku „Szustej rano", czytelnicy książek. Uczciwie mówiąc, nie wszyscy muszą się w tej formule odnaleźć, ale wersja minimum, czyli inspiracja i dawka energii, jest pewna.

Nowa książka dominikanina poza porannym zastrzykiem optymizmu jest zarazem niezłym zaproszeniem do dłuższej podróży i przygody w ramach Langusty na Palmie (taką osobliwą nazwę nosi wspomniany kanał na YT) i innych inicjatyw dominikanów w Kościele. To zjawisko wciąż jeszcze nieopisane w skali, na którą zasługuje. 40-letniemu duchownemu udało się zbudować przestrzeń, w której mogą się odnaleźć i ci, którzy są pewni swojego miejsca w Kościele, i ci, którzy wciąż poszukują, szarpią się i nie mogą zakotwiczyć na dłużej. Wokół o. Szustaka (i wielu innych dominikanów) udało się stworzyć niemałą wspólnotę osób, a odsetek młodych zaangażowanych w kolejne inicjatywy i modlitwy jest na tyle duży, że pozwala z umiarkowanym optymizmem patrzeć w przyszłość. Kluczem do zrozumienia tego fenomenu jest wiarygodność i intensywność przekonania, z którym o swoim życiu z Bogiem mówią kolejni duchowni. „Musicie być bardziej świadkami niż nauczycielami" – mówił swojego czasu do księży Benedykt XVI. Wydaje się, że trudno dziś o lepszą odpowiedź na ten ważny apel.

W dobie coraz bardziej intensywnie pełzających procesów laicyzacyjnych (zwłaszcza wśród osób młodego pokolenia) i kryzysów, jakie raz po raz uderzają w Kościół (także ten w Polsce), warto się zastanowić nad kierunkiem katechezy proponowanym przez o. Szustaka. Tym bardziej że sam zainteresowany na kilka miesięcy zahibernował swoją aktywność, wybierając pokutną pielgrzymkę do Jerozolimy. Proszę jednak zapamiętać nazwisko tego zakonnika, ponieważ jeszcze nieraz o nim usłyszymy. „Szusta rano" to doskonała okazja, by zapoznać się z pierwszymi pierwiosnkami kościelnej wiosny, zanim rozkręci się ona na dobre.



eprasa.pl 273b5b4c04

Kurzak z Puccinim pod niebem

Kilka tysięcy widzów wybiera się na plenerową prezentację opery według Giacoma Pucciniego pt. „Madama Butterfly" w Warszawie. Wszyscy chcą posłuchać śpiewającej tytułową rolę słynnej sopranistki Aleksandry Kurzak i międzynarodowej stawki artystów.

Aleksandra Kurzak należy – obok Piotra Beczały, Mariusza Kwietnia i Tomasza Koniecznego – do najbardziej rozchwytywanych polskich wokalistów. Błyszczy na scenach europejskich, od 2004 r. także w nowojorskiej Metropolitan Opera. Niedawno dzięki transmisji z MET można ją było oglądać w „Carmen" Bizeta wraz z mężem, francuskim tenorem Roberto Alagną. Powodzeniem cieszy się ich świeży album „Puccini in Love", na którym interpretują duety miłosne z takich dzieł włoskiego mistrza jak „Cyganeria", „Tosca" czy „Madame Butterfly".



„Madama Butterfly" wg opery Giacoma Pucciniego „Madame Butterfly"; wersja koncertowa w reżyserii Natalii Korczakowskiej; obsada: Aleksandra Kurzak, Roberto Alagna, Andrzej Dobber, Monika Ledzion-Porczyńska, Marta Brzezińska, Karol Kozłowski, Łukasz Konieczny, Dionizy W. Płaczkowski. Chór Filharmonii Narodowej oraz Orkiestra Sinfonia Varsovia pod batutą Marcella Mottadelliego
premiera: 15 czerwca 2019 r., plac Defilad w Warszawie

Ostatni z wymienionych duetów przywołuje obecne, firmowane przez Studio Teatrgaleria, koncertowe wykonanie opery Pucciniego na placu Defilad w inscenizacji Natalii Korczakowskiej. Dramatyczne losy japońskiej gejszy, która poświęciła wszystko dla miłości do wiarołomnego cudzoziemca, wyśpiewają Aleksandra Kurzak jako główna bohaterka i Roberto Alagna jako amerykański porucznik Pinkerton. Od ich kreacji zależy, czy zdołamy uwierzyć w uniwersalność przesłania operowej historii sprzed stulecia. Bo w siłę muzyki wątpić nie sposób. Wszak wykonywać ją będzie plejada uznanych solistów, renomowany chór i orkiestra. Oby tylko pogoda dopisała!

Adam Ciesielski

Improwizator w basenie

Leszek Możdżer to żywioł wyobraźni. Trudno o lepszy pomysł niż poproszenie tego muzyka, by zainaugurował działalność Basenu Artystycznego – nowej sceny Warszawskiej Opery Kameralnej.

Basen w nazwie placówki nie jest przypadkowy. Scena znajduje się bowiem w miejscu, gdzie od lat 30. XX w., w historycznej siedzibie organizacji Polska YMCA przy ul. Konopnickiej 6, obok biblioteki, sal wykładowych, istniał 25-metrowy basen. W tym gmachu w pierwszych latach po II wojnie mieszkał Leopold Tyrmand, kwitło życie jazzowe. W czasach stalinowskich działaczy YMCA oskarżono o perfidne związki z amerykańskim imperializmem.

Pamięć o przeszłości miejsca odżyła po 1956 r. Od lat działa tu Teatr Studio Buffo, funkcjonuje Teatr Imka. Teraz, po przebudowie i modernizacji, powstała tu sala na ponad 200 miejsc – nowa przestrzeń dla WOK.

Leszek Możdżer doskonale pasował na bohatera inauguracji. Choćby z uwagi na jazzowy genius loci gmachu. Także z powodu szerokości własnych horyzontów. Znakomity jazzman, wirtuoz fortepianu, nie ogranicza się do muzyki synkopowanej, z którą jest kojarzony. Z talentem, ze znawstwem i swobodą udziela się w kręgach klasyki i awangardy. Program, jaki zaprezentował, sytuował się na pograniczu tych różnych nurtów.

Wraz z Zespołem Instrumentów Dawnych WOK „Musicae Antiquae Collegium Varsoviense" przedstawił zbiór swoich kompozycji napisanych na orkiestrę o tradycyjnym brzmieniu i fortepian w naturalnym stroju. Artysta dzielił się z zebranymi przekonaniem o naturalnej przewadze niższego, barokowego stroju o częstotliwości 432 Hz nad obowiązującym obecnie 440 Hz. Poza zawodowymi muzykami chyba mało kto te wywody zrozumiał, część publiczności uznała je za akcent dowcipnej konferansjerki pianisty. Ale wszyscy klaskali i wołali bis, bo zarówno utwory z „Earth particles", jak i z „Miniatur na smyczki i fortepian improwizujący" porwały gejzerami pomysłów, lekkością i zmiennością ekspresji.



Adam Ciesielski

eprasa.pl 273b5b4c04

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Dotykać rzeczy delikatnych

Jeśli jakiś zwolennik kultury wysokiej chciałby sobie naładować akumulatory, powinien pojechać do Sopotu na festiwal Dwa Teatry. Tam toczy się najpoważniejszy konkurs oferty artystycznej, rozmowy o Polsce. Ja w tym roku do znanych mi przedstawień telewizyjnych dołączyłem radiowe. Który teatr zawodowy ze sceną wystawi dziś „Warszawiankę" Wyspiańskiego? A radio to robi – rękami Wawrzyńca Kostrzewskiego, z najlepszymi aktorami w rolach głównych. A który dałby szansę niezwykłej opowiastce „Wielka improwizacja" Wojciecha Tomczyka o genezie „Dziadów" Dejmka z 1968 r., jak nie teatr radiowy?

Na gali kończącej festiwal Jan Englert dostał nagrodę za całokształt. On towarzyszy mi od najmłodszych lat, to mój pierwszy Hamlet, dziś prawdziwy autorytet. Wspaniały nie tylko jako aktor, ale też reżyser. Wychowałem się na jego przedstawieniach telewizyjnych, przygotował ich kilkadziesiąt. Jego „Lato" Tadeusza Rittnera, pokazane w tym roku, przypomniało, jak można robić świetny teatr za pomocą kamery. I jak można twórczo bawić się klasyką, opowiadać ją dziś współczesnym ludziom.

– Lubię dotykać rzeczy delikatnych. Opowiadam o pięknych ludziach, którzy robią paskudne rzeczy. Ale się przynajmniej wstydzą. Dziś ludzie chwalą się paskudnymi rzeczami. Ja jestem z wieku XIX – mówił wielki artysta po pokazie spektaklu, który niestety nie zmieścił się na podium.

Ale Englert na samej gali powiedział coś jeszcze. Odczytał sławny list Zbigniewa Herberta do słuchaczy Akademii Teatralnej. Kluczowe zdanie listu, w którym wielki poeta prosi przyszłych artystów, aby pamiętali o wartościach, brzmi: „Nie bądźcie nowocześni. Bądźcie rzetelni". Czy to zbieg okoliczności, że przed rokiem czytała w Sopocie, na festiwalu Dwa Teatry, ten sam list Anna Seniuk, inna wielka aktorka? Nie. I dlatego, że to pokolenie tak zostało wychowane. Ale i dlatego, że właśnie sztuki produkowane przez teatry radiowy i telewizyjny są na ogół świetną egzemplifikacją tej tezy.

Drugą, taką samą, nagrodę otrzymała Halina Łabonarska. Wielka aktorka opowiadała o radości kogoś, kto może robić całe życie coś, co ukochał. Chciałbym zadedykować jej słowa wszystkim tym, zwłaszcza po prawej stronie, którzy uwielbiają narzekać na artystów sceny i ekranu. Pani Halina powinna was przekonać, że ani to zajęcie łatwe, ani niepotrzebne. Zwłaszcza że jest też wspaniałym człowiekiem. Odważnym, swoim życiem spełniającym postulat Herberta, żeby trwać przy wartościach.

W ostatnim sezonie zagrała niesamowitego Chochoła w niesamowitym „Weselu", znów Wyspiańskiego. Wyreżyserował go jej syn Wawrzyniec Kostrzewski. W tym przedstawieniu, które zasłużenie wygrało festiwal, zbiegły się przeciwstawne zdawałoby się cele. Ono jest i nowoczesne w najlepszym tego słowo znaczeniu, i intelektualnie rzetelne. A przy tym piekielnie atrakcyjne, to kawał i teatru, i telewizyjnego widowiska. Szukającego łączności między rokiem 1901 i 2019.

Trójka z czwórki, która dostała główne nagrody aktorskie, zagrała w tym „Weselu": Dominika Kluźniak, Grzegorz Małecki, Przemysław Stippa. I cała trójka gra w Teatrze Narodowym Englerta, gdzie wymaga się perfekcyjnego teatralnego rzemiosła.



Ewie Millies-Lacroix, szefowej Teatru Telewizji, gorące podziękowania za to, że ta maszyneria pracuje na najwyższych obrotach. Od zapaści przed czterema laty, do 28 premier w sezonie (po trzy na miesiąc). Janowi Tomaszewskiemu, doradcy zarządu TVP, za to, że to kruche urządzenie osłania.

Piotr Zaremba



Wojciech Stanisławski

Entuzjasta Edmunda

„Księga dla starych urwisów" to epitafium i laudacja, opisanie życia i dzieł pisarza dla młodzieży, który ukształtował dzisiejszych 50-latków

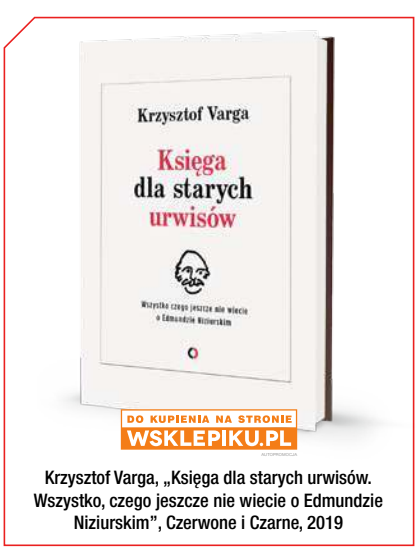
Jak nuci się do dziś na prowincjonalnych potańcówkach, czas nas uczy pogody, ale życie uczy nas jednak przede wszystkim ostrożności. Zdanie „Pozostały pokolenia Polaków, dla których [zmarły pisarz] był nauczycielem i wychowawcą" samo w sobie ma solenność epitafium: nużąco podniosłe, jest jednak do przyjęcia. Co jednak, jeśli natrafi się na nie, kartkując książkę szydercy i mizantropa, który co tydzień w felietonach na łamach „Dużego Formatu" daje upust swojej niepodrabianej, żywej, chwilami obsesyjnej niechęci do rodzaju ludzkiego, ze szczególną predylekcją dla polskiego patosu?

Pierwszy odruch czytelnika jest oczywisty: no tak, kolejna ironiczna łże-laudacja nadętego polityka (albo kogoś, kogo Krzysztof Varga za nadętego polityka uważa), która skończy się za chwilę trzaskiem przebitego piórem balonu. Większość tych złośliwości jest jak skrypt do komiksu Janka Kozy, sarkazm pod rękę z ojkofobią. Znowu gra do jednej bramki, wyśmiewanie jakiegoś plebana, prowincjusza czy innego pisowca. Zostawmy to.

A jednak. „Księga dla starych urwisów" to epitafium i laudacja, opisanie życia i dzieł pisarza dla młodzieży, który ukształtował dzisiejszych 50-latków i starszych, Edmunda Niziurskiego. Rzecz tak niepodobna stylem, językiem, temperaturą emocjonalną do innych książek Vargi z różnych jego pisarskich ścieżek, już to powieści, już to węgierskich itinerariów, że czytając, raz i drugi zerknąłem na skrzydełko „Księgi...". To ten sam autor?

Varga naszkicował bieg życia pisarza, odwołując się do wspomnień jego bliskich, szczypty zapisków metrykalnych, wyników żarliwej kwerendy w cudem zachowanym biurku autora „Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa". To szkic do portretu, zaznaczenie wielkich punktów zwrotnych: dzieciństwo, wojna, ślub, debiut, kilka podróży i przypadków. Napisane zostało dość, by pan Edmund, prezentujący na reprodukowanych zdjęciach legitymacyjnych całą galerię uczesań PRL (wygolona twarz aktywisty, gierkowskie baczki, siwy, strzępiasty wąs z lat 80.), stanął przed nami jak żywy; pozostało nieopowiedziane tak wiele, że solennym doktorantom nie zabraknie pracy. Jest w tym życiorysie odwaga, podczas wojny i później, nie ma zbyt wielu dramatycznych wyborów, ciśnienia historii, zmagań z cenzurą. „Pisarze dla młodzieży" często żyli obok systemu, a jeśli mu ustępowali, to nawet najżarliwsi inkwizytorzy, którzy potrafią co tydzień przypominać o fatalnych wpadkach młodej Szymborskiej czy starego Iwaszkiewicza, traktują ich z pobłażaniem. I słusznie, „Księga urwisów", czyli właściwy debiut Niziurskiego jako pisarza dla młodzieży, może dziś służyć jako przykład socrealistycznej sztampy, tropienie kułaka i niemieckiego szpiega raczej jednak śmieszy, niż trwoży, podobnie jak kilka opowiadań sławiących trud żołnierzy WOP, nawet jeśli Varga zbyt jest już szczodry w zachwalaniu ich lekkości.

Ta szczodrość wynika wprost z leżącej u podstaw „Księgi..." potrzeby złożenia hołdu. Omówienia najlepszych powieści Niziurskiego nie mają nic wspólnego z wyszukiwaniem ukrytych motywów czy szczegółów konstrukcji. Varga nie darmo jest polonistą, potrafi od niechcenia wskazać intertekstualne gry, jakie z upodobaniem podejmował pisarz, wychwycić od ręki aluzje do języka PRL, które umykały nastoletnim entuzjastom. Świetnym przykładem dociekliwości badacza jest zdejmowanie „masek", nakładanych miastom w kolejnych powieściach, wskazanie, że Niziurski, jak większość twórców, nadal żył w krainie dzieciństwa: Wilczków, Niekłaj, Odrzywoły to tak naprawdę świętokrzyska prowincja albo Kielce, tużpowojenne, widziane z perspektywy



Krzysztof Varga, „Księga dla starych urwisów. Wszystko, czego jeszcze nie wiecie o Edmundzie Niziurskim", Czerwone i Czarne, 2019

eprasa.pl 273b5b4c04

własnego podwórka czy ulicy. W tych omówieniach tak naprawdę chodzi jednak przede wszystkim o radość wspólnego czytania, o doświadczenie raz jeszcze tamtej logorei, groteski i fraz. „Nierogacizna płynęła ulicami". „Opanujemy komensalizm, polifiletyzm i anafilaksję". „Na mnie proszę mówić Pirydion Teodorowy albo Pirydor" – w czym to jest gorsze od „Call me Ismahael"?

Ja, wdzięczny panu Edmundowi za „Klub włóczykijów", wolny zarazem od szczególnej niziurskofilli, czytam „Księgę dla starych urwisów" z wielką przyjemnością, poruszony jednak przede wszystkim nie tyle przywołaniem emocji dzieciństwa w późnym PRL, ile przemianą, jaka dokonała się w opowiadającym. Kilka lat temu, dzieląc się zachwytem po lekturze „Langosza w jurcie", pisałem: „Nigdzie indziej nie przeczytamy tyle o prawdziwej prowincji węgierskiej, z którą zostawił nas komunizm: nie z odpicowanymi miasteczkami i cepeliadą odstawianą w puszcie, tylko z kilometrami zapylonej pustki. Czasem Varga, na szczęście, zapomina o swojej mizantropii, a wtedy pisze z żalem, uwagą i miłością". Ogromnie się cieszę, że potrafił tak napisać również o Niziurskim.

Konstruowanie pamięci

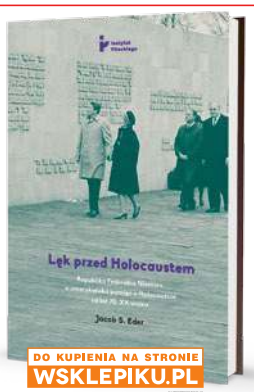
Prywatne fundacje na czele z Atlantic-Brücke i sztab doradców w Auswärtiges Amt. Lobbing na rzecz Nagrody Nobla dla Elie Wiesela, świadka Zagłady (skuteczny!), i programy stypendialne dla setek amerykańskich nauczycieli z Midwestu, odwiedzających RFN. Poufne misje osobistych doradców Helmuta Kohla i czas, jakiego nie szczędził kanclerz, przywódca jednego z najpotężniejszych państw świata, na spotkania z liderami kilku organizacji społecznych z USA. Takie są narzędzia skutecznej gry o pamięć.

Republika Federalna Niemiec od początku niosła odpowiedzialność za zbrodnie Trzeciej Rzeszy – w tym za Zagładę. „Niosła" to zbyt mocne słowo: zmagała się z tą pamięcią, niby nie wypierała się jej, ale dokonywała licznych uników, wybielała lub ukrywała sprawców, co w dwubiegunowym świecie mogło liczyć na pobłażliwość Zachodu. Nakładały się na to naturalne procesy oswajania swojej przeszłości przez generację, która odbudowywała Niemcy po klęsce 1945 r., i jej kwestionowania przez następne pokolenie, które doszło do głosu w połowie lat 60. Równolegle toczyły się, najtrudniejsze do zważenia na szalach historyka, zmagania w sumieniach sprawców i świadków zbrodni, których wynikiem zwykle było wypieranie prawdy, nieraz kłamstwo, czasem skrucha.

W latach 80. ten splot okoliczności – kunktatorstwa i realizmu, troski o wizerunek i potrzeby szukania sprzymierzeńców – wzbogacił się o nowy wątek. W Stanach Zjednoczonych, superpotędze gwarantującej RFN wsparcie polityczne i wojskowe, kraju będącym partnerem gospodarczym i źródłem wzorów kulturowych, zmienił się w tym czasie stosunek do zagłady Żydów europejskich. „Holocaust" (niezbyt fortunny termin, ukuty właśnie przez Wiesela) stał się w tym czasie, po dekadach marginalizowania go, jednym z podstawowych punktów odniesienia w amerykańskiej pamięci historycznej, a wkrótce potem – kulturze masowej. Pokolenie ocalonych zaczęło się upominać o swoje miejsce w wyobraźni zbiorowej, o muzea (dyskusje nad formułą pierwszego i najsławniejszego z nich, waszyngtońskiego Holocaust Memorial Museum, trwały przez całą dekadę) i miejsce w podręcznikach.

Niemieccy przywódcy stanęli wobec perspektywy mimo wszystko nie do pozazdroszczenia: zbrodnia, nieoswojona może i nieprzebaczona, ale przyprószona kurzem, poszarzała, przypisana przodkom – nagle powracała, „Nazi" stawali się Nemesis. W wyobraźni zbiorowej, która funkcjonuje na zasadzie prostych i niepodlegających dyskusjom skojarzeń, która nie zna trybu warunkowego, uwzględniania okoliczności i szanowania kontekstu, Niemcy mieli na zawsze stać się tylko i wyłącznie sprawcami zbrodni. Co robić?

Książka historyka Jacoba Edera opisuje splot inicjatyw podejmowanych przez różne środowiska niemieckie, żydowskie i amerykańskie w dekadzie decydującej o upamiętnianiu Zagłady w USA. Na ile RFN mogła wpłynąć na kształt tej pamięci, w sytuacji gdy powinnością kraju było wzięcie odpowiedzialności za zbrodnie, a racją stanu – zniuansowanie opisu niemieckiej przeszłości? Monografia zatytułowana „Lęk przed Holocaustem", opisująca zabiegi i przetargi dyplomatów, filantropów i akademików sprzed 30 lat, jest prawdopodobnie zbyt szczegółowa dla przeciętnych entuzjastów historii. Jest zarazem lekturą po prostu niezbędną dla każdego, kto na serio myśli o kształtowaniu wizerunku swojego kraju w świecie. Oczywiście, nie ma mowy o prostej analogii między sytuacją RFN w latach 80. a współczesnej Polski, nie tylko ze względu na ciężar niemieckich win – można jednak wykorzystać pracę Edera jak podręcznik strategii działania publicznego. Im więcej będzie zdolności do tego rodzaju profesjonalnego działania (na razie ich posiadania dowodzi przede wszystkim kilku ambasadorów RP) w miejsce rzewnych lamentów, tym lepiej.



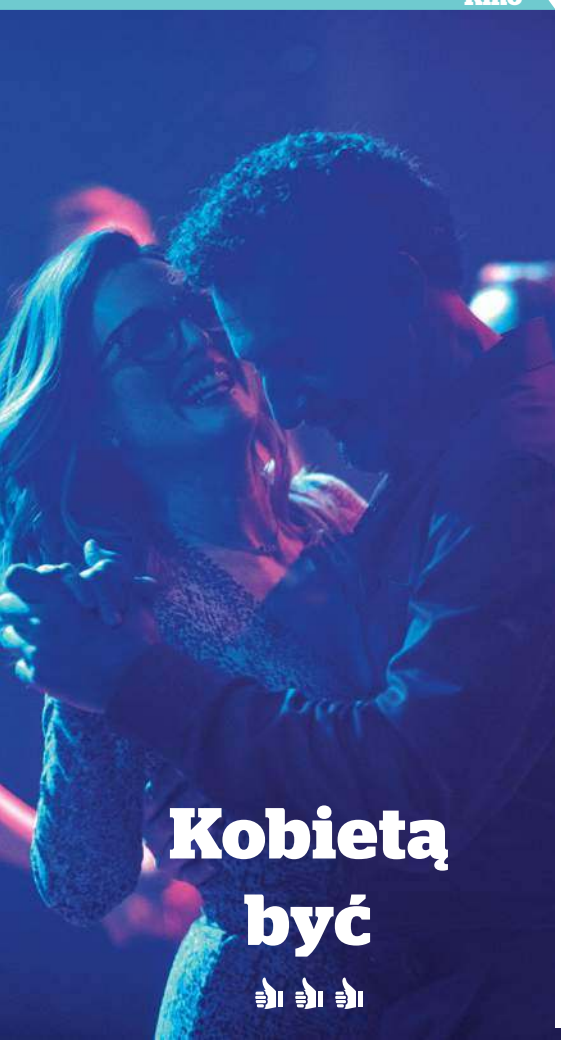
Jacob S. Eder, „Lęk przed Holocaustem. RFN a amerykańska pamięć o Holocauście od lat 70. XX wieku", tłum. Maciej Antosiewicz, Instytut Pileckiego, 2019

eprasa.pl 273b5b4c04

Adamski poleca



Kino



Kobietą być

Powiedzieć, że kino lubi portretować kobiety, to popaść w żenujący truizm. Jednak powiedzieć, że kino tak samo dobrze pokazuje portrety kobiet w każdym wieku, to już przekłamanie. Bardzo rzadko zdarza się na ekranie tak intymny portret zwykłej kobiety i jej zwykłego życia.

Nagrodzony Oscarem za „Fantastyczną kobietę" Chilijczyk Sebastián Lelio zrobił remake własnego filmu z 2013 r., który przyniósł aktorskiego Złotego Niedźwiedzia w Berlinie Paulinie Garcíi. W historii nie ma wielu zmian. Ulice Santiago de Chile zostały zastąpione ulicami Los Angeles, rolę Glorii przejęła zaś Julianne Moore, która jako szukająca szczęścia starzejąca się rozwódka wypada równie zjawiskowo. Zrobić nową wersję własnego filmu to bardzo ryzykowny zabieg. Tutaj udało się dzięki szczerości reżysera i jego aktorskiej ekipy.

To jest film zdobywczyni Oscara za obraz „Motyl. Still Alice". Zostanie zapamiętany głównie dzięki jej poruszającej kreacji. Julianne Moore przyzwyczaiła nas do tego, że nie boi się tworzyć skomplikowanych kobiecych postaci, które wymagają od niej nie tylko obnażenia się psychicznego, lecz również fizycznego. W „Glorii Bell" jest dojrzałą kobietą próbującą łapać słodkość życia. Poznajemy ją w tańcu i to taniec kończy jej historię. Taniec najmocniej wyraża przemianę Glorii pragnącej 12 lat po rozwodzie poczuć jeszcze miłosne uniesienie. Jej dzieci mają już swoje problemy życiowe. Ona nie chce się ograniczać wyłącznie do roli babci. Spotyka w klubie nocnym Arnolda (John Turturro). Świeży rozwodnik, który zrzucił kilkadziesiąt kilogramów wagi, wydaje się idealnym partnerem – doświadczonym życiowo i szukającym drugiej połówki. Niestety nie umie się wyrwać z toksycznej relacji z dorosłymi dziećmi i byłą żoną.

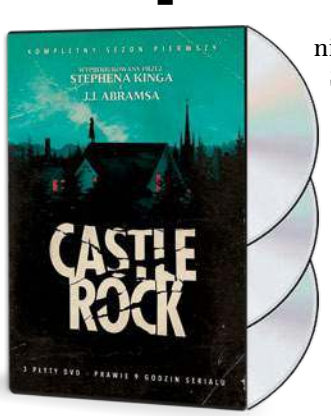
Siłą filmu Sebastiána Lelio jest wejście w intymność życia dojrzałej kobiety bez pretensjonalności. Modne jest dziś pokazywanie kobiet bez dyktatury Photoshopa i kultu doskonałości fitness. Modne jest też opowiadanie o seksualności kobiet po pięćdziesiątce. Jednak ten film nie jest wyrachowanym wpisaniem się w modę. W każdym kadrze widać, że filmowana z bliska Moore chce nam powiedzieć coś ważnego również o sobie. A jednocześnie jest to historia bardzo uniwersalna.

Gloria jest jak kobieta z sąsiedztwa. Jest jak nasza ciotka, matka czy pani od ubezpieczeń samochodowych, czym zresztą się zajmuje. Zwykła kobieta ze zwykłymi problemami. Nie spodziewajcie się więc po treści tego filmu żadnych fajerwerków. On przyciąga, bo jest doskonale zagrany. Arnold w wykonaniu Johna Turturro wzrusza i irytuje. Jest żałosny i godny największego współczucia. Natomiast lekkość i wrażliwość, z jaką Moore rysuje portret Glorii, nie pozwala oderwać od ekranu wzroku. Udaje się Lelio zawrzeć w postaci Glorii tyle prawdy o kobiecych uczuciach, że łatwo jest się z nią identyfikować każdej matce, żonie, babci, ale i kobiecie bezdzietnej.

„GLORIA BELL", REŻ. SEBASTIÁN LELIO, DYSTR. M2FILMS

DVD

The best of Stephen King



Miasteczko Castle Rock wielokrotnie przewijało się w powieściach Stephena Kinga. Pierwszy raz napisał o nim w „Martwej strefie" (1979). Potem nawiązanie do miasteczka pojawiało się w tuzinie innych prac Kinga („To", „Cujo", „Sklepik z marzeniami"). Castle Rock to fikcyjna, mroczna i przepełniona tajemnicą mieścina gdzieś w stanie Maine. Teraz poświęcono jej cały serial.

Produkowany przez J.J. Abramsa serial rozpoczyna się od samobójstwa przechodzącego na emeryturę naczelnika więzienia Shawshank. Tak, tego samego więzienia ze wspaniałego filmu opartego na Kingu pt. „Skazani na Shawshank" (1994). „Castle Rock" gładko i błyskotliwie łączy najróżniejsze elementy świata Kinga. Czy przekłada się to na samą historię? Historia przedziwnego ukrytego w górach i lasach miasteczka (zamknięte osobowe zło, telepatyczne zdolności bohaterów etc.) jest wtórna wobec choćby kultowego „Twin Peaks". Jednak twórcom udaje się zbudować specyficzny klimat nie na ogranych chwytach rodem z co drugiego horroru, ale na graniu nastrojem.

„CASTLE ROCK" DOSTĘPNY NA DVD

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 273b5b4c04

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza



Niespełniona opowieść

DVD/VOD

Jest jeden powód, dla którego „Kokainowego Ricka" warto obejrzeć. To rola Matthew McConaugheya, który w ostatnich latach zbyt często był na ekranie Matthew McConaugheyem upajającym się swoim sposobem mówienia i wystudiowanym mrokiem za oczami. Tutaj przypomina o swojej wielkości z takich filmów jak „Witaj w klubie" (Oscar), „Uciekinier" i serialu „Detektyw". Teraz wciela się w Richarda Wershe'a, drobnego cwaniaczka i handlarza nielegalną bronią. Richard mieszka z córką i 14-letnim synem Rickiem (Richie Merritt) w Detroit lat 80. XX w. Miasto, które kiedyś było symbolem amerykańskiego kapitalizmu, dziś jest jednym z najniebezpieczniejszych miejsc w Ameryce. Szkoda, że obraz nie jest nawet w połowie tak spełniony jak rola McConaugheya.

Reżyser Yann Demange miał doskonały materiał na film. Opowiada historię, która rozpalała w swoim czasie debatę w Ameryce. 14-letni Rick był najmłodszym informatorem FBI, który pomógł rozpracować murzyńskich gangsterów. Biały chłopak zaskarbił sobie sympatię czarnych gangów, do których dołączył, nie chcąc wieść żywota swojego ojca. Kogoś, kogo bardzo kochał, ale jednocześnie gardził jego biedą i pokrętną moralnością. Richard przekonywał, że handel narkotykami jest niemoralny, ale nielegalna broń już nie. Nawet jeżeli służy ona gangsterom w przestępstwach. Dlaczego? Bo posiadanie broni chroni... konstytucja. Jego syn nie miał już żadnych moralnych usprawiedliwień i z przytupem wszedł w świat narkobiznesu. Chłopak za handel narkotykami trafił do więzienia na 30 lat, choć dostał wyrok dożywocia.

Problemem „Kokainowego Ricka" jest rozdarcie jego twórców. Nie do końca wiedzą, jaką historię chcą opowiedzieć. Z jednej strony jest to wzruszająca opowieść o nieumiejącym uczciwie utrzymać rodziny ojcu. Jego walka o wyrwanie córki z narkotykowych szponów przypomina surowe i brutalne kino uliczne. Jednak już w scenach wchodzenia nastoletniego chłopaka w świat gangów dostajemy wtórną historię opartą na tuzinie innych gangsterskich filmów. „Kokainowy Rick" nie sprawdza się więc jako kino sensacyjne. Zbyt mocno prześlizguje się też po gatunku, jakim jest dramat policyjny. Nie można go też potraktować jako nowego filmowego głosu w opisie Detroit, które zostało tak dobrze sfilmowane w „Gran Torino" Eastwooda czy „8 mili" Hansona. Tak, mamy tutaj obdarte i walące się domy, opustoszałe ulice i skorumpowane władze samorządowe. Tylko nic z tych obrazów nowego nie wynika.

Zupełnie niewykorzystani są wybitni aktorzy jak Bruce Dern (jako dziadek Wershe) i Jennnifer Jason Leigh (agentka FBI), których epizody są jednowymiarowe i nieciekawe. Jednak mocna rola McConaugheya daje sporo satysfakcji. Bezradny wobec drogi syna w stronę narkobiznesu i zmuszony obserwować szwindel policji wykorzystującej jego ukochane dziecko Richard naprawdę wzrusza. To najlepsza rola teksańskiego aktora od lat.

„KOKAINOWY RICK"
DOSTĘPNY NA DVD I HBO GO

Niemoralna propozycja

VOD



Przedziwny to serial. Jego istota zamyka się w zdaniu z pierwszego odcinka: „Ten cały pomysł jest zerżnięty prosto z kiepskiego filmu lat 90." – mówi Lisa (Jane Levy) do swojego męża Seana (Blake Jenner), który ma spędzić noc z demoniczną wilczycą z Wall Street Anne Montgomery (Renée Zellweger). Cena za seks z przystojniakiem jest 80 mln dolarów, które nieprzyzwoicie bogata Anne ma przelać na konto zajmującej się wynalezieniem leku na raka firmy Lisy. „Niemoralna propozycja" w wersji 2.0? Przy odpowiedniej reżyserii opowieść o komiksowo złej bizneswoman byłaby autoparodią gatunku rodem z VHS. Niestety przerysowane aktorstwo, telenowelowy romantyzm i pioruny strzelające w scenach z diaboliczną Anne zamiast bawić – żenują. Ten brak umiejętności balansowania na granicy autoparodii rekompensuje rola wyjętej z czarno-białego kina noir Zellweger, zupełnie różnej od fajtłapowatej Bridget Jones. Tylko ona intryguje w tym kuriozalnym miszmaszu soap opery i thrillera klasy B.

„WHAT IF?" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

eprasa.pl 273b5b4c04

Przepis na piosenkę



Rys. Shutterstock

Moja serdeczna koleżanka z tygodnika „Sieci” na jednym ze spotkań w redakcji zapytała mnie: „Jak powstaje piosenka?”. Odparłem jednym zdaniem: „To długa historia”



KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Dziś parę słów nie tylko o tym, jak powstaje piosenka, lecz także, jak okrutna jest ta branża, czyli prawdziwy show-biznes.

Piosenka może być dziełem sztuki. To tylko maleńka forma literacko-muzyczna, ale bywa, że urasta do arcydzieła. Pod warunkiem że pewnego dnia los zetknie dwoje utalentowanych artystów, którzy pragną napisać piosenkę – utwór z potrzeby duszy i serca.

Przykłady? Proszę bardzo. „Miłość” (słowa i muzyka Marek Grechuta). Co za wiersz! Jaka muzyka! Co za interpretacja! Wszystko w tej balladzie jest szczere, przejmujące, tchnie prawdą o uczuciu, które zdarza się niezmiernie rzadko, gdyż prawie nigdy nie potrafimy go odróżnić od namiętności. Druga piosenka z mojej kolekcji płyt to według mnie najpiękniejsza wersja arcydzieła „Martwe liście” – „Autumn leaves” („Les feuilles mortes”), (słowa Jacques Prevert, muzyka Joseph Kosma), w wysublimowanej interpretacji właśnie zmarłego amerykańskiego pisarza i muzyka Roberta Jamesa Wallera.

Grechuta napisał: „Wszystko dla twej miłości, wszystko do jej stóp, wszystkie świata mądrości, najwspanialszy cud. Wszystko, by jej nie stracić, aby mogła żyć, wszystko za te słowa dwa, te słowa: kocham cię...”. Prevert ujął to tak: „Martwe liście opadają za oknem, jesienne liście z czerwieni i złota, widzę twoje usta, letnie pocałunki, i twe dłonie opalone słońcem, dłonie, które tuliłem”. Im większa prostota w wierszu, tym każda ze strof przemawia silniej.

Zacząłem i ja pisać piosenki, lata temu, bo jeszcze w 1977 r. Tworzyłem teksty i wiersze dla duetu Andrzej i Eliza („Czeka na nas świat”), Ewy Bem & Bemibem („Nie bójmy się wiosny!”, „Już ci więcej nie przyrzeknę”), Andrzeja Dąbrowskiego („A ty się, bracie, nie denerwuj”), Barbary Dunin i Zbigniewa Kurtycza („Wracam wciąż do ciebie w świetle białych nocy”), Skaldów („Nasza miłość jak wiatr halny”, „Wino z dzikiej róży”), Krzysztofa Cugowskiego (płyta „Będę dla ciebie, kim tylko chcesz”), Felicjana Andrzejczaka (album „Kolory grzechu” z przebojem „Zapach kobiety”), Lidii Stanisławskiej („Zawsze możesz powrócić”, „Nocne martini”), wreszcie dla Grażyny Łobaszewskiej (album „Prowincja jest piękna”), Bogusława Meca („Stare buty van Gogha”). No i oczywiście dla Ireny Santor, która w 1985 r. jako pierwsza nagrała szlagier „Już nie ma dzikich plaż”.

Powracam do pytania drogiej Alicji: jak powstaje piosenka? Ciekawa jest historia tego ostatniego utworu, który do

eprasa.pl 273b5b4c04

dziś doczekał się setki różnorodnych, interesujących wersji. Od najbardziej soulowej: Krzysztofa Cugowskiego w duecie z Lidią Stanisławską, przez podobny tandem: Irena Santor z Grzegorzem Wilkiem, Paulę, sugestywnie zaśpiewany cover Marka Sośnickiego z nieprawdopodobnie piękną solówką jazzowego saksofonisty śp. Tomasza Szukalskiego, aż po zaśpiewany na ubiegłorocznym festiwalu przez urodziwą Ifi Ude.

Dziesiątki moich wierszy i tekstów leży sobie cichutko w mojej szufladzie. Gdzieś w lewym rogu, czekając na odrobinę zainteresowania, czyjeś pochylenie się, ludzką życzliwość. Niedawno opisałem los twórcy w wierszu „Poeta":

Poeta może być głodny
Za sonet zapłacą mu grosz
Jak przetrwać swą nędzę do jutra?
Tych pytań nigdy nie dość.
Poeta bywa samotny
Próbując opisać świat
Jego kochanką jest wena
Rozpacz ją dobrze zna.

Piosenki powstają dzięki odrobinie szczęścia. Traf sprawił, że pewnej zimy w Zakopanem wiatr halny powalił setki drzew. Usiadłem do starego remingtona i w ciągu kilku godzin pod wpływem klimatu przeboju Roberty Flack „Killing me softly with his song" napisałem dla Skaldów „Nasza miłość jak wiatr halny". Muzykę skomponował Andrzej Zieliński. Urokliwą, oddającą sens wiersza.

Któregoś dnia podróżowałem pociągiem na drugi koniec Polski. Do przedziału weszła konduktorka w czapeczce z daszkiem i maszynką do kasowania biletów. „Co za temat!" – pomyślałem. I w ten sposób już wkrótce Eliza Grochowiecka (Andrzej i Eliza) napisała muzykę, a potem wraz z Andrzejem Rybińskim wykonała ją w 1980 r. na festiwalu w Opolu, zdobywając wyróżnienie jury.

Moja miłość Beata wyjechała w latach 80. na emigrację do Kanady. Spotkałem ją w Toronto w wigilię, w polskiej dzielnicy. To było niezapomniane spotkanie z utraconą miłością, która jak blizna po zawale tkwi po dziś dzień w moim sercu. „December w Mississauga" (muzyka Waldemar Parzyński), mistrzowsko nagrał Krzysztof Cugowski. Lecz nigdy nie pokazał się z tą przepiękną balladą w TV. Powód: nie była to realizacja Budki Suflera, lecz moja.

Gdy pytają mnie na spotkaniach autorskich, jak powstaje piosenka, myślę, że o wiele bardziej interesujące są takie właśnie przeżycia niż jakże w sumie banalne opowieści, czy najpierw powstaje tekst, czy muzyka.

W 1985 r. napisałem dla mojej Mamy wiersz „Już nie ma dzikich plaż". Na pamiątkę lat 60., naszych kilometrowych przechadzek plażami Juraty, Jastarni, Jastrzębiej Góry etc. Gdy człowiek jest brzdącem, widok samotnego akordeonisty z kapeluszem na chodniku zapada w serce. Po latach przerzuciłem to z duszy na papier. Niewiele myśląc, pojechałem do Niemena. Po dwóch tygodniach Czesław oznajmił mi, że napisał walca. Byłem rozczarowany. Wiersz w niczym nie kojarzył mi się z tanecznym walcem. Pobiegłem do Kasi Gaertner. Znów nici. Wreszcie ślepy los poprowadził mnie do Ryszarda Szeremety. Wspólnie napisaliśmy aż cztery utwory. Każdy dzięki szefowi muzycznemu śp. Witoldowi Pogranicznemu stał się przebojem.

> W 1985 r. napisałem dla mojej Mamy wiersz „Już nie ma dzikich plaż". Na pamiątkę lat 60., naszych przechadzek plażami Juraty, Jastarni, Jastrzębiej Góry

Wspomniałem o częstych upokorzeniach w tej profesji. Nie wymienię nazwiska pewnej śpiewającej aktorki, która zamówiła u mnie wiersz do powstałej uprzednio muzyki jej nadwornego kompozytora. Pracowałem nad tym bite trzy tygodnie. Narodził się „Rajski ptak" – ballada o romantycznej miłości, po której pozostały zaledwie dwa kolczyki i ułamane skrzydło ukochanego. „Wiesz, Krzysztof – powiedziała mi przez telefon z rozbrajającym spokojem aktorka – twój wiersz jest znakomity, ale zbyt mało terapeutyczny. Dlatego ja sama napisałam coś do tej muzyki". Oniemiały położyłem słuchawkę. Nikt dotychczas tak mnie nie potraktował.

Najbardziej bolesne dla autora są odrzucenie i obojętność. Jest to stan, który przez lata nosi się na dnie duszy i w sercu. Stan, który wielu doprowadził do głębokiej depresji, a nawet śmierci.

Przed 10 laty napisałem dla Grażyny Łobaszewskiej „Balladę o Lady day". To historia fenomenalnej wokalistki jazowej Billie Holiday. Portret tragicznego, pełnego upokorzeń, smutku i rozczarowań życia, choć Billie odnosiła w latach 30. niesamowite sukcesy na estradach nocnych klubów Harlemu, przemierzając autobusem z koncertu na koncert całą Amerykę. Namalowałem moimi słowami portret artystki. Studium wzlotów i upadku utalentowanej, uzależnionej od alkoholu i kokainy wokalistki, rozmieniającej swój talent na drobne. Długo czekałem na nagranie mojej kompozycji. Wreszcie nadeszła sposobność. Podczas koncertu Grażyny w kazimierskiej synagodze trzy lata temu, zaproszony przez nią na estradę, zapytałem wprost: „Dlaczego nie zaśpiewasz tej ballady? Dlaczego muszę czekać tyle lat? Wszak mi to przyrzekłaś!". Odpowiedź była obezwładniająca: „Bo ja, nie biorę... koki".

Głos Łobaszewskiej krytycy porównują z tembrem Billie Holiday. Jej czarny, „zardzewiały", pełen ekspresji głos – w mojej wyobraźni – idealnie przylega do mojej kompozycji. Myślę, że Łobaszewska potrafiłaby fantastycznie wydobyć z tej ballady całą prawdę o mojej tragicznej bohaterce. Niestety. Nie zrozumiała mojej idei. Ten wiersz to próba oddania mojego hołdu Billie Holiday – autentycznej ikony tamtego wspaniałego pokolenia uzależnionych artystów. Z Ellą Fitzgerald, Stanem Getzem, Nat King Cole'em.

Obchodzę w tym roku 30-lecie mojej twórczości. Maluję nie tylko słowami. Próbuję podzielić się sobą z drugim człowiekiem. Zawsze powtarzam: „Artyści uszlachetniają świat, warto ich posłuchać, warto czasami rzucić im do starego kapelusza grosz. To zaledwie pieniądze".

eprasa.pl 273b5b4c04

M jak milion (gwoździ)



Dr Hanna Karp, medioznawca

Za nami wybory do europarlamentu. W chwili ogłoszenia wyników rozpoczęła się kolejna kampania wyborcza. Zwycięzcom urosły skrzydła, zyskali znaczną przewagę psychiczną na placu boju. Wynik kolejnych wyborów rozstrzygnie się, podobnie jak europarlamentarnych, także w mediach elektronicznych linearnych i nielinearnych. Podstawowa kampania będzie zderzeniem mediów publicznych i społecznościowych z wielkimi stacjami komercyjnych telewizji i rozgłośni radiowych. Choć może trudno to sobie wyobrazić, przyszła retoryka i dyskurs będą jeszcze bardziej brutalne i bezwzględne. Przedsmak tego mieliśmy w ostatnim tygodniu minionej kampanii, gdy za salwę do ataku na stronę rządową posłużył film o pedofilii dawnego dziennikarza śledczego TVN. W tym starciu nie bez znaczenia będą też media mniejsze, internetowe, społeczne i społecznościowe. W kluczowych momentach skupią uwagę odbiorców zagubionych i zmęczonych całą bitwą. I choć nie będą w stanie narzucać wyborczej narracji i agendy zdarzeń, to mogą zdecydować o rozstrzygających 3–5 proc. poparcia, które przechylą szalę zwycięstwa. To wszystko nie byłoby niczym szczególnym, gdyby rynek mediów informacyjnych w Polsce nie był tak dysfunkcyjny i zdominowany przez obcy kapitał.

Gdy reżim Wojciecha Jaruzelskiego w latach 80. zamroził na dekadę naszą gospodarkę, kraje zachodnie budowały własne rynki medialne. Obok mediów publicznych rozwijały komercyjne redakcje telewizyjno-radiowe. Odpowiednio wcześniej, zanim runął mur berliński i nastąpiło zjednoczenie Niemiec, przygotowywały długofalowe strategie na lata 90., opanowania i przejmowania rynków, także medialnych, Europy Środowo-Wschodniej.

Kiedy Polacy, wegetując podczas procesów transformacyjnych, wydobywali się spod sowieckiego buta, zachodnie koncerny medialne wkroczyły do Polski, by poczuć się jak u siebie. Budowały tu własne redakcje, drukarnie, otwierały szkoły dziennikarskie i łowiły dziennikarzy. A szukano ich, dosłownie, na ulicy. Pamiętam, jak w tamtym czasie zaczepił mnie pewien redaktor na schodach Alcatraz – akademika Politechniki Warszawskiej, tak ten budynek wtedy nazywaliśmy. Szukał ludzi do nowej redakcji, proponował pisanie o ekonomii. Jednak prawdziwe łowienie głów odbywało się wtedy podczas wyjazdów na stypendia naukowe do Niemiec. To zresztą jest inny, oddzielny temat...

Gdy rząd Hanny Suchockiej, zdradliwa mieszanka Unii Wolności i Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, w grudniu 1992 r. przegłosował obowiązującą do dziś ustawę medialną, rozpoczął się dryf w jednym kierunku. Nie przemian ani transformacji, ale patologii i deformacji. Od 1993 r. do chwili obecnej polscy dziennikarze odbyli długą drogę. Wielu z nich wypadło z zawodu, a sama profesja uległa radykalnej pauperyzacji.

Nowa ustawa medialna zagwarantowała zewnętrznym graczom na rynku mediów drukowanych i elektronicznych drogę do monopolu. Otworzyła wrota do budowy imperiów medialnych. A wszystko na bazie ludzi dawnego systemu, który jak zapewniano, odchodził. Nowe prawo medialne zabezpieczyło na lata ich status quo na rynku mediów. A transformacja medialna od początku była głównie pomyślana jako osłona „nowej" władzy. Zrobiono dużo, by nie zmieniło się wiele.

Po wielu „rewolucyjnych" woltach komercyjne informacyjne media elektroniczne, ale też drukowane, odgrywają

eprasa.pl 273b5b4c04

rolę tarana, trampoliny, barykady lub tarczy – zależnie od potrzeb środowisk zanurzonych w świecie postkomunistycznego biznesu, polityki czy gospodarki. Dziś ich poszczególni przedstawiciele brylują w studiach telewizyjnych. A tam dziennikarzami są często absolwenci szkół teatralnych, z nienaganną dykcją i prezencją. Niemal wszyscy w szybkim tempie zyskują status medialnych gwiazd i celebrytów. Emitowane zaś materiały, atrakcyjnie i nowocześnie przygotowane, przyciągają uwagę widza. Nie ma tu śladów nieudolnej, z dala wyczuwalnej propagandy. Audycje wypełnia przekaz nieustannie wyrażanej troski o prawdę, prawo, konstytucję, praworządność, organizacje pozarządowe i dobro społeczeństwa. Jeśli jednak poszczególne serwisy i programy informacyjne zaczęlibyśmy dokładniej analizować, już pobieżny ogląd przyniósłby zaskakujące wnioski.

Wykonując jakiś czas temu taką analizę, spostrzegłam, że niemal każda z prezentowanych informacji podlega ramowaniu, które sprawnie łączy informacje z zamieszczonym komentarzem. Jest to jeden z najbardziej niedopuszczalnych błędów sztuki informacyjnej. Irytuje też częsty zabieg opatrywania – zwykle w filmach dokumentalnych – wypowiedzi postaci rządu złowrogą albo jak z kreskówki ścieżką dźwiękową. Podobna metoda była stosowana w kronikach filmowych w czasach PRL. Co jeszcze uderza? W materiałach informacyjnych często przekracza się granice publicystyki, zaznacza się też wysoki stopień perswazyjności, nierzadko, w kluczowych chwilach, połączony z nawoływaniem do określonych działań czy zachowań abominacyjnych.

W sprawnie zmontowanych serwisach widz dostaje w niewielkim tylko stopniu treści, które można określić jako asertoryczne, a więc mające charakter jednoznacznych stwierdzeń lub zaprzeczeń. Dominuje raczej ich przeciwieństwo, a więc przekazy wypełnia retoryka wskazująca na domniemania, podejrzenia czy uogólnienia. Zaskakująco mało jest informacji mających stuprocentową wartość asertoryczną, a więc tak zwanej czystej, twardej informacji. W wielu programach informacyjnych przeważają funkcje estetyczne, co jest zaletą, ale jedynie dla publicystyki.

Jeśli chodzi o język, analizując materiał, zauważyłam, że widz często spotka się z rodzajem nadmiernego zagęszczenia w sposób prowokacyjny, nadmiernie emocjonalny, także w warstwie ikonicznej (obrazowej). W poszczególnych przekazach zbyt często występują liczne redundancje, a więc zbędne elementy z punktu widzenia informacyjnego, zarówno w warstwie werbalnej budowanej narracji, jak i warstwie poetyki obrazu. Bardzo niepokojący i niebezpieczny jest pozorny obiektywizm, budowany tonem czy modulacją głosu narratora – tu procentuje edukacja teatralna prezenterów. Maniera ta wprowadza widza w błąd, a jednocześnie cechuje się silną perswazyjnością. Emotywność wielu materiałów informacyjnych wskazuje na jedynie pozorny dziennikarski dystans. Zauważalne deficyty dziennikarskiej funkcjonalnej szczegółowości często przykrywają materiały reporterskie, które charakteryzuje rozwlekłość i zbędne popisy retoryczne narratora.

W efekcie funkcja estetyczna dominuje nad informacyjną. Widz – tak osaczony – łatwo ulega emocjom, odczuciom i konkluzjom prezentowanym w materiałach. Jest jednak przekonany, że to są tylko i wyłącznie jego własne wnioski i konstatacje. A to jest głównym celem nowoczesnej propagandy. Ponadto w sposób niepokojący zaciera się autor materiałów, biorący na siebie odpowiedzialność dziennikarską. Jego zawodowa rzetelność i twarz winny dawać gwarancję prawdziwości i odpowiedzialności prezentowanego materiału. Tymczasem redaktor w studiu sprawia wrażenie kogoś udającego lub wręcz grającego rolę dziennikarza. Razi przy tym gwiazdorska maniera artykulacji wypowiedzi i zachowania przed kamerą.

Komercyjne telewizje informacyjne charakteryzuje znaczący deficyt informacji z kraju o życiu obywateli i mieszkańców. A te prezentowane przypominają realizacje lifestyle'owe, zrealizowane w retoryce tabloidu, skupione na miałkiej sensacji. Zaznacza się także uboga agenda regularnych informacyjnych materiałów i realizacji z wydarzeń rozgrywających się u naszych najbliższych sąsiadów. Cała agenda informacyjna, mało zróżnicowana i zamknięta, toczy się niemal wyłącznie w świecie dwóch głównych motorów życia politycznego: partii rządzącej i pragnącej ją odsunąć od władzy opozycji.

> W materiałach informacyjnych często przekracza się granice publicystyki, zaznacza się też wysoki stopień perswazyjności, nierzadko, w kluczowych chwilach, połączony z nawoływaniem do określonych działań czy zachowań abominacyjnych

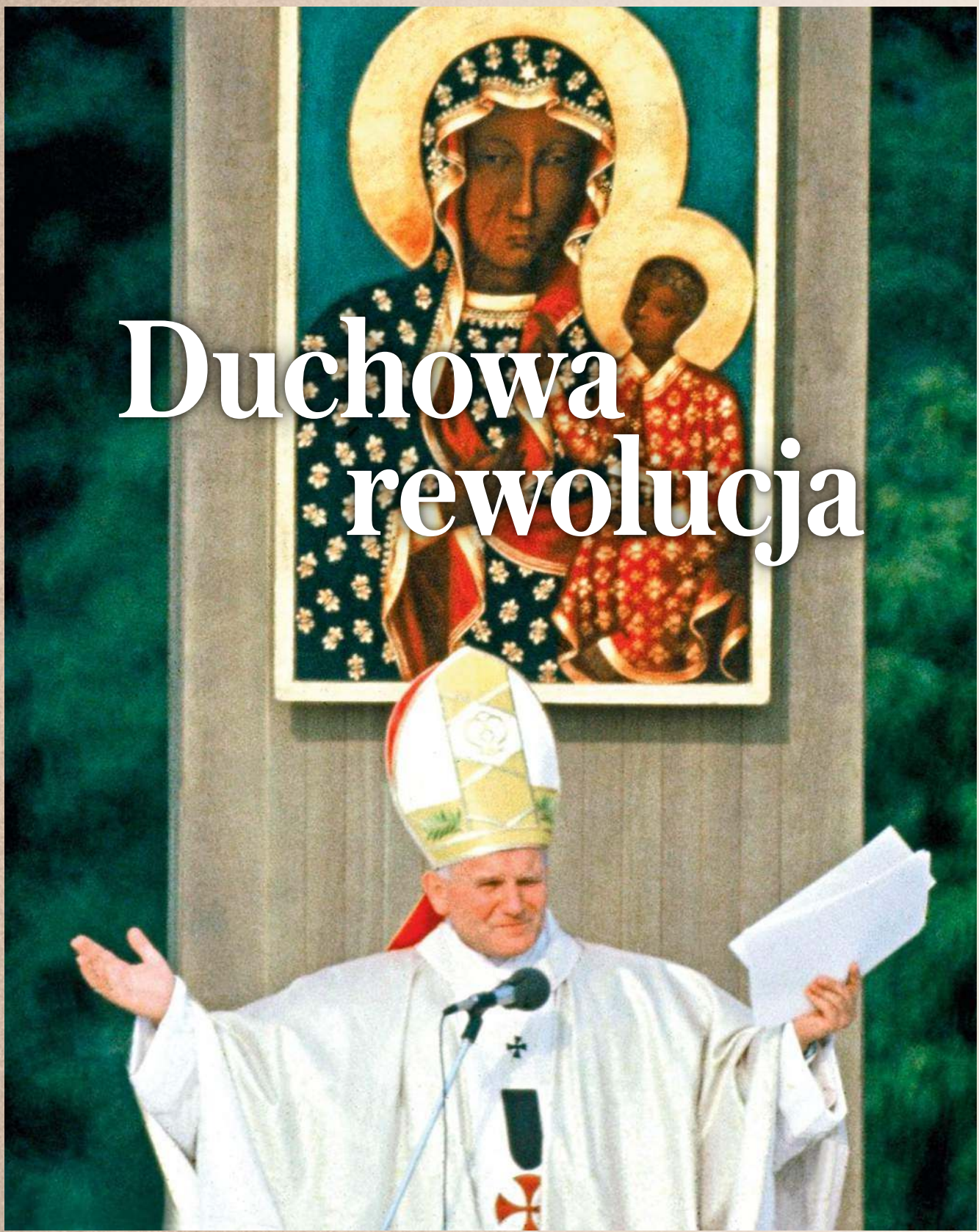
Jaki obraz wyłania się z tej narracji? Nietrudno zgadnąć. Możemy mieć poczucie kraju pogrążonego w nieustającym politycznym konflikcie. Zanurzonego w chaosie, na skraju załamania społecznego, w którym obywatelom dzieje się wielka krzywda. Gdzie jednostce odbierane są jej podstawowe prawa i wolności. Wystarczy choćby posłuchać zwierzeń aktorki Krystyny Jandy, czerpiącej swoją wiedzę z takiej stacji podczas bezsennych nocy: „Dla mnie to jest tak traumatyczne przeżycie te ostatnie dwa lata, to jest tak ciężkie doświadczenie. Ja zapadłam na zdrowiu i na umyśle".

Nowoczesną propagandę, niewyczuwalną dla niespecjalisty, budują audycje informacyjne, publicystyczne, a nawet rozrywkowo-poradnikowe przez całą dobę. W paśmie porannym, południowym i wieczorno-nocnym, w myśl słów Macieja Szczepańskiego, szefa Radiokomitetu z czasów gierkowskiej propagandy: „Milion gwoździ w milion desek".

Na szczęście niedługo wakacje i urlopy. Ale po wakacjach wszystko zacznie się od nowa. Mediatyzacja polityki także w naszym kraju weszła w fazę ostateczną, trudno wręcz wyobrazić sobie, co będzie za kolejnym zakrętem.

eprasa.pl 273b5b4c04

Duchowa rewolucja



Fot. SETBOUN/SIPA/EAST NEWS

eprasa.pl 273b5b4c04

Była to rewolucja ducha, która przełamała żelazną kurtynę – tak oceniano pierwszą pielgrzymkę Jana Pawła II do ojczyzny w 1979 r. I wciąż jest ona mocnym punktem odniesienia, chociaż mija od niej już 40 lat



MILENA KINDZIUK

Tak wielkiego poruszenia i tak wielkiego święta chyba nigdy wcześniej w naszych dziejach nie było: oto nowo wybrany papież, pierwszy w historii Polak, przybył z pielgrzymką do ojczyzny. Gdy tylko wysiadł z samolotu włoskich linii lotniczych Alitalia na warszawskim lotnisku Okęcie, z nieskrywanym wzruszeniem mówił do swych rodaków: „Pozdrawiam was w imię Chrystusa, tak jak nauczyłem się pozdrawiać ludzi tutaj, w Polsce..., w tej mojej ziemi ojczystej, w której stale tkwię głęboko wrośnięty korzeniami mojego życia, mojego serca, mojego powołania..., w Polsce, w tym kraju, w którym – jak napisał Norwid – »kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba«". Wtedy, czterdzieści lat temu, w głębokim PRL, po tych słowach jakby zatrzęsła się ziemia. A data 2 czerwca 1979 r. na zawsze już przeszła do historii – Kościoła, Polski i świata.

Mało kto pamięta, że pielgrzymkę Jana Pawła II poprzedziło ogólnonarodowe czuwanie, które w ramach Kongresu Różańcowego w maju 1979 r. zorganizował na Jasnej Górze świecki apostoł różańca, pochodzący z Wileńszczyzny Anatol Kaszczuk. Intencja brzmiała: „Aby otworzyć bramy komunistycznej Polski dla papieża". Pamięć o tym czuwaniu pozostała w... Serbii. W jego rocznicę w tym roku wspólnota modlitewna z Suboticy na północy tego kraju zorganizowała nieprzerwane czuwanie w kaplicy Czarnej Madonny w tamtejszym klasztorze franciszkanów w intencji „odnowy życia w mieście".

SPRAWA PRZYJAZDU – W MINUTĘ PO WYBORZE

Temat wizyty papieża w Polsce pojawił się niemal natychmiast po jego wyborze w 1978 r. Zachowała się wypowiedź kierownika Urzędu ds. Wyznań Kazimierza Kąkola dla dziennikarzy Polskiej Agencji Prasowej, którą przytacza w swej najnowszej książce pt. „Episkopat Polski wobec stosunków państwo–Kościół" dr Rafał Łatka z Biura Badań Historycznych IPN: „Sprawa przyjazdu papieża do Polski zaczęła się już w minutę po wyborze Jana Pawła II. Następnego dnia, to znaczy 17 października, o godz. 14 musiałem odpowiadać na pytania, czy papież zostanie przyjęty".

Rozmowy z władzami prowadził na ten temat przede wszystkim prymas Stefan Wyszyński, niekiedy bp Bronisław Dąbrowski, sekretarz episkopatu. W tamtych warunkach politycznych było to jednak trudne do przeprowadzenia. Zarówno luminarze PRL, jak i komuniści w Związku Radzieckim mieli poważne opory, bali się wpływu papieża. Leonid Breżniew, lider komunistycznej partii ZSRR, wprost przestrzegał Edwarda Gierka, I sekretarza KC PZPR: „Radzę wam, nie przyjmujcie go, bo będziecie mieli z tego wielkie kłopoty". Kiedy Gierek wyjaśniał, że polski rząd nie może nie przyjąć polskiego papieża, przywódca radziecki miał stwierdzić, że Władysław Gomułka był lepszym komunistą od niego, ponieważ w 1966 r. nie przyjął papieża Pawła VI na uroczystości millenijne w Polsce i „nic się nie stało".

Naciski naszego wschodniego sąsiada nie przyniosły jednak efektów. Władze PRL rzeczywiście nie bardzo mogły odmówić papieżowi wizyty w jego własnym kraju. Tym bardziej że pogłębiał się kryzys gospodarczy, niezadowolenie społeczne rosło i nie na rękę był teraz ewentualny konflikt z Kościołem, z którym większość Polaków się przecież utożsamiała. Władze nie miały więc innego wyjścia, niż wyrazić zgodę na pielgrzymkę. Usiłowały natomiast grać na oddalenie jej terminu i forsowały rok 1982. Kiedy jednak to im się nie powiodło i ustalono rok 1979, mnożyły dalsze przeszkody i nie zgodziły się, aby – jak chcieli biskupi – Jan Paweł II przybył do Polski 8 maja, w rocznicę męczeńskiej śmierci św. Stanisława (który popadł w konflikt z władcą świeckim, stąd dopatrywano się tu konotacji politycznych). Burzliwe dyskusje toczyły się też wokół miejsc, które miał odwiedzić papież. Strona państwowa nie zaakceptowała wszystkich propozycji kościelnych, ograniczała też karty wstępu na miejsca celebry. Pod pozorem troski o bezpieczeństwo papieża, władze proponowały też, by przemieszczał się on helikopterem, a nie samochodem. Chciały w ten sposób uniknąć wiwatujących po drodze tłumów. Ograniczano też bezpośrednie transmisje radiowe i telewizyjne z uroczystości z udziałem papieża, co w dobie bez internetu i mediów społecznościowych stanowiło skuteczne odcięcie Polaków od papieskiego przekazu. Chociaż trzeba podkreślić, że dzięki staraniom prymasa Wyszyńskiego z głównych miejsc celebry te transmisje się odbywały. Zręcznie tylko nimi manipulowano, pokazując np. ciasne kadry z jedną zakonnicą zamiast tłumów. Ale i tak była to duża zmiana – w reżimowej telewizji w państwie totalitarnym przemówił papież!

Należy też wspomnieć o akcji zabezpieczenia operacyjnego „Lato'79", w ramach której podjęto działania wzmożonej inwigilacji społeczeństwa (zakładano podsłuchy telefoniczne, kontrolowano korespondencję, podejmowano inne działania „operacyjno-rozpoznawcze").

Ostatecznie papieża przyjęli w Polsce Edward Gierek i przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński. To oni witali Jana Pawła II na Okęciu. Co więcej, doszło do historycznego spotkania głowy Kościoła katolickiego z władzami PRL w Belwederze.

SAM PAPIEŻ SIĘ NIE SPODZIEWAŁ

Pierwsza pielgrzymka trwała dziewięć dni. Obejmowała Warszawę, Gniezno, Częstochowę, Kalwarię Zebrzydowską, Wadowice, Oświęcim i Kraków. Trudno jednak stwierdzić,

eprasa.pl 273b5b4c04

które miejsce papieskich odwiedzin było najważniejsze. Każde miało swoją wymowę, wszędzie Jan Paweł II kierował do nas istotną naukę.

Nie sposób jednak zrozumieć całego przesłania bez odniesienia do słów, jakie padły w homilii na placu Zwycięstwa w Warszawie: „Człowiek nie może sam siebie do końca zrozumieć bez Chrystusa. Nie może zrozumieć ani kim jest, ani jaka jest jego właściwa godność, ani jakie jest jego powołanie i ostateczne przeznaczenie. I dlatego Chrystusa nie można wyłączać z dziejów człowieka w jakimkolwiek miejscu ziemi. Nie można też bez Chrystusa zrozumieć dziejów Polski". Kontekst był oczywisty: to wyzwanie rzucone ateistycznej, państwowej ideologii pragnącej wyeliminować religię z życia ludzkiego. Jan Paweł II wyraźnie wskazywał, gdzie można odnaleźć sens. Nieprzypadkowo zresztą po tych słowach ludzie przerwali homilię oklaskami, po czym spontanicznie zaczęli śpiewać znaną pieśń religijną „My chcemy Boga...". Papież wspominał również w tym kontekście powstanie warszawskie, podkreślał, że bez odniesienia do wiary „nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, stolicy Polski, która w roku 1944 zdecydowała się na nierówną walkę z najeźdźcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus Zbawiciel ze swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu...". Dawał nam tym samym lekcję patriotyzmu, który stawiał obok wiary. Po latach ujmie to w swej książce „Pamięć i tożsamość", pisząc, że patriotyzm ma wartość moralną i że wchodzi w zakres czwartego przykazania: „Tak jak czwarte przykazanie nakazuje czcić ojca i matkę, tak to samo przykazanie wymaga troski o Ojczyznę".

> Pod pozorem troski o bezpieczeństwo papieża władze proponowały, by przemieszczał się on helikopterem, a nie samochodem. W ten sposób chciały uniknąć wiwatujących po drodze tłumów

Z perspektywy 40 lat historii, z uwzględnieniem przemian, jakie dokonały się w Polsce i na świecie, wyraźnie widać też, jak wielką wagę miały słynne już słowa Ojca Świętego: „Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!". Nieprzypadkowo słowa te wzbudzały nieopisany wręcz entuzjazm tłumów. Nieprzypadkowo też przywołał je później w Polsce papież w 1999 r., gdy tak wiele zmian się dokonało. Jak zresztą twierdzi kard. Stanisław Dziwisz, sam Ojciec Święty nie spodziewał się, że przemiany i „odnowa ziemi" nastąpią tak szybko.

MUSICIE BYĆ MOCNI!

Ważne przesłanie Jan Paweł II skierował z Gniezna, gdzie nawiązując do jubileuszu tysiąclecia Chrztu Polski, przypominał o konieczności przezwyciężania podziałów między narodami: „Czyż nie było wolą Chrystusa, aby ten papież – Polak, papież Słowianin, właśnie teraz odsłonił duchową jedność chrześcijańskiej Europy, na którą składają się dwie wielkie tradycje: Zachodu i Wschodu?". Papież przywoływał chrześcijańskie korzenie narodów Europy Środkowej i Wschodniej, Polakom zaś przypominał „Bogurodzicę" jako „polski symbol, polskie credo", „katechezę" oraz „element chrześcijańskiego wychowania". Nic więc dziwnego, że to wystąpienie wywołało oburzenie władz. Franciszek Kąkol osobiście interweniował nawet u arcybiskupa Franciszka Macharskiego, by powstrzymał papieża przed dalszymi tego typu wystąpieniami. Jan Paweł II jednak był nieprzejednany i nie odstąpił od treści swoich przemówień. Odwoływał się do przeszłości, odkłamując historię i umacniając poczucie tożsamości narodowej i kulturowej Polaków, a jedno z następnych wystąpień, na Jasnej Górze, rozpoczął cytatem z narodowej epopei Adama Mickiewicza „Pan Tadeusz": „Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy". Ponownie więc mocno zaakcentował narodową tradycję, w którą wpisuje się stolica duchowa Polski.

Nieocenione znaczenie miała wizyta papieża na terenie byłego obozu koncentracyjnego Auschwitz. Ojciec Święty w transmitowanym na cały świat przemówieniu przypomniał o prawach człowieka, jego godności: „Czyż ktoś na świecie może się jeszcze dziwić, że papież, który tu, na tej ziemi urodził się i wychował, papież, który przyszedł na Stolicę Piotrową z Krakowa, z tej archidiecezji, na terenie której znajduje się obóz oświęcimski, że ten papież pierwszą encyklikę swego pontyfikatu zaczął od słów Redemptor hominis – i że poświęcił ją w całości sprawie człowieka, godności człowieka?". Przestrzegał przed „ubraniem się w inny mundur", „uzbrojeniem w aparat przemocy, w środki zniszczenia", przed „narzucaniem ideologii, w której prawa człowieka są podporządkowane wymogom systemu". Odniesienia do aktualnej sytuacji były oczywiste. To pokazuje, jak konsekwentnie papież realizował swój plan ukazywania prawdy historycznej i przestrzegania przed konsekwencjami fałszywej propagandy.

Na krakowskich Błoniach wreszcie, z dramatyzmem w głosie, jak aktor na scenie, Jan Paweł II wołał: „Czy można odrzucić Chrystusa i wszystko to, co on wniósł w dzieje człowieka?". I zarazem odpowiadał: „Oczywiście, że można. Człowiek jest wolny. Człowiek może powiedzieć Bogu: nie. Ale pytanie zasadnicze: czy wolno? W imię czego wolno?". Przywoływał chrzest Polski i w symbolicznym geście bierzmował cały naród, umacniał go w wierze: „Pragnę wam dziś przekazać tego Ducha, ogarniając sercem z najgłębszą pokorą to wielkie bierzmowanie dziejów, które przeżywacie". Wlewał w serca nadzieję, wypowiadając jakże pamiętne słowa: „Musicie być mocni, drodzy bracia i siostry! Musicie być mocni tą mocą, którą daje wiara! Musicie być mocni mocą wiary! Musicie być wierni! Dziś tej mocy bardziej wam potrzeba niż w jakiejkolwiek epoce dziejów...".

Trudno o bardziej wymowne słowa.

eprasa.pl 273b5b4c04

GÓRALU, CZY CI NIE ŻAL?

W czasie pielgrzymki Jan Paweł II wykazał niesamowite poczucie humoru, do którego nas zresztą później przyzwyczaił i które na nim wręcz „wymuszaliśmy" podczas kolejnych odwiedzin Polski. Najbardziej chyba pamiętny humorystyczny dialog z 1979 r. nastąpił w jego ukochanym Krakowie, gdy stał w oknie przy Franciszkańskiej i pytał rozentuzjazmowaną i rozkrzyczaną młodzież: „Kto tak hałasuje? Nie słyszałem takiego hałasu od Meksyku!". Potem, sam młody jeszcze wtedy, pełen werwy, siły i energii stanął na parapecie, wziął do ręki mikrofon i zaczął przemawiać donośnym głosem: „Gdy byłem arcybiskupem, nie musiałem wskakiwać na parapet, a nawet kiedy się wychylałem z okna, nikt mnie nie łapał za sutannę. Trudno być papieżem w Rzymie. Ale w Krakowie byłoby jeszcze gorzej, bo musiałbym cały czas stać przy tym oknie i nie miałbym czasu ani spać, ani myśleć!". Tłum szalał z radości. A Ojciec Święty ciągnął dalej swą opowieść: „Gdy mi powiedziano, że zostanę biskupem, zapytałem prymasa, czy będę mógł chodzić w Tatry. Powiedział, że tak. Ale teraz, kiedy jestem biskupem Rzymu, może z tym być trudniej". Gdy młodzież zaczęła skandować: „Zostań z nami!", papież odparł: „Teraz jesteście mądrzy, ale jest już za późno! Gdzie byliście 16 października? Nie było was, żeby mnie bronić. Jak to Polacy, mądrzy po szkodzie!".

Podobny entuzjazm widać było później w Wadowicach – rodzinnym mieście Ojca Świętego. W Nowym Targu zaś Ojciec Święty opowiadał nawet góralskie dowcipy! Uśmiechał się serdecznie na widok wzniesionych w górę kapeluszy z piórami i mówił: „Nie widzę Tatr, bo się zawstydziły i zasłoniły. Jest tu ze mną drugi góral, kardynał Król. Gdy tak do tych Tatr będziemy przemawiać i perswadować im, to się odsłonią. A jak się nie odsłonią, to same stracą". Górale wiwatowali. A papież się śmiał. Napawał się widokiem ukochanych gór. Wyciągał ręce. Pozdrawiał. W jego oczach pojawiły się łzy. Później pobłogosławił zebranych. Lotem błyskawicy rozległ się śpiew: „Góralu, czy ci nie żal odchodzić od stron ojczystych...?".

To wszystko sprawiało, że papieska pielgrzymka stawała się wielkim, narodowym triumfem.

PROSZĘ, ABYŚCIE SIĘ ZA MNIE MODLILI

Nie zabrakło też nuty sentymentalnej. Jedne z najbardziej przejmujących słów padły w Kalwarii Zebrzydowskiej, do której jako dziecko papież przyjeżdżał z ojcem i bratem Edmundem. Wspominał: „Nie wiem po prostu, jak dziękować Bożej Opatrzności za to, że dane mi jest jeszcze raz nawiedzić to miejsce. Kalwaria Zebrzydowska: sanktuarium Matki Bożej – i dróżki. Nawiedzałem je wiele razy, począwszy od lat moich chłopięcych i młodzieńczych. Nawiedzałem je jako kapłan. Szczególnie często nawiedzałem sanktuarium kalwaryjskie jako arcybiskup krakowski i kardynał". To z tego miejsca Jan Paweł II skierował do nas w 1979 r. prośbę: „Proszę, abyście się za mnie tu modlili, za życia mojego i po śmierci". Wtedy jednak, gdy był jeszcze młody, te słowa umknęły nam gdzieś niepostrzeżenie. Zupełnie inaczej zabrzmiały, gdy stary i mocno schorowany Jan Paweł II powtórzył je w tym samym miejscu w 2002 r., podczas ostatniej pielgrzymki do Polski. Trudno było ich słuchać. I papież, i my, doskonale wiedzieliśmy, że jest to już jego pożegnanie z ojczyzną. Słowa: „Módlcie się za mnie za życia mojego i po śmierci", zaczęły inaczej ważyć.

Jakie znaczenie miała ta pielgrzymka?

Słusznie napisał George Weigel, biograf Jana Pawła II, że było to „dziewięć dni, które zmieniły świat" oraz że „rozniecona została rewolucja ducha", która przygotowała przemiany społeczne i polityczne. Bez wizyty Jana Pawła II w Polsce w 1979 r. wszystko, co wydarzyło się później i co doprowadziło do wolnej Polski oraz rozpadu bloku państw komunistycznych, byłoby bowiem niemożliwe.

> Bez wizyty Jana Pawła II w Polsce w 1979 r. wszystko, co wydarzyło się później i co doprowadziło do wolnej Polski oraz rozpadu bloku państw komunistycznych, byłoby niemożliwe

Ojciec Święty mówił do nas i za nas. Wyrażał publicznie to, co pragnęliśmy usłyszeć, co czuliśmy, a czego sami nie mogliśmy otwarcie wyrazić. Policzyliśmy się. Poczuliśmy wspólnotę. Emanowała z nas wewnętrzna siła, radość. I wiara. Bo pielgrzymka ta, tak jak pragnął prymas Stefan Wyszyński, przede wszystkim miała charakter religijny.

Bez wątpienia jednak, wywarła skutki również polityczne. Jak mówił do biskupów prymas Wyszyński: „Jan Paweł II przełamał żelazną kurtynę, a tym samym upadł dogmat o przymusowej ateizacji w krajach jednoznacznie komunistycznych" – czytamy w książce Rafała Łatki „Episkopat Polski wobec stosunków państwo–Kościół". Prymas Tysiąclecia dodawał, iż „państwa te powinny przemyśleć swój stosunek do religii. Dostrzegł też zaniepokojenie Związku Sowieckiego wynikające z ożywienia nadziei na wolność religijną na Litwie, Łotwie, w Estonii, na Białorusi czy Ukrainie. Podkreślił, że papież stał się niebezpieczny dla całego bloku wschodniego".

Kiedy papież opuszczał Polskę, moralny i duchowy triumf Kościoła był oczywisty. Pielgrzymka wzmocniła jego pozycję i także prestiż społeczny. Wydawało się, że władze PRL zaczną się z Kościołem i z narodem bardziej liczyć. Ale szybko się okazało, że podjęły kolejną ofensywę. Wkrótce wprowadzono stan wojenny, a trzy lata później zamordowano ks. Jerzego Popiełuszkę. Nie zmienia to jednak faktu, że była to najważniejsza, przełomowa wizyta papieska w Polsce.

Milena Kindziuk jest autorką biografii Emilii Wojtyłowej pt. „Matka Papieża", badaczką życia Karola Wojtyły seniora, adiunktem w Instytucie Edukacji Medialnej i Dziennikarstwa UKSW w Warszawie

eprasa.pl 273b5b4c04

Władze PRL były przerażone

Z kardynałem Stanisławem Dziwiszem, przez 39 lat sekretarzem św. Jana Pawła II, rozmawia Milena Kindziuk



Fot. Archiwum Mileny Kindziuk

Księże kardynale, na jaki temat toczyła się rozmowa na pokładzie samolotu 2 czerwca 1979 r., gdy papieski samolot po raz pierwszy lądował na polskiej ziemi?

Kard. Stanisław Dziwisz: Przed odlotem na lotnisku Fiumicino Ojciec Święty mówił, że ta podróż odbywa się jakby między jego dwiema ojczyznami: tą nową, włoską, i polską, oraz że służy do złączenia ich w jego sercu. Kiedy jednak papieski samolot zbliżał się do Polski i gdy przy lądowaniu widzieliśmy już przez okna Wisłę, panowała cisza. Myślałem wtedy o tym, jak Polacy przyjmą papieża, czy wyjdą na spotkanie z nim, bo przecież był to okres głębokiej komuny.

Gdy jednak samolot wylądował na warszawskim Okęciu, odpowiedź sama nadeszła.

Wtedy wszystko ruszyło, jakby poruszyła się cała polska ziemia! Ojciec Święty, młody, żwawym krokiem, z rękami uniesionymi w górę, radosny, energiczny, niemal wybiegał z samolotu. A kiedy tylko zszedł ze schodków, ukląkł na dwa kolana i ucałował ziemię ojczystą.

Zaraz potem prymas Wyszyński zawołał mocnym głosem: „Gaude Mater Polonia!”.

Papież też przemawiał mocnym głosem, choć z ogromnym wzruszeniem. Już od pierwszych słów, kiedy wspomniał, że jako syn swego narodu „w swojej ojczystej ziemi stale tkwi”.

Dodawał, że jest w tę ziemię „głęboko wrośnięty korzeniami swojego życia, swojego serca, swojego powołania”. Jakże pamiętne to słowa. Papież je czytał z kartki, ale były tak „jego”, że nikt poza nim chyba nie mógł ich napisać. Jak to faktycznie wyglądało?

Ojciec Święty wszystkie teksty przygotowywał osobiście. Poważne, duże przemówienia lub homilie pisał – oczywiście ręcznie – szybko. Nie potrzebował więcej niż półtorej godziny. Na krótsze – godzinę. Wyznaczał sobie na to czas w ciągu dnia, po czym siadał przy biurku i pisał. Tak to wyglądało. I nie korzystał przy tym z żadnych pomocy. Przedtem czytał, rozważał, robił syntezę. Dużo też przy tym się modlił. Natomiast gdy pisał, to zawsze z pamięci. Później dawał gotowy tekst do przeczytania różnym ludziom, otwarty był na sugestie, lubił dyskutować. Prosił też zwykle, by ktoś sprawdził cytaty, gdyż często przywoływał różne utwory literackie i niekiedy nie był pewien, czy wszystko jest poprawnie zapisane.

Było poprawnie zapisane?

Zazwyczaj tak. Sporą część klasyki literackiej, niekiedy całe utwory, znał na pamięć. Był polonistą, do tego aktorem, wiele sztuk sam wystawiał w młodości chociażby w Teatrze Rapsodycznym. Należał do ludzi kultury i tworzył polską kulturę. Ubogacił także język polski. My sobie często nie zdajemy z tego sprawy, ale posługujemy się sformułowaniami, które on wprowadził, a które żyją teraz swoim życiem.

Wróćmy do roku 1979 i do kazań z pielgrzymki.

W czasie pierwszej pielgrzymki do ojczyzny zdarzały się i takie sytuacje, że Ojciec Święty zostawiał tekst pisany i przemawiał od siebie, z pamięci. Tak uczynił np. na krakowskiej Skałce podczas spotkania z młodzieżą.

„Jeszcze jako tako po polsku umiem mówić, nie tylko czytać” – oznajmił wtedy z uśmiechem czekającym na niego tłumom.

Doszedł do wniosku, że na ten moment potrzebne jest inne przemówienie niż to, które przygotował w Watykanie, i je po prostu zaimprowizował. Nie miało rzeczywiście nic wspólnego z wcześniej przygotowanym, zresztą bardzo dobrym tekstem. Było jednak znakomite! Spotkanie przedłużyło się wtedy o dwie godziny, papież opuścił Skałkę już po 23.

eprasa.pl 273b5b4c04

W czasie pierwszej pielgrzymki to była nowość, później papież nas do tego przyzwyczaił. Księże kardynale, który punkt wizyty św. Jana Pawła II w 1979 r. należy uznać za najważniejszy?

Ton całej pielgrzymce nadała bez wątpienia Warszawa. Charakter profetyczny miały słowa wypowiedziane na placu Zwycięstwa, gdzie 2 czerwca 1979 r., w przeddzień Zesłania Ducha Świętego, papież wołał: „Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!". Nikt wtedy nie przypuszczał, chyba także sam papież, że w tym momencie rozpoczynał się nowy etap dziejów. W moim przekonaniu w Warszawie ważne było także spotkanie ze studentami przed kościołem akademickim św. Anny przy Krakowskim Przedmieściu. Doskonale je pamiętam: rozentuzjazmowana, wiwatująca młodzież, która chłonęła każde słowo Ojca Świętego, a on wzywał do przyjęcia wysokiej miary swojego życia i przywoływał postać swego ojca, który podarował mu w dzieciństwie książeczkę z modlitwą do Ducha Świętego i polecił ją odmawiać. Trudno chyba o bardziej wymowną lekcję. Zresztą każde miejsce, które odwiedzał Ojciec Święty przez te dziewięć dni pielgrzymki, miało swój wyraz i znaczenie. Na pewno ważne było Gniezno, wielkie znaczenie miała też wizyta papieża na Jasnej Górze. Niestety, władze PRL nie dopuściły papieża na Śląsk, stąd zapraszał on mieszkańców Wrocławia i Katowic na spotkanie do Częstochowy. Nie wyrażono zgody również na to, by odwiedził Lublin, prawdopodobnie z uwagi na bliskość granicy.

Papież odwiedził też Kraków, o którym mówił „ukochane moje miasto".

Słowa, które wtedy wypowiedział w „swoim" mieście, były dla całego narodu umocnieniem wiary, kwintesencją przesłania wypływającego ze wszystkich przemówień i homilii, które wygłosił on podczas pierwszej pielgrzymki do ojczyzny. W Krakowie przypominał postać św. Stanisława, w 900. rocznicę jego męczeńskiej śmierci. Uważał go „za patrona wiary w życiu Polaków" i „za patrona ładu chrześcijańskiego".

To w Krakowie podczas wielkiej celebry na Błoniach padły słynne słowa o tym, że „człowiek jest wolny".

Wtedy Jan Paweł II, jak sam mówił, „włożył ręce na wszystkich swoich Rodaków", jakby ich bierzmował. Wtedy też wypowiedział słynne już słowa: „Ducha nie gaście! Musicie być mocni... Dziś tej mocy bardziej wam potrzeba niż w jakiejkolwiek epoce dziejów". I prosił, by „całe to duchowe dziedzictwo, któremu na imię Polska" Polacy raz jeszcze przyjęli i od niego nie odstąpili.

Kontekst tych słów był wtedy jednoznaczny. Nic dziwnego, że władze państwowe tak bardzo się bały papieża.

Władze PRL były tym wszystkim przerażone i za wszelką cenę chciały zatamować tę pielgrzymkę. Wywierały nacisk na stronę kościelną, byśmy powstrzymali Ojca Świętego przed dalszymi wystąpieniami, w których nawiązuje do wolności, godności człowieka, prawdy w życiu publicznym, do ochrony życia ludzkiego od chwili poczęcia. Komuniści mówili do biskupów: „Niech papież sobie mówi o tych sprawach w Rzymie, ale nie w Polsce, bo to nam zaszkodzi". Ale Ojciec Święty mówił swoje. On się nie bał. Był jak prorok, który przybył przemienić rzeczywistość. I to mu się udało.

Czy można więc uznać, że – także ze względu na przełom polityczny – pierwsza pielgrzymka była najważniejsza ze wszystkich papieskich odwiedzin w ojczyźnie?

Absolutnie tak! Pierwsza pielgrzymka Ojca Świętego do Polski miała decydujący wpływ na rozwój wypadków, których później byliśmy świadkami, zarówno w Polsce, jak i w Europie oraz na świecie. Zapoczątkowała odrodzenie duchowe, ale także zmiany społeczno-polityczne, chociaż – co trzeba wyraźnie podkreślić – papież nie uważał się nigdy za polityka, tylko za pasterza. Ale jego działalność pasterska bez wątpienia znajdowała przełożenie także na życie społeczne i polityczne.

> Komuniści wywierali nacisk na stronę kościelną, byśmy powstrzymali Ojca Świętego przed dalszymi wystąpieniami, w których nawiązuje do wolności, godności człowieka

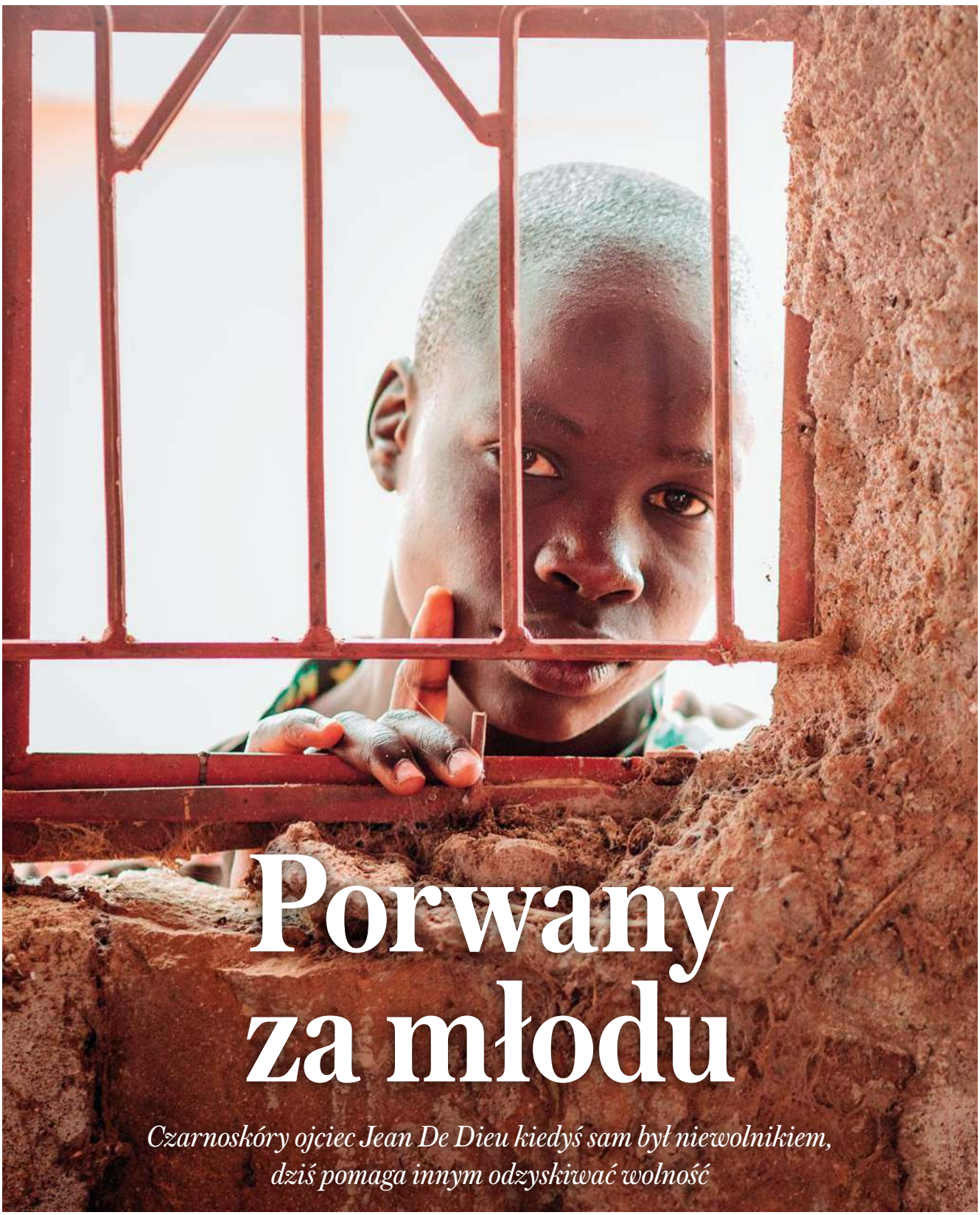
Od 40. rocznicy pierwszej pielgrzymki wielkimi krokami zbliżamy się do obchodów kolejnego papieskiego jubileuszu – 100-lecia urodzin. „Wiecie, że urodziłem się w 1920 r., w maju, w tym czasie, kiedy bolszewicy szli na Warszawę". Pamięta ksiądz kardynał te słowa?

To było ważne przemówienie podczas nawiedzenia cmentarza ofiar wojny 1920 r. w Radzyminie. Ojciec Święty był dumny, że urodził się w wolnej Polsce. Powtarzał nieraz, że jego brat Edmund przyszedł na świat jeszcze na terenie zaboru austriackiego, a on miał to szczęście, że już po odzyskaniu niepodległości.

Jakie zadanie ksiądz kardynał widzi dla obchodów 100-lecia papieskich urodzin?

Mogą one pomóc uchronić od zapomnienia historię ostatniego stulecia, której twórcą był także św. Jan Paweł II. On przecież tworzył tę historię, był jedną z głównych postaci, która budowała obraz Polski i miała realny wpływ na jej dzieje. To znakomita okazja, by do tych wydarzeń powrócić i by na papieskim dziedzictwie budować przyszłość. To dziedzictwo jest ponadczasowe. Nie zamyka się w tamtym okresie jego życia, ale wykracza o wiele dalej. Podobnie cała spuścizna Ojca Świętego, jego nauczanie i twórczość, może nas wciąż inspirować. I tego nie można zaprzepaścić.

eprasa.pl 273b5b4c04



Porwany za młodu

Czarnoskóry ojciec Jean De Dieu kiedyś sam był niewolnikiem, dziś pomaga innym odzyskiwać wolność

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 273b5b4c04



KAMILA HEDVIG-GÓRNY

W środku nocy Jean poczuł, jak przeszywa go ból. Zaraz po pierwszym razie spadły kolejne ciosy. Chłopiec poderwał się wybudzony ze snu. Choć cięgi ustały, jego koszmar miał trwać dalej. Było ciemno, lecz Jean nie miał wątpliwości, że przedmiot, który ujrzał w półmroku kilka centymetrów przed swoją twarzą, to broń palna. „Wstawaj! Szybko zbieraj swoje rzeczy i dołącz do pozostałych!" – padło polecenie. Otumaniony sięgnął po torbę i zaczął się pakować. Dopiero po chwili do jego świadomości dotarło, że wokół panuje wrzawa. Rozejrzał się ukradkiem. Przy każdym z łóżek sypialni, którą dzielił ze szkolnymi kolegami, zdarzenia przebiegały podobnie. W jednej chwili dziesiątki snów ściągnięto na ziemię, na której urządzono piekło.

Burundi, Afryka Wschodnia, rok 1996. Prowadzona przez zakonników szkoła z internatem dla chłopców między 14. a 17. rokiem życia. Napad na placówkę był zaplanowaną i precyzyjnie wykonaną operacją. Agresorzy działali z zaskoczenia – zaatakowali nocą i obrabowali duchownych. Cenne przedmioty i żywność nie były jednak głównym celem akcji. Tamtej nocy rozbójnicy uprowadzili 85 chłopców. Wtargnęli do internatu, wyprowadzili uczniów na zewnątrz i kazali im się ustawić w rzędzie. Jeden z napastników stanął za kolumną, wyciągając przed siebie karabin. Przymknął oko, nachylił się do celownika i krzyknął: „Muszę was wszystkich mieć równiusieńko przed lufą. Jeśli ktokolwiek zrobi krok w prawo lub w lewo – strzelam". „Naprzód!" Na ten rozkaz ponura procesja ruszyła w mrok.

ZNIEWOLENI

Pochód po całonocnym marszu zatrzymał się na skraju lasu. Uprowadzeni chłopcy, dygocząc ze zmęczenia i strachu, wpatrywali się w nieprzeniknięty gąszcz. Nagle spostrzegli ruch wśród listowia. Spomiędzy drzew, niczym na komendę, wyłonili się mężczyźni z kijami w rękach. Podbiegli do nastolatków. Z krzykami i wyzwiskami zaczęli ich kopać i okładać pałkami. W tym czasie poprzednia brygada ulotniła się w lesie. Nowo przybyli siepacze kazali chłopcom wyjąć z przyniesionych tobołków ubrania, których używali do pracy w szkolnym ogrodzie, i się przebrać. Przez cały ten czas nie przestawali kląć i znęcać się nad porwanymi. Potem odebrali im resztę rzeczy i wprowadzili w labirynt drzew.

Napastnicy byli członkami paramilitarnego ugrupowania, jednej ze stron konfliktu wojny domowej w Burundi, która w ciągu niecałej dekady miała pochłonąć ok. 300 tys. istnień ludzkich. Buntownicy nie akceptowali ówczesnych władz, dążąc do ich obalenia.

Mieli bazę głęboko ukrytą w lesie równikowym, a do utrzymania obozowiska potrzebowali siły roboczej. Rzecz jasna, darmowej. Dla Jeana i jego kolegów rozpoczęło się życie niewolników. Każdego dnia, przy asyście uderzeń i batów, dostawali przeróżne polecenia: musieli przenosić ciężkie przedmioty, kopać doły, zbierać drewno na opał i gotować w kuchni polowej. Po dniu ciężkiej pracy dostawali coś do jedzenia, niekiedy jednak szli spać bez posiłku. Co wieczór prowadzono ich nad rzekę, kazano się rozebrać i tam spędzić noc.

PRÓBA UCIECZKI

Wojownicy powtarzali chłopcom, by nie próbowali ucieczki. „Nie wydostaniecie się z tego lasu, nie znacie tych terenów, za to my mamy pod kontrolą całą okolicę" – mówili. „Złapiemy każdego uciekiniera, a wtedy nawet nie wyobrażacie sobie, jaką śmiercią przyjdzie mu zginąć".

Pewnego dnia bojowników opanowało wzburzenie. Podekscytowani zebrali wszystkich niewolników na polanie i ustawili w kręgu. Wprowadzili trzech związanych chłopców, wyjaśniając, że właśnie złapano ich na ucieczce. Ku przestrodze pozostałych postanowiono pokazowo ukarać uciekinierów. Zaczęto ich bić straszliwie i nie przestano, dopóki nie byli martwi.

– Żyliśmy w ciągłym strachu – wspomina Jean. – Wielu z nas się załamywało. Skąd brałem siłę, żeby przetrwać tę gehennę? Żeby się nie poddać? Gdy byłem mały, mama nauczyła mnie modlitwy. W chwilach cierpienia przypominałem sobie szczególnie Drogę Krzyżową, którą całą rodziną odmawialiśmy w czasie Wielkiego Postu. Będąc w niewoli, pomyślałem, że dzielę los Jezusa, który także bez żadnej winy został uwięziony, bity i zmarł na krzyżu. Poczucie współdzielenia cierpień z Jezusem oraz nieustanna modlitwa dawały mi siłę i trzymały przy życiu.

JESTEM MARTWY

Pewnego dnia Jean z grupą kilkunastu chłopaków dostali za zadanie przetransportować pewien towar. Nie wiedzieli, co przyszło im nieść, gdyż każdy dostał szczelnie zamkniętą paczkę. Pod eskortą uzbrojonych bojowników ekspedycja ruszyła na zachód. Gdy bojownicy szli przez tereny będące pod ich kontrolą, maszerowali w ciągu dnia, natomiast kiedy wkraczali na niepewny teren, na którym mogliby się natknąć na armię, wówczas w dzień kryli się w zaroślach, by po zmierzchu pod osłoną nocy posuwać się naprzód. Tak dotarli do granicy z Kongo. Tam wyszła im naprzeciw identyczna grupa z pakunkami. Nastąpiła wymiana towarów, po czym padł rozkaz powrotu.

Gdy zastęp dotarł do terenów, na których bojownicy znów poczuli się niczym panowie życia i śmierci, postanowili powetować sobie trudną misję i zdobyć prowiant kosztem pobliskiej wioski. „Nie myślcie, że coś wam przyniesiemy" – powiedzieli do niewolników. „Jeśli chcecie, żeby coś wam skapnęło, musicie się troszkę wykazać!". Głodni i przemęczeni tragarze nie mieli innego wyjścia, jak przyłączyć się do rabunku. Wśród strzałów i okrzyków wkroczono do wioski.

Wojownicy wyciągnęli jej mieszkańców z domów i sklepów na ulice. Zapewnili, że jeśli dostaną to, po co przyszli, nie zrobią nikomu krzywdy. Nie obyło się bez wrzasków,

eprasa.pl 273b5b4c04

płaczu, trzasków łamanych mebli, odgłosów przewracanych przedmiotów, bitych naczyń. Obserwując zamieszanie, zdezorientowani niewolnicy stali na uboczu. Wtedy Jean zdał sobie sprawę, że rozbójnicy byli tak zaabsorbowani mieszkańcami wioski i zdobytymi łupami, że praktycznie zapomnieli o swych dotychczasowych ofiarach. W głowie zaświtała mu myśl, która do tej pory wydawała mu się nierealna. Ucieczka.

– Wtedy mnie sparaliżowało – wspomina Jean. – Pomyślałem, że jeśli mi się nie uda i mnie złapią, będzie po mnie – zabiją mnie. A potem doszło do mnie, że właściwie to nie będzie nic nowego: już teraz w zasadzie jestem martwy.

BRAT BLIŹNIAK

Chłopiec zastygł w bezruchu. Jedynie jego oczy wodziły dokoła. Gdy się upewnił, że nikt nie patrzy w jego stronę, zrobił krok w tył, potem drugi i trzeci... Tak dotarł za węgieł najbliższej chaty. Zakradł się na jej tyły i posuwając się wzdłuż kolejnych domów, wydostał z wioski. Nie było chwili do stracenia. Zaczął biec co sił w nogach. Nie znał tamtych terenów, więc kierował się w stronę słońca, pamiętając, że jego dom znajduje się na północnym zachodzie. Cały czas miał się na baczności, ponieważ wiedział, że wciąż nie jest bezpieczny. Gdy się ściemniło, wspiął się na drzewo, by tam przenocować. Myślami wrócił do szkolnych kolegów, którzy zostali w obozie. Trudno mu było cieszyć się z wolności, wiedząc, że jego towarzysze pozostali w niewoli. Między nimi był także jego brat bliźniak, którego również uprowadzono z internatu.

O świcie Jean zeskoczył z drzewa i ruszył w dalszą drogę. W pewnej chwili ujrzał w oddali trzech chłopaków. Wspomina: – Bardzo przypominali mnie samego. Pomyślałem, że są z obozu i razem z rebeliantami przybyli, żeby mnie schwytać. Nie widzieli mnie. Chciałem zejść im z oczu, ale zanim zdążyłem zrobić pierwszy krok, zobaczyli mnie i... sami zaczęli uciekać.

Po pewnym czasie znów ich zobaczył z daleka. Szli w tym samym kierunku co on. Oni też go zobaczyli. W końcu odważyli się podejść do siebie. Wtedy okazało się, że uciekli tak jak Jean. Wśród nich był jego brat.

ODKRYCIE POWOŁANIA

Trzeciego dnia chłopcy zaczęli rozpoznawać okolicę. Wiedzieli, że są już blisko domu. – Kiedy spotkaliśmy naszą mamę, nie mogła uwierzyć, że widzi nas żywych. Wkrótce poszliśmy do szkoły. To wtedy poczułem powołanie, żeby zostać księdzem. Wstąpiłem do Zgromadzenia Misjonarzy Afryki, zwanych także Ojcami Białymi. Ujęło mnie to, że ważna część ich charyzmatu to walka o sprawiedliwość, wolność i ludzką godność – mówi dziś Jean. – To, że przeżyłem tamto piekło, było dla mnie Bożą Łaską. Tam w dżungli myślałem już, że moje życie jest skończone, że jestem martwy. Bóg podarował mi drugie życie i chciałem Mu je poświęcić. Czułem, że moją misją jest pomoc tym, którzy zostali niewolnikami.

Jean pytany, czy przebaczył swym oprawcom, mówi: – Nie czuję do nikogo złości czy nienawiści, bo wiem, że Bóg dopuścił do tamtych zdarzeń. On jest ponad tymi, którzy mnie skrzywdzili. Gdyby to od nich zależał mój los, zamęczyliby mnie, zostałbym martwy gdzieś tam w środku dżungli. Bóg mnie jednak ocalił.

RATOWANIE NIEWOLNIKÓW

Jean dobrze odnalazł się wśród Ojców Białych. Jak mówi: – Działamy w ponad 20 krajach. Byłem z misją w różnych zakątkach świata. Handel organami, niewolnictwo, napady, nadużycia, zmuszanie do prostytucji – to problemy, z którymi się stykałem.

Obecnie jest zaangażowany w działalność Fundacji HAART Kenya (Awareness Against Human Trafficking – Świadomość przeciwko Handlowi Ludźmi) stworzonej w 2010 r. przez Polaka Radosława Malinowskiego. Jak mówi założyciel, tłumaczenie terminu human trafficking na język polski jako „handel ludźmi" jest nieścisłe. Chodzi nie tylko o sprzedaż ludzi w niewolę. Porwane osoby nie zawsze są sprzedawane. Najczęściej są uprowadzane przez różne ugrupowania, firmy, jednostki paramilitarne czy grupy przestępcze, które następnie wykorzystują swe ofiary do niewolniczej pracy fizycznej, zmuszają je do prostytucji, a niekiedy przeznaczają na organy.

> Porywacze wykorzystują swe ofiary do niewolniczej pracy fizycznej, zmuszają do prostytucji, a niekiedy przeznaczają na organy

HAART jest jedyną organizacją w Kenii, która działa wyłącznie w celu przeciwdziałania uprowadzeniom i wykorzystywaniu ludzi. Terenem jej aktywności jest jednak Afryka Wschodnia. Nairobi stało się natomiast głównym ośrodkiem human traffickingu w regionie. Fundacja działa na wielu płaszczyznach. Odnajduje i ratuje ofiary handlu ludźmi – do tej pory udało wyrwać z niewoli ok. 500 osób. Pomaga im też powrócić do normalnego funkcjonowania w społeczeństwie. Zajmuje się także szeroko pojętą edukacją, prowadzi szkolenia i warsztaty, informując o sposobach działania porywaczy oraz metodach bronienia się przed nimi. Dzięki jej staraniom wiedza o tym dotarła do ponad 40 tys. osób.

PS Fundacja Pomoc Kościołowi w Potrzebie prowadzi do końca czerwca akcję na rzecz ratowania i rehabilitacji osób zniewolonych w Afryce. Jeśli chcesz wesprzeć fundację HAART Kenya, wyślij SMS o treści WOLNI na nr 72052 lub wpłać pieniądze na konto: 72 1020 4900 0000 8502 3179 5260 z dopiskiem „Wolni–Niewolni"

eprasa.pl 273b5b4c04

Zakupy spożywcze to nie lada wyzwanie

Producenci żywności walczą o naszą uwagę – kuszą nas kolorowymi opakowaniami, ceną, zapachem, ale skąd wiadomo, jakiej jakości jest produkt z naszego koszyka? Odpowiedź znajdziemy na etykiecie. Etykieta to jedyna wiarygodna wiedza na ten temat produktów

Często to, co na pierwszy rzut oka wydaje się lepsze, niekoniecznie takie jest. Kolor opakowania, jego szata graficzna, hasło reklamowe, a nawet miejsce na półce sklepowej – to czynniki, które bez wątpienia zachęcają nas do zakupu tego, a nie innego produktu. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że kupujemy oczami.

Jak więc nie dać się złapać na marketingowe chwyty? Po prostu – czytajmy etykiety! Informacje w nich zawarte dostarczają nam wiedzy, która pozwala na wybranie najkorzystniejszych dla zdrowia produktów. Dobre i wartościowe produkty to takie, które są świeże, nie są mocno przetworzone chemicznie, zawierają składniki pochodzenia naturalnego oraz spełniają właściwe dla swojej grupy normy.

Przede wszystkim powinien się tam znaleźć termin przydatności do spożycia albo data minimalnej trwałości. Następna istotna sprawa to składniki. Podawane są one na etykietach w kolejności malejącej – od tego, którego jest najwięcej, po ten, którego zawartość w produkcie jest najmniejsza. Obok listy komponentów na opakowaniu żywności powinna być także widoczna informacja na temat składników mogących być alergenami (takimi jak np. gluten). Dobry opis produktu powinien zawierać podaną w procentach zawartość tłuszczu, kalorii i cukru oraz informację, jaki procent dziennego zapotrzebowania organizmu ludzkiego na dany składnik zaspokaja ten produkt. Znajdziemy tam również informację na temat użytych konserwantów oraz wiele skrótów określających funkcję żywności – dodaje Maciej Partyka, dyrektor marketingu Sante.

PRZED CZYM POWINNIŚMY SIĘ BRONIĆ?

Należy uważać na sztuczne barwniki, konserwanty, antybiotyki, wzmacniacze smaku i zapachu. Dieta zawierająca dużo dodatków żywnościowych, barwników i rafinowanego cukru może być przyczyną problemów z koncentracją, nadpobudliwości i agresji, co można coraz częściej zaobserwować u dzieci.

Od dawna panuje przekonanie, że jeśli dużo pracujemy, to nie mamy czasu na to, aby racjonalnie się odżywiać – zdrowe i regularne jedzenie kojarzy się z pracochłonnym przygotowaniem, a dziś każda godzina jest na wagę złota. Część osób wręcz twierdzi, że je niezdrowo, bo nie ma czasu lub pieniędzy na zdrowe jedzenie – to wymówki i mity czy fakty?

Zmiana trybu życia rzeczywiście pociągnęła za sobą również zmianę w nawykach żywieniowych. Niestety, w wielu przypadkach jest to zmiana na niekorzyść – jemy w biegu, nie planujemy naszego jadłospisu i za często sięgamy po przetworzone produkty. Musimy niektórych rzeczy nauczyć się na nowo, bo system naszych babć, a nawet naszych mam, nie



Dyrektor Marketingu SANTE, Maciej Partyka

49/0519/F

sprawdza się w dzisiejszej rzeczywistości. Ale czy zdrowy tryb życia rzeczywiście wymaga spędzenia większej ilości czasu w kuchni i musi dużo kosztować? Oczywiście, że nie...Jest to jedynie stereotyp! Zdrowa żywność była przez wiele lat niedoceniana, lecz w końcu doczekaliśmy się chwili, w której powiedzenie: „Jesteś tym, co jesz" stało się nie tylko modne, lecz i bardzo trafne. Życiowa energia i siła bierze się z dobrego i zdrowego jedzenia. Musimy pamiętać, że w życiu najważniejsze jest zdrowie. To ono zapewnia nam dobre samopoczucie. Powinniśmy wybierać tylko i wyłącznie produkty z dobrym i sprawdzonym składem, żeby mieć siłę do działania i podejmowania wyzwań każdego dnia.

Sante to polska firma, która powstała w 1992 r. jako firma rodzinna, od początku wyznaczając trendy na rynku zdrowej żywności. Misja firmy zawarta jest w jej nazwie – francuskie słowo „santé" oznacza „zdrowie". Jest nią szczególna dbałość o dostarczanie konsumentom żywności mającej najbardziej korzystny wpływ na zdrowie.

Bogata i różnorodna oferta Sante obejmuje około 200 produktów w kategoriach: płatki śniadaniowe, ciastka i batony zbożowe, kasze, ziarna, batony proteinowe, masła orzechowe, napoje roślinne, pasty i pasztety roślinne, profesjonalne odżywki dla sportowców i inne. Wizytówką firmy Sante jest nieustannie powiększająca się rodzina produktów bez sztucznych dodatków. Flagowe marki Sante – rozpoznawalne i cenione przez konsumentów – to: Granola, Fit, Musli, Crunchy, Skarby Ziemi, Lovege, Go On, Granola Bar, Cookiss, Flipsy.

Sante produkuje swoje produkty w nowoczesnej fabryce (ponad 70 tys. m^2) spełniającej najbardziej rygorystyczne normy jakości potwierdzone międzynarodowymi certyfikatami. Produkty Sante corocznie uzyskują nagrody ekspertów i konsumentów. Ponad 50 proc. wytwarzanych w zakładzie Sante produktów sprzedawanych jest poza granicami kraju.

Materiał powstał przy współpracy z SANTE

eprasa.pl 273b5b4c04

Bankowość na froncie politycznym

Czy polscy bankierzy poniosą wreszcie indywidualną odpowiedzialność za często skrajnie ryzykowne i bardzo szkodliwe pomysły biznesowe nie tylko omijające prawo, lecz wręcz je naruszające?



JANUSZ SZEWCZAK

Po nieudanej próbie sądowego antyrządowego zamachu stanu w Polsce, po zamiarze obalenia demokratycznie wybranych władz tym razem na niwie oświatowej i wojnie wydanej polskim katolikom na Uniwersytecie Warszawskim niewykluczone, że w powietrzu wisi kolejna antyrządowa dywersja. Tym razem w sektorze bankowym.

Prezes największego polskiego banku PKO BP Zbigniew Jagiełło trafnie sformułował tezę o „pęknięciu sektora bankowego", stwierdzając publicznie, że „banki, które sobie nie radzą, muszą odejść z rynku". Wydaje się to bezdyskusyjne i podobną tezę głoszę od wielu lat. Pytanie tylko: co z bankierami, właścicielami i zarządzającymi tymi bankami, którzy od lat ukrywali problemy, dopuścili do gigantycznych strat w swych bankach, idących w miliardy złotych?

W grupie banków Leszka Czarneckiego straty tylko za 2018 r. wyniosły ok. 3,5 mld zł, nie mówiąc już o skali dokapitalizowania tych instytucji (Idea Bank stracił 2 mld zł, Getin Holding blisko 1 mld zł, a Getin Noble Bank prawie 0,5 mld zł tylko w ubiegłym roku). Co z tymi geniuszami zarządzania w sektorze bankowym i finansowym, którzy uwikłali swoje instytucje w toksyczne aktywa, niebezpieczne instrumenty finansowe, opcje walutowe dla przedsiębiorstw, zabójcze polisolokaty? A także w coraz bardziej wątpliwe i ryzykowne tzw. kredyty frankowe, które po lipco-



eprasa.pl 273b5b4c04

wym wyroku TSUE mogą uruchomić prawdziwą lawinę bankowych strat i przegranych procesów. Czy wreszcie o z dramatycznymi w skutkach dla uczestników rynku finansowego i bankowego obligacjami GetBacku, którego straty wyceniane są już na ok. 3 mld zł, a który, już wiadomo, dopuszczał się się tzw. missellingu, czyli świadomego wprowadzania w błąd klientów niektórych banków? To jednak nie przeszkadza w wypłacaniu tym zarządzającym sowitych pensji, choć liczba zatrzymanych i aresztowanych w tej aferze dzięki działaniom prokuratury systematycznie rośnie.

Niepokojąco wyglądają potrzeby dokapitalizowania niektórych podmiotów bankowych, mogące sięgać łącznie nawet kwoty 18–20 mld zł, i wszystko to wcale nie jest winą nadmiernego przeregulowania sektora bankowego w Polsce. Wprost przeciwnie to wynik trwającej lata bezkarności niektórych zarządów i menedżerów. Nic dziwnego, że składka na Bankowy Fundusz Gwarancyjny (BFG) w ramach tzw. resolution to setki milionów złotych obciążeń dla poszczególnych banków. Ponoć są one z godnością, jak mawia prezes PKO BP, „przyjmowane na klatę" nawet przez prymusów rynku bankowego.

Czy bankierzy, którzy niewątpliwie zawinili, wręcz narazili stabilność i bezpieczeństwo sektora bankowego, jednocześnie funkcjonując na tym rynku, nie podważają tym samym zaufania do niego? Czy poniosą wreszcie indywidualną odpowiedzialność za często skrajnie ryzykowne i bardzo szkodliwe pomysły biznesowe nie tylko omijające prawo, lecz wręcz je naruszające? Jak długo jeszcze tego typu naganne praktyki i niefrasobliwość będą tolerowane ze strony instytucji nadzoru nad rynkiem finansowym i bankowym, instytucji wymiaru sprawiedliwości, w tym zwłaszcza przez sądy? I czy nie czas wreszcie na ostracyzm i krytykę ze strony przedstawicieli tzw. elit zarządzających w sektorze bankowym i finansowym w stosunku do owych czarnych owiec, które narażają na szwank nie tylko opinię o całym sektorze, lecz wikłają go dodatkowo w bieżącą walkę polityczną i afery kończące się postępowaniami prokuratorskimi? Dawno przecież nie dochodziło do zatrzymywania prawie całego byłego zarządu jednego z banków (Idea Bank) w kontekście afery GetBacku czy równie dużej grupy byłych pracowników SK-Banku w Wołominie (straty rzędu 2,7 mld zł) czy idących już w setki zatrzymanych i aresztowanych, a nawet skazanych w sprawie SKOK-u Wołomin.

> Branża bankowa to sektor naczyń połączonych i połączenie dwóch czy trzech chorych nie czyni jednego zdrowego

Te zjawiska nie wróżą niczego dobrego, ale są dowodem na to, że wiele jeszcze patologii na rynku bankowym i finansowym w Polsce. Banki z grupy Leszka Czarneckiego w listopadzie 2018 r. uzyskały znaczący kredyt refinansowy z NBP jako instytucji ostatniej szansy (Getin Noble dostał pożyczkę na poprawę płynności w wysokości 3,5 mld zł i 1,2 mld zł, Idea Bank zaś w kwocie 1,05 mld zł). Pożyczki te zostały zwrócone NBP na początku 2019 r. Jak mówi obecny prezes Idea Banku Jerzy Pruski, były szef BFG i członek NBP: „Jesteśmy gotowi na różne ewentualności", i wielce eufemistycznie dodaje, że „nie we wszystkich aspektach przeszłość banku [Idea Banku] była nienaganna". Banki z grupy Leszka Czarneckiego na razie bezskutecznie poszukują inwestora, a KNF wreszcie wyznaczyła kuratora dla Idea Banku, którym został BFG.

Czy to jednak wystarczy, bo wydaje się, że przełomu nie zapowiada. Nie widać też skutecznego i wiarygodnego planu naprawy tej bardzo trudnej sytuacji. A przecież nowo uchwalone przepisy o tzw. resolution przewidują całą gamę rozwiązań, w tym możliwość tzw. instytucji pomostowej czy wręcz przymusową restrukturyzację. Są to przecież banki istotne dla stabilności całego sektora bankowego w Polsce, tym bardziej w kontekście nasilającej się walki politycznej i czekających nas kolejnych bardzo ostrych kampanii wyborczych.

Lepiej więc zawczasu dmuchać na zimne, reagować surowo i stanowczo, nie czekając na rozwój wypadków. Prezes Jagiełło być może ma rację, gdy twierdzi, że „jest dziś w Polsce ok. ośmiu banków, które dobrze sobie radzą, i one przeżyją obecne turbulencje, jest też grupa mniejszych podmiotów, które sobie nie radzą w tym otoczeniu regulacyjnym, mają niskie stopy zwrotu, spadają im kapitały i mają słabych akcjonariuszy, którzy nie chcą ich wspierać". Pełna zgoda. Wiele z tych banków samo zapracowało – jedne na swoją dobrą, inne na niezwykle trudną czy wręcz fatalną kondycję – często nie licząc się z nikim i niczym, mając nad Wisłą prawdziwe eldorado w strzyżeniu klientów do gołej skóry. Miejmy nadzieję, że to już nigdy nie wróci.

Pytanie tylko, kto zapłaci rachunek za tych słabeuszy, ile to będzie kosztować, czy wystarczy środków BFG oraz czy będzie pełna determinacja odpowiednich instytucji nadzorczych do rozliczenia winowajców, a także czy tego typu potencjalne bankowe zawirowania nie wpiszą się „przypadkiem" w czekające nas kampanie wyborcze?

Tym bardziej że przed sektorem bankowym w Polsce liczne wyzwania, nie tylko w sferze nakładów inwestycyjnych, konkurencji z fin-techami, wdrażania systemu PSD-2 czy konsolidacji. Równie ważna jest kwestia wiarygodności w systemie bankowym, oczyszczenia tego środowiska z ewidentnych patologii i różnych wątpliwych praktyk, a tego nie zapewni nawet sprzedaż aktywów niektórych banków, zwłaszcza gdy brakuje chętnych do zakupów, a towar jest nie pierwszej świeżości. Pytanie więc, czy warto czekać na przychylne wiatry, które rozwieją ciemne skłębione zasłony, czy naprawiać zegarek powinni ci, którzy go zepsuli? Branża bankowa to sektor naczyń połączonych i połączenie dwóch czy trzech chorych nie czyni jednego zdrowego.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 273b5b4c04



Fot. Shutterstock | 54/0319/F

Będzie więcej prądu z wiatru i słońca

Jednym z najistotniejszych wyzwań stojących przed polską gospodarką jest zwiększenie udziału źródeł odnawialnych (OZE) w krajowej energetyce. Według planów rządowych do 2030 r. aż 21 proc. energii będzie pochodzić z tych zasobów. Grupa Kapitałowa PGE, największe w Polsce przedsiębiorstwo energetyczne, chce być liderem we wprowadzaniu tych zmian

Obecnie polski sektor energetyczny opiera się w ok. 80 proc. na węglu i choć w najbliższych latach jego znaczenie będzie maleć, to ostateczna rezygnacja z tego surowca jest na razie niemożliwa. Wynika to z wielu czynników strategicznych i ekonomicznych warunkujących bezpieczeństwo energetyczne kraju.

Jednocześnie zmiany klimatyczne oraz rosnąca świadomość na temat konieczności ograniczenia emisji dwutlenku węgla do atmosfery przyczyniły się do tego, że na całym świecie coraz większe znaczenie zyskują technologie oparte na OZE.

Naturalnie proces ten dotyczy również Polski, gdzie ok. 13 proc. produkowanej obecnie energii pochodzi ze źródeł odnawialnych. Odpowiadają za to przede wszystkim farmy wiatrowe i elektrownie wodne należące do GK PGE, lidera segmentu OZE w Polsce, który ma ok. 9 proc. rynku.

– Wytwarzamy obecnie ok. 1,8 TWh zielonej energii rocznie – mówi Arkadiusz Sekściński, p.o. prezes PGE

eprasa.pl 273b5b4c04

Energia Odnawialna, spółki z GK PGE. To tyle, ile potrzeba, by w ciągu roku zaspokoić zapotrzebowanie ok. 720 tys. gospodarstw domowych. Nasze kolejne inwestycje planujemy tak, by w 2030 r. GK PGE osiągnęła zakładaną w swej strategii aspirację – 25 proc. udziału w produkcji energii z OZE w Polsce. W świetle tych założeń prognozujemy, że za 10 lat będziemy wytwarzać ok. 14 TWh zielonej energii rocznie.

Zdaniem Arkadiusza Sekścińskiego cel ten zostanie osiągnięty głównie dzięki zbudowaniu zaplanowanych już farm wiatrowych na lądzie i na Morzu Bałtyckim oraz nowych instalacji fotowoltaicznych.

Potwierdza to Janusz Gajowiecki, prezes Polskiego Stowarzyszenia Energetyki Wiatrowej.

– Od 2018 r. obserwujemy pozytywne zmiany w postrzeganiu naszej branży. Chodzi zarówno o przeprowadzoną w 2018 r. aukcję na 1000 MW energii pochodzącej z farm wiatrowych, wiele zachęt fiskalnych, jak i plany kolejnej aukcji na 2500 MW energii, która miałaby się odbyć w tym roku. Taka polityka państwa gwarantuje stabilny rozwój i jest katalizatorem nowych inwestycji.

Najlepszym przykładem tych trendów są projekty realizowane przez PGE Energia Odnawialna. Już za rok spółka uruchomi dwie nowe farmy wiatrowe: Starza/Rybice i Karnice II. W ramach projektu Klaster zbudowana zostanie też infrastruktura towarzysząca z wyprowadzeniem mocy oraz 30-kilometrowa linia wysokiego napięcia, która poprawi parametry sieci dystrybucyjnej w całym regionie oraz zapewni bezpieczeństwo energetyczne. Inwestycja powstanie w północno-zachodniej części województwa zachodniopomorskiego w odległości od 3 do 13 km od wybrzeża. W sumie zainstalowane zostaną 43 turbiny o łącznej mocy 97,17 MW.

– To będzie bardzo nowoczesna inwestycja. Zamierzamy postawić wiatraki o wysokości 175 m (125-metrowy maszt + 50-metrowa łopata) – tłumaczy Piotr Majchrzak, dyrektor Biura Analiz i Inwestycji Kapitałowych, PGE Energia Odnawialna. Ich efektywność ma sięgać 35 proc., co w porównaniu z wcześniej wykorzystywanymi instalacjami jest gigantycznym skokiem technologicznym, gdyż starsze turbiny miały wydajność ok. 10 proc. niższą.

POZYSKAĆ SIŁĘ MORSKIEGO WIATRU

Niezaprzeczalnie imponujący skok efektywności GK PGE uzyska wraz z realizacją ambitnego projektu budowy morskiej farmy wiatrowej. Na Bałtyku panują bowiem warunki atmosferyczne, które pozwolą uzyskać wskaźnik wykorzystania mocy na poziomie 50 proc. Projekt – realizowany przez PGE Baltica, spółkę z GK PGE – zakłada powstanie instalacji o mocy do 2545 MW zlokalizowanej w odległości ok. 25-30 km od brzegu, na wysokości Łeby.

Inwestycja przyniesie polskiej gospodarce wymierne korzyści. Gdańsk, Gdynia, Szczecin i Świnoujście mogą się stać głównymi centrami budowlanymi dla energetyki morskiej na południowym Bałtyku, a Łeba, Ustka i Darłowo ważnymi centrami serwisowymi i obsługowymi.

SŁONECZNA PRZYSZŁOŚĆ

Kolejnym sektorem energetyki odnawialnej, w który wkrótce zainwestuje GK PGE, są farmy słoneczne.

– Liczne analizy wskazują, że spośród technologii OZE to właśnie fotowoltaika ma największy potencjał rozwojowy. Sprzyjają temu decyzje strategiczne na poziomie rządu o potrzebie zmiany miksu energetycznego poprzez zwiększenie udziału farm słonecznych, jak również stale spadające nakłady i koszty związane z tymi przedsięwzięciami – podkreśla Arkadiusz Sekściński.

– GK PGE jest liderem wytwarzania energii elektrycznej z elektrowni wodnych i wiatrowych.

Obecnie zależy nam na uzyskaniu podobnej pozycji również w branży fotowoltaicznej – dodaje p.o. prezes PGE Energia Odnawialna.

– W kręgu naszego zainteresowania są tereny niewykorzystywane w działalności GK PGE lub takie, gdzie zakończono działalność przemysłową. Budowa elektrowni fotowoltaicznych pozwoli nadać im nowy charakter i może się stać istotnym elementem ich rekultywacji. Równocześnie, z myślą o lokalizowaniu elektrowni fotowoltaicznych, pozyskujemy grunty rolne niskich klas bonitacyjnych, znajdujące się poza obszarami ochrony środowiskowej lub krajobrazowej – mówi Grzegorz Mośka, dyrektor Departamentu Inwestycji OZE, PGE Energia Odnawialna.

Pierwszy tego typu projekt GK PGE będzie realizować z Grupą Azoty Kopalnie i Zakłady Chemiczne Siarki „Siarkopol". Inwestycja o mocy zainstalowanej 5 MW i rocznej produkcji 4,97 GWh powstanie na 10 ha gruntów poeksploatacyjnych należących do GA Siarkopol.

Według planów elektrownia składająca się z ok. 16 tys. paneli fotowoltaicznych rozpocznie działalność w połowie 2022 r. Będzie to pierwsza w Polsce instalacja PV zbudowana na potrzeby jednego odbiorcy przemysłowego.

– Dzięki współpracy największej w Polsce grupy energetycznej oraz chemicznej powstanie pierwsza w Polsce elektrownia PV, która będzie sprzedawać energię elektryczną bez wsparcia w postaci aukcji czy zielonych certyfikatów. Powiększamy udział OZE w naszym kraju, działając zgodnie z wytycznymi polityki klimatycznej Unii Europejskiej, a tym samym wspomagamy transformację energetyczną polskiej gospodarki – mówi Arkadiusz Sekściński.

Oprócz projektów związanych z energetyką wiatrową i słoneczną GK PGE chce zainwestować w magazyny energii. Pierwszą tego typu instalację PGE Energia Odnawialna buduje na górze Żar, obok znajdującej się tam farmy fotowoltaicznej. Jest to projekt badawczo-rozwojowy, oparty na akumulatorach litowo-jonowych.

– Magazynowanie energii to nie tylko przyszłość energetyki odnawialnej, ale i konieczność – mówi Szymon Kowalski, dyrektor Biura Rozwoju i Innowacji, PGE Energia Odnawialna. Liczba źródeł energii o zmiennej charakterystyce pracy – takich jak farmy wiatrowe czy słoneczne – wciąż rośnie, co może wpływać na zakłócenia pracy sieci i pogorszenie parametrów płynącej w niej energii. Magazyn energii pozwoli na unormowanie tej sytuacji. Inwestycja na górze Żar będzie pierwszym tego typu obiektem w Polsce, ale na pewno nie ostatnim – kończy Szymon Kowalski.

eprasa.pl 273b5b4c04



Polska nauka potrzebuje lepszego postrzegania

Jesteśmy na etapie, kiedy biznes i nauka coraz mocniej się przenikają, a z osiągnięć polskich naukowców korzystają światowe firmy, które jednocześnie stają się ambasadorami polskich uniwersytetów. Ale ciągle jeszcze rozpoznawalność polskiej nauki za granicą jest zbyt niska

W Polsce mamy już sytuację, w której biznes i nauka przenikają się i wzajemnie korzystają ze swoich osiągnięć – wynika z debaty o wpływie globalnych inwestorów na innowacyjność polskiej gospodarki, która odbywała się w naszej redakcji w ramach Forum wGospodarce.pl.

– Od kilkunastu lat obserwujemy bliską współpracę, a nawet pewną symbiozę między nauką a biznesem, jako że dzisiaj na uczelniach i w biznesie pracują jednakowo dobre osoby, które znają się jeszcze z czasów studiów i często się ze sobą kontaktują. W rezultacie relacje między ludźmi biznesu a naukowcami mocno się zacieśniają. Dzieje się tak także dlatego, że na rynku i na uczelniach coraz prężniej działają kluby absolwentów. Zjawisko to także jest ważnym elementem styku ludzi biznesu oraz studentów ludzi i nauki. Następuje wymiana poglądów, prowadzi się wspólne badania, w rezultacie czego z jednej strony powstają nowe rozwiązania i tworzy się nowe produkty oraz nowoczesne rozwiązania biznesowe, a z drugiej strony firmy mają dostęp do młodej i dobrze wykształconej kadry – powiedział prof. Alojzy Z. Nowak, dziekan Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego.

JEST WSPÓŁPRACA, ALE SĄ RÓWNIEŻ PROBLEMY

I choć przykładów tej symbiozy jest coraz więcej, to nadal są sfery, w których jest wiele do zrobienia. Problemem jest – według przedstawiciela świata nauki – promocja tego, co zostało na uczelniach stworzone.

– Inwestycje w naukę wymagają dużych nakładów, których rezultaty nie są pewne, cierpliwości w oczekiwaniu na rezultaty, a na koniec potrzebne jest jeszcze stworzenie takiego systemu, który umożliwiałby wykorzystanie wyników badań. To nie jest tak, że wyniki badań same się przebiją. To, co powsta-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 273b5b4c04

nie na uczelniach, musi zostać jeszcze wypromowane, a to oznacza duży wysiłek finansowo-marketingowy. Pytanie, kto powinien ten wysiłek podjąć? – mówił prof. Nowak. – Muszę powiedzieć, że doświadczenie i obserwacje rynku zarówno na zachodzie Europy, jak i w Azji oraz Stanach Zjednoczonych wskazują, iż wiele do powiedzenia w tym zakresie ma państwo, które poprzez środki budżetowe – tam gdzie jest to oczywiście możliwe, ale także poprzez swoje instytucje i sieć dyplomatyczną – może się w sposób zasadniczy przyczynić do promowania krajowych produktów i krajowych rozwiązań.

Firmy działające w Polsce również przyznają, że bardzo chętnie współpracują z naukowcami.

– Nasz model współpracy nie polega na zlecaniu badań, ale na poszukiwaniu pomysłów i projektów, które mają potencjał do tego, aby uzupełnić nasze zaplecze badawczo-rozwojowe lub stworzyć innowacyjną formę terapii – powiedział Michał Kurzelewski, dyrektor medyczny w Pfizer Polska. – Cieszy mnie ogromna otwartość polskich naukowców na to, aby stać się częścią tego procesu. Z punktu widzenia biznesu nie ma znaczenia, skąd innowacja pochodzi – liczy się to, czy ona jest dobra, skuteczna, przemyślana. W przypadku branży farmaceutycznej finalnym produktem tej współpracy jest odpowiedź na pytanie, czy powstanie nowy lek, czy będzie można dzięki niemu leczyć pacjentów, czy też nie – dodał.

On jednak także zauważa szereg wyzwań związanych z niedostateczną promocją polskiej nauki.

– Jednym z wyzwań z punktu widzenia firmy, w której pracuję, jest to, że marka polskiej nauki wciąż nie jest dostatecznie mocno ugruntowana na świecie. Niezwykle ubolewamy nad tym, gdyż potencjał polskiej nauki i kapitału ludzkiego jest ogromny – argumentował.

O współpracy z naukowcami mówił także Olaf Krynicki, dyrektor komunikacji w Samsung Polska. Ten koreański koncern w Polsce posiada m.in. Centrum Badań i Rozwoju, toteż współpraca z naukowcami jest bardzo silna. Co roku w Samsungu robionych jest przynajmniej kilka doktoratów wdrożeniowych, opracowywane są tzw. proof of concepts o wartości liczonej w milionach złotych, zatrudniani są inżynierowie z tytułem doktorów i setki stażystów z różnych uczelni w Polsce.

– Widzimy jednak kilka barier. Uczelnie obawiają się, że najbardziej utalentowana kadra odpłynie z nich, a więc tym samym obniży się poziom jakościowy i ilościowy dorobku naukowego uczelni. Stąd może się brać potencjalna niechęć do delegowania pracowników uczelni do współpracy z biznesem. I to mimo że doktoraty wdrożeniowe robione u nas pokazują, iż współpraca z nami daje bardzo wartościowe efekty – powiedział Krynicki. – Poza tym czasem inaczej rozumiemy cykl projektowy – jeśli u nas taki cykl trwa przyjmijmy rok, uczelnia uważa, że prace powinny trwać dłużej. A projektowanie to tylko jeden z elementów procesu – potem jest jeszcze przygotowanie do produkcji, uruchomienie wytwarzania, w końcu produkcja i sprzedaż – dodał.

Ale podkreślał także, że współpraca z uczelniami jest dobra dla obu stron i niezwykle potrzebna. Zwrócił też uwagę, że z punktu widzenia biznesu ważne jest także to, ile czasu naukowiec spędza przy projekcie, którymi interesują się obie strony.

– Kadra naukowa, która współpracuje z biznesem, jest bardzo mocno zaangażowana we wszystkie aspekty dydaktyczne na uczelni, co powoduje, że czasem nie może się mocniej zaangażować w projekt. Zawsze jednak staramy się znaleźć równowagę i rozwiązanie – powiedział Krynicki. – Podobnie jest z koniecznością pozyskiwania funduszy na badania, a więc praca administracyjna, która również odrywa naukowców od projektu – dodał.

Nad tym, aby współpraca między naukowcami a biznesem była jak najbliższa i dawała jak najlepsze rezultaty, pracuje Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. W ostatnim czasie było sporo zmian w prawie, których celem było zbliżenie między nauką a biznesem.

– Temu służyły ustawy o innowacyjności, temu służą także rozwiązania podatkowe umożliwiające odliczenie nawet do 100 proc. środków wydanych na innowacyjność – powiedział Andrzej Stanisławek, wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego. – Doktoraty wdrożeniowe, również wprowadzone niedawno, są świetnym produktem promującym naukowców z dobrymi pomysłami – powiedział.

Resort nauki doskonale zdaje sobie sprawę, że polskie wydatki na naukę są zbyt niskie i należy je podnieść.

– Obecnie wydajemy na badania i rozwój ok. 1 proc. PKB, a to za mało. Chcemy, aby państwo łożyło na ten cel ok. 1,8 proc. PKB. Ale staramy się także na inne sposoby wypełniać tę dolinę śmierci, jaka jest między nauką a biznesem, tak aby środki, które już mamy, były wydawane bardziej efektywnie – powiedział Andrzej Stanisławek. – Stworzenie Sieci Badawczej Łukasiewicz, która łączy 38 instytutów badawczych, daje nam bazę badawczą i wdrożeniową o dużym potencjale na tle Europy. Staramy się także stworzyć platformę cyfrową, w ramach której naukowcy będą mogli wyszukiwać przedsiębiorców, a przedsiębiorcy – naukowców i ich projekty – dodał.

On także, jak stwierdził, dostrzegł problem niedostatecznej renomy Polski i polskich innowacyjnych rozwiązań.

– Zwrócono mi uwagę, że wiele polskich start-upów technologicznych rejestruje się poza Polską, np. w Niemczech, bo to ułatwia współpracę na rynku międzynarodowym. Polska w dziedzinie informatycznej jest potęgą, ale nie ma jednocześnie dziedzin – może poza grami – w których jesteśmy silni – powiedział wiceminister. – A więc musimy zmienić percepcję polskich naukowców – nie rozróżniam profesora od twórcy aplikacji – aby polska nauka stała się naszym wyróżnikiem – dodał.

NAUKA OBIEKTEM POŻĄDANIA

O wiele ważniejsze od barier, z jakimi stykają się obie strony – nauka i biznes – są korzyści do uzyskania. Wszyscy bowiem mają atuty, które druga strona uważa za bardzo cenne.

– Zazdrościmy podejścia naukowego, a więc eksperckiej wiedzy, umiejętności rozwiązywania problemów i analizowania. To jest coś, czego bardzo potrzebujemy jako biznes – powiedział Olaf Krynicki z Samsunga. – Poza tym robi na nas wrażenie to, że naukowcy

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 273b5b4c04

specjalizują się często w bardzo wąskich obszarach, co w biznesie nie jest możliwe. Dostęp do takich osób z naszego punktu widzenia jest bardzo cenny – dodał.

Cenną rzeczą u naukowców jest także to, że wielu pracuje nad rozwiązaniami, które zdecydują o przyszłości. Dla firm umiejętność przewidywania nadchodzących trendów to ogromny atut.

– Chcielibyśmy także współpracować nie tylko w kontekście bieżących potrzeb, ale także tego, co będzie się dziać. Rozwiązania dotyczące obecnego świata już mamy – powiedział przedstawiciel Samsunga. – Liczymy, że wspólnie będziemy pracować nad tym, na co się przygotować, co nadejdzie za kilka i kilkanaście lat – powiedział.

O specjalizacji i wyjątkowej wiedzy będącej ogromnym atutem polskich naukowców mówił także Michał Kurzelewski z Pfizera.

– Doceniamy potencjał intelektualny, umiejętności twórcze i bardzo wąską czasem specjalizację, co czyni z takich naukowców topowych ekspertów w swojej dziedzinie – mówił. – Dlatego strategicznie współpracujemy z Uniwersytetem Warszawskim, a dokładnie z Inkubatorem działającym przy tym uniwersytecie. Od kilku lat wspieramy inicjatywy uniwersyteckie, takie jak Akademia BraveCamp, w której biorą udział młodzi, zdolni, kreatywni ludzie z ciekawymi projektami, mającymi szanse w przyszłości stać się znaczącymi pomysłami na biznes, nie zawsze w naukach biologicznych. To miejsce i przestrzeń, gdzie doskonale widać młodych ludzi o absolutnie fantastycznym potencjale – dodał.

Firmy przyciągają także projekty, które realizowane są na polskich uniwersytetach.

– Współpracujemy także z Akademickim Centrum Transferu Technologii. Muszę powiedzieć, że projekty, które gromadzi PACTT, są dobrze przygotowane i dobrze zabezpieczone pod względem patentowym. Jest tam wiele ciekawych projektów, choć niestety dotąd nie udało nam się wydobyć takiego, który wpisywałby się w strategiczne obszary badawczo-rozwojowe naszej firmy – powiedział Kurzelewski. – Komercjalizacja wyników badań i odkryć naukowych w branży farmaceutycznej jest bardzo wymagająca. Stąd widzimy w tym naszą rolę, jako przedstawiciela biznesu, który może wskazać i podpowiedzieć badaczom jak się do tej komercjalizacji dobrze przygotować, aby zakończyła się ona sukcesem. Już teraz myślimy o uruchomieniu programu edukacyjnego dla naukowców dążących do komercjalizacji wyników swoich badań, który wykorzystywałby międzynarodowe doświadczenie firmy Pfizer w tym obszarze– dodał.

Zdaniem prof. Nowaka naukowcy z uczelni zatrudniani w biznesie są świetnymi pracownikami m.in. dlatego, że są z reguły bardzo dobrze wykształceni i mają krytyczny stosunek do rzeczywistości. Oznacza to, że poszukują nowych rozwiązań i z reguły nie mają awersji do ryzyka. Są zatem w stanie tworzyć nowe produkty, nowe rozwiązania i mają innowacyjne podejście do rozwiazywania codziennych problemów czy to produkcyjnych, czy też organizacyjnych.

– Rola wyższych uczelni jest także ważna dla biznesu, bo one niejako ze swej natury myślą o przyszłości. Pomagają zatem często biznesowi w kształtowaniu wyobraźni o przyszłości rozwoju kraju, jego sektorów gospodarczych i w ogóle w kształtowaniu się przyszłych rynków pracy. Można zatem powiedzieć, że uczelnie odgrywają przynajmniej podwójną rolę w gospodarce. Kształcą nowoczesne kadry, ale równocześnie prowadzą badania, które pomagają biznesowi w kształtowaniu strategii rozwoju – powiedział dziekan Wydziału Zarządzania UW.

O tym, jak ważne jest kształtowanie przyszłości, mówił także Andrzej Stanisławek, sekretarz stanu w MNiSW.

– Chciałbym, aby ministerstwo finansowało przyszłość. W życie wchodzi nowa ustawa o Funduszu Nauki Polskiej i mam nadzieję, że stamtąd popłyną pieniądze do nauki, oczywiście nie na wszystko, konieczne są konkursy. Ale teraz, w świetle ustawy 2.0, to uczelnie będą decydować, w jakich dyscyplinach będą się one rozwijać. To one będą wybierać, co ma być przyszłością nauki, Ministerstwo Nauki nie będzie tutaj niczego narzucać – powiedział. – Warto także rozważyć zmianę zasad oceny projektów, aby położyć większy nacisk na aspekty praktyczne danego rozwiązania – dodał.

Jednak jego zdaniem jednym z problemów nauki jest brak stabilności po stronie biznesu.

– Problemem jest tworzenie i rozwijanie firm rodzinnych. Wiele firm, dochodzących do pewnego poziomu, chce się sprzedawać. I to jest nasz problem – ta zmienność zaplecza dla nauki, jako że te firmy się ciągle zmieniają. Kiedy jedna przejdzie przez ten cały proces, związany z komercjalizacją projektu, znika, a pojawią się następne, które muszą się uczyć tego na nowo. Na tym tle takie duże firmy jak Samsung działają stabilizująco – powiedział. – A przecież to nie jest tak, że firmy zajmujące się komercjalizacją wyników badań wystarczą. Na świecie to jest cały łańcuch przedsiębiorstw, są przecież firmy, które oceniają możliwości sprzedaży produktu, następnie takie, które przygotowują nowe rozwiązania do produkcji. My takich firm nie mamy dużo – dodał Andrzej Stanisławek.

NA MARKĘ POLSKIEJ NAUKI MUSZĄ PRACOWAĆ WSZYSCY

Spora część tych problemów zniknęłaby, gdyby udało się wykreować markę polskiej nauki szerzej poza granicami Polski. Jednym z rozwiązań, które mogą temu posłużyć, jest lepsze wykorzystanie środków i zasobów, które już są w polskiej nauce.

– Jednym z największych problemów jest to, jak jest wykorzystywany potencjał naukowy i sprzęt w Polsce. Jest wiele badań, które się dublują, bo albo ktoś nie wie o pracach tego drugiego, albo po prostu dwóch profesorów nie może się dogadać i każdy – korzystając z różnych grantów – kupuje ten sam sprzęt, który potem wykorzystują tylko w części, ale serwisowanie dwóch takich samych urządzeń obciąża już uniwersytet – mówił Andrzej Stanisławek, wiceminister nauki.

Zapowiedział także prace nad studiami dualnymi.

– Wkrótce będziemy rozmawiać z rektorem UW na temat połączenia jednej z firm farmaceutycznych z wydziałem chemii tak, aby część pracowników tego konsorcjum mogła się

Autopromocja

eprasa.pl 273b5b4c04

kształcić, pracując. I to jest też forma przenikania się biznesu i nauki – dodał.

Ale przedstawiciele biznesu twierdzą, że ich firmy już od dawna pracują nad tym, aby marka polskiej nauki była coraz lepiej postrzegana.

– Od lat już staramy się podkreślać, że jakieś rozwiązania wychodzą z Polski – czy to pod względem produkcji, czy to myśli technicznej, czy to badań i rozwoju. Polska z perspektywy Samsunga ma doskonałą markę, co jest podkreślane przez nas w całej Europie. Choćby przez debatę, przez uczestnictwo w całej masie programów podkreślamy, że pewne rzeczy są stworzone w Polsce i w Polsce powstały – bo warto to podkreślać i warto czuć z tego powodu dumę – powiedział Olaf Krynicki, szef komunikacji Samsunga.

Także według przedstawiciela Pfizera polska nauka jest już znana.

– W branży farmaceutycznej Polska ma bardzo dobrą markę. Myślę, że czasami tego nie doceniamy, bo wydaje się, że badania kliniczne – a o nich właśnie mówię – to nie nauka. Otóż to jest nauka – powiedział Michał Kurzelewski, dyrektor medyczny Pfizera w Polsce. – To, czego nam brakuje, to innowacje takie jak nowa molekuła czy nowa terapia, które – co warto podkreślić – wcale nie są proste do odkrycia, ale są możliwe. Obecnie pracujemy nad tym, aby skupić uwagę działu badań i rozwoju globalnych struktur Pfizera na Polsce i zainteresowaniu naszych międzynarodowych struktur polską nauką. Do tego jednak potrzeba miejsca, wspólnej przestrzeni, gdzie uniwersytety pokazywałyby swoje wyniki – dodał. Taka wspólna platforma, na której te projekty mogłyby być przedstawione, stanowiłaby ogromną promocję dla Polski i potencjał dla rozwoju biotechnologii w Polsce W tym celu prowadzimy rozmowy z Polskim Ośrodkiem Rozwoju Technologii, który mógłby pełnić rolę tego typu platformy. Bo polska nauka jest dobra, ale bardzo rozproszona – dodał.

Z tezą o rozdrobnieniu polskiej nauki zgodził się prof. Alojzy Nowak.

– Zgadzam się w znacznej mierze z tym, o czym mówili panowie, że nauka polska jest w pewnym sensie rozdrobniona. Jest także zindywidualizowana. Rzeczywiście potrzeba nam większej koncentracji, podobnie jak i większych nakładów na naukę – powiedział dziekan Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego. – Ale też powinniśmy się chwalić tym, co mamy. Przecież wyniki, jakie ma prowadzony przez prof. Skarżyńskiego instytut w zakresie implantów ślimakowych, czy prowadzone w Szpitalu Bródnowskim operacje na otwartym mózgu to osiągnięcia klasy światowej. Nie wspomnę już o mojej Alma Mater, która ma światowej klasy osiągnięcia w zakresie programowania matematycznego, badań chemicznych, biologicznych i fizycznych, ale także znakomite osiągnięcia w naukach humanistycznych i społecznych. Wszystko to powinniśmy promować i prezentować na wystawach na świecie czy w ambasadach – dodał.

Forum wGospodarce.pl

PLATFORMA WYMIANY DOŚWIADCZEŃ O WPŁYWIE INWESTYCJI ZAGRANICZNYCH NA GOSPODARCZY ROZWÓJ POLSKI

Podsumowanie projektu - Lipiec 2019

PATRONAT HONOROWY:

Ministerstwo Cyfryzacji; Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju; Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii; Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej – Patronat Honorowy; Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi; Polska Agencja Inwestycji i Handlu – Grupa PFR

PARTNERZY STRATEGICZNI:

JTI; Philip Morris Polska

PARTNERZY GŁÓWNI:

McDonald's; Samsung

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

ALBA; British American Tobacco Polska; Coca-Cola; Deloitte.; GE; Google; innogy; Novartis; Pfizer; POHiD; orange; STRABAG

Więcej informacji na **www.wGospodarce.pl/sektory/forum-wgospodarce**

eprasa.pl 273b5b4c04

PL1905684596



Fot. Orlen | 50/0519/F

Orlen zmienia się w koncern chemiczny

PKN Orlen w ciągu najbliższych kilku lat stanie przed potężnymi wyzwaniami, z którymi będzie musiał sobie poradzić. Chodzi przede wszystkim o zmiany w popycie na samochody – prognozuje się wzrost udziału aut elektrycznych, a spadek spalinowych – oraz generalnie parcie ku ograniczeniu emisji CO_2. Koncern uznał więc, że musi wykorzystać znakomitą koniunkturę, aby uciec do przodu

Niecały rok temu, w czerwcu, PKN Orlen ogłosił program petrochemiczny, zakładający realizację trzech inwestycji: budowę kompleksu Pochodnych Aromatów, rozbudowę Kompleksu Olefin i rozbudowę zdolności produkcyjnych Fenolu, a wszystko to z odpowiednim zapleczem badawczo-rozwojowym.

PERSPEKTYWA 2030

Program daje perspektywę Orlenowi – jak wskazują eksperci – za 15–20 lat sprzedaż paliw spadnie. Petrochemiczna strategia wzmocni także Orlen, który stanie się bardziej odporny na wahania cen i rynku. Jak przekonują przedstawiciele lidera rynku w Polsce – przemysł petrochemiczny to niesamowita szansa dla Orlenu, dla Lotosu i dla całej gospodarki – jest jedną z najszybciej rozwijających się branż na świecie, zapotrzebowanie na jego produkty do 2030 r. ma wzrosnąć dwukrotnie.

Z prognoz firmy wynika, że popyt na produkty petrochemiczne będzie się zwiększał z powodu przyrostu liczby ludności na świecie oraz – w naszym kraju – z powodu wzrostu zamożności. Obecnie konsumujemy znacznie mniej tworzyw sztucznych niż na zachodzie Europy, ale wraz z doganianiem bogatszych krajów to się będzie zmieniać. Co ciekawe, inwestycja w produkcję tworzyw sztucznych pozwoli Orlenowi pozostać w pobliżu przemysłu samochodowego. Jak szacuje koncern, udział plastików w samochodach po 2020 r. wyniesie 25 proc. w porównaniu z 20 proc. w 2000 r. To oznacza,

eprasa.pl 273b5b4c04


Wmurowanie kamienia węgielnego pod inwestycję Anwil

że Orlen z produkcji paliw przejdzie na produkcję surowców i podzespołów do aut np. elektrycznych.

WARTOŚĆ INWESTYCJI

Program zapowiedziany przez koncern ma ogromną wartość. Wszystkie inwestycje szacowane są na ponad 8 mld zł do 2023 r. Nie byłoby łatwo zgromadzić takiej kwoty, gdyby nie rewelacyjna koniunktura. Obecnie dzięki rządowej walce z przemytem paliw wszystkie rafinerie należące do PKN Orlen pracują praktycznie pełną parą. Konsumpcja paliw, jak wynika z raportu Polskiej Izby Paliw Płynnych, w I kwartale 2019 r. była o 3 proc. wyższa niż w I kwartale 2018 r. W ub.r. koncern miał przychody na poziomie 110 mld zł, czyli o 15 proc. wyższe niż w roku ubiegłym. Zysk netto wyniósł 5,5 mld zł. Jak widać więc, są środki na inwestycje.

I pierwsze już są uruchamiane. W kwietniu br. odbyło się wmurowanie kamienia węgielnego pod budowę Centrum Badawczo-Rozwojowego PKN Orlen. Wartość tej inwestycji to ok. 184 mln zł, a jej oddanie planowane jest na przyszły rok.

BADANIA I ROZWÓJ

Centrum Badawczo-Rozwojowe to jeden z najważniejszych projektów inwestycyjnych dla przyszłości Polskiego Koncernu Naftowego. Dzięki tej inwestycji Orlen będzie mógł opracowywać nowe technologie i uzyskiwać dla nich patenty, co przyczyni się do efektywnego wydłużenia łańcucha wartości. Budowa centrum umożliwi także testowanie nowych rozwiązań i produktów technologicznych pojawiających się na rynku przed ich wprowadzeniem na instalacje. W ten sposób koncern będzie jeszcze sprawniej wdrażać nowe pomysły i innowacje do działalności produkcyjnej, odpowiadając szybko na zapotrzebowanie rynku.

Powstanie centrum będzie oznaczać także zwiększenie wydatków Orlenu na badania i rozwój. Ale te środki nie są wliczane do wydatków na całą petrochemiczną nogę koncernu. Wydatków, które według szacunków polskiej firmy zwrócą się w ciągu sześciu lat.

Nowe inwestycje pozwolą jeszcze bardziej zintegrować segmenty rafineryjny i petrochemiczny oraz w większym stopniu zdywersyfikować przychody koncernu. Jest o co powalczyć, bo szacowana, docelowa roczna EBITDA wzrośnie o 1,5 mld zł. Oznacza to szybki zwrot z inwestycji i to jest bardzo dobra informacja dla akcjonariuszy – podkreślają przedstawiciele PKN.

BEZPIECZEŃSTWO

Inwestycja w petrochemię nie tylko powiększy przychody PKN Orlen z tego źródła, ale też wpłynie na sytuację handlową Polski. Obecnie bowiem większość produktów petrochemicznych musimy sprowadzać z zagranicy. Po zakończeniu programu ta sytuacja się zmieni. Nowe produkty plasowane na rynku lokalnym zagwarantują znaczącą poprawę bilansu handlowego Polski w obszarze petrochemikaliów.

Jednak nie tylko część petrochemiczna ulegnie rozbudowie. Otóż PKN Orlen w maju rozpoczął budowę kolejnej, trzeciej linii produkcji nawozów we włocławskim Anwilu. Ma ona zwiększyć moce produkcyjne firmy o ok. 50 proc. – z 966 tys. ton nawozów do 1 461 tys. ton rocznie. Dzięki temu oferta nawozowa Anwilu poszerzy się o saletrę grubą, saletrosiarczan amonu, saletrzak z siarką i saletrzak z magnezem o ulepszonych własnościach granuli. Nakłady na ten cel to 1,3 mld zł. Ta inwestycja również powinna zaowocować poprawą bilansu handlowego kraju.

Rozbudowa zdolności produkcyjnych Anwilu umożliwi zaspokojenie rosnącego popytu na nawozy azotowe w kraju. Włocławek jest ich jedynym polskim wytwórcą, dysponującym potencjałem do zwiększenia produkcji. W ciągu trzech lat zakład zapewni polskim rolnikom dostęp do zwiększonego wolumenu krajowych produktów spełniających najwyższe światowe standardy. Będzie to element zapewniający Polsce bezpieczeństwo żywnościowe oraz ochronę rodzimego rynku przed napływem często wątpliwej jakości nawozów z importu, głównie ze Wschodu.

Włocławski Anwil będzie także miejscem, gdzie powstanie kompleks Pochodnych Aromatów. Przygotowania do uruchomienia tej inwestycji jeszcze trwają, podobnie jak w przypadku dwóch pozostałych elementów programu petrochemicznego. Koszty rozbudowy tego segmentu szacowane są na ponad 8 mld zł do 2023 r.

DRUGA NOGA

Celem tych inwestycji jest nie tyle stworzenie drugiej nogi koncernu – bo ta noga, chemiczna, już istnieje – ile jej powiększenie. Jest to tym ważniejsze, że kiedy dojdzie do przejęcia Lotosu przez PKN Orlen, jeszcze bardziej zwiększy się zależność polskiego koncernu od sytuacji na rynku paliw. A ta, co doskonale widać, zależy nie tylko od sytuacji międzynarodowej, choćby w Zatoce Perskiej, ale także od tego, czy Rosjanie przy transporcie ropy dopilnują czystości surowca. Dodatkowo jest spore powiązanie między konsumpcją paliw a wzrostem PKB, co może zbyt mocno uzależnić PKN Orlen od koniunktury. Popyt na tworzywa sztuczne czy nawozy jest mniej powiązany z koniunkturą, co sprawia, że cały koncern dzięki nowym inwestycjom zwiększy swoją stabilność.

(ms)

eprasa.pl 273b5b4c04

Koncerny stawiają na petrochemię

Imponujące inwestycje PKN Orlen w petrochemię nie są niczym wyjątkowym. Taką drogą idą wszystkie liczące się koncerny europejskie. Petrochemia to branża przyszłości, coraz ważniejsza w globalnej gospodarce



Wizualizacja Centrum Badawczego w Płocku

Rok temu płocki koncern zaprezentował program rozwoju segmentu petrochemicznego. Tylko do 2023 r. PKN Orlen wyda na petrochemię ponad 8 mld zł. To największe w historii inwestycje spółki w tej dziedzinie. Program, który będzie realizowany w tym czasie, zakłada przeprowadzenie ambitnych przedsięwzięć w Płocku i we Włocławku. Elementem wielkiego programu petrochemicznego jest m.in. budowa Centrum Badawczo-Rozwojowego w Płocku. Kontynuowane były także dotychczasowe inwestycje w petrochemię, jak budowa Instalacji Metatezy, która została sfinalizowana w kwietniu br. Pozwoli ona zwiększyć produkcję propylenu – niezbędnego przy wytwarzaniu m.in. przewodów, części samochodowych i płyt CD – do 550 tys. ton rocznie. Ruszyła też inwestycja w należącym do Orlenu Anwilu – jednym z największych w Europie producentów nawozów.

RYNEK SIĘ ZMIENIA

Inwestycje w petrochemię to znak naszych czasów. Wielkie przedsięwzięcia w tym segmencie realizują koncerny paliwowe w USA i na Bliskim Wschodzie, mające łatwy dostęp do złóż ropy, która jest podstawą przemysłu petrochemicznego. W wyścigu o ten rynek uczestniczy również Europa na czele z największymi koncernami paliwowymi naszego regionu.

Fot. Orlen | 50/0519/F

eprasa.pl 273b5b4c04

Dlaczego to robią? Ponieważ rynek zmienia się w szybkim tempie, coraz bardziej stawiając na nowe sfery działania, bardziej perspektywiczne i przynoszące duże zyski. Szczytowy okres zapotrzebowania na paliwo służące do napędzania pojazdów powoli się kończy, a to oznacza, że należy szukać nowych sposobów jego wykorzystania. Strategiczne pytanie brzmi: jak zużywając najmniej surowca, uzyskać z niego najwięcej produktów?

NOWE STRATEGIE

Skala zmian dokonujących się na rynku jest tak duża, że koncerny paliwowe modyfikują swoje strategie, by dostosować je do nowej sytuacji. Plany uaktualnili już najwięksi gracze w naszym regionie Europy – austriacki OMV i węgierski MOL.

Austriacy zrobili to w marcu 2018 r., wychodząc z założenia, że w Europie będzie malał popyt na paliwa, wzrośnie natomiast na produkty petrochemiczne. Ekspansja zagraniczna OMV ma się opierać w znacznym stopniu właśnie na petrochemii.

Podobne założenia znalazły się u podstaw zmodyfikowanej w 2016 r. strategii MOL: Węgrzy spodziewają się zmniejszenia zużycia paliw kopalnych (samochody tradycyjne w dłuższej perspektywie zostaną zastąpione przez elektryczne), w związku z tym postawili większy nacisk na petrochemię (na inwestycje w tej dziedzinie koncern chce przeznaczyć 1,9 mld dol. do 2021 r.). Zakłady MOL zwiększą produkcję artykułów petrochemicznych przeznaczonych m.in. dla przemysłu motoryzacyjnego, branży opakowaniowej i meblarskiej. – MOL to ambitny i pomysłowy gracz, chętnie wchodzący na kolejne rynki, podejmujący nowe wyzwania, niezwykle elastyczny. Węgierski koncern szybko potrafi się dostosować do warunków rynkowych, a realizowane przez niego strategie odpowiadają na zmieniające się okoliczności w sektorze gazowo-paliwowym – piszą autorzy raportu „Konsolidacja polskich firm paliwowych. Silni nie tylko w regionie", przygotowanego przez Warsaw Enterprise Institute. MOL chce się przekształcić w największy w Europie Środkowo-Wschodniej koncern chemiczny, a jego produkty mają mu zapewniać połowę wpływów ze sprzedaży.

Stosunkowo niedawno, w czerwcu 2018 r., modyfikację strategii przeprowadził również hiszpański Repsol, który duże kwoty (15 mld euro w latach 2018–2020) zainwestuje nie tylko w poszukiwania i wydobycie, lecz również (45 proc.) w rafinację i chemikalia.

Swoją strategię zaktualizował w grudniu ub.r. PKN Orlen. Poza m.in. dalszą integracją aktywów rafineryjnych, zaangażowaniem w energetykę niskoemisyjną, rozwojem sprzedaży detalicznej zakłada ona również zwiększenie produkcji petrochemicznej. Według strategii do 2030 r. rola ropy naftowej zmieni się, a popyt na produkty jej przerobu w naszym regionie będzie rósł. Strategia zakłada postępujące zmiany na rynku energii, wzrost znaczenia paliw alternatywnych, zachowanie przez ropę naftową mocnej pozycji jako surowca do produkcji paliw oraz dynamiczny rozwój produktów petrochemicznych.

ROSNĄCA SPRZEDAŻ

Koncerny inwestują miliardy w petrochemię, ponieważ jest to sektor o wyjątkowo dobrych perspektywach: według The European Chemical Industry Council wartość sprzedaży chemikaliów na całym świecie sięgnie w 2030 r. 6,3 bln euro, będzie więc prawie dwukrotnie wyższa niż w 2016 r. Produkty petrochemiczne są stosowane w opakowaniach, kosmetykach, lekach, tworzywach sztucznych, odzieży, budownictwie. Coraz więcej elementów plastikowych będzie potrzebował przemysł motoryzacyjny, którego motorem stają się pojazdy z napędem elektrycznym, znacznie lżejsze od napędzanych spalinowymi silnikami. Według danych PKN Orlen udział plastików w samochodach po 2020 r. wyniesie 25 proc. w porównaniu z 20 proc. w 2000 r.

Zmiany dokonujące się na rynku transportowym (odpowiada on za połowę globalnego zużycia ropy naftowej) to jeden z najważniejszych katalizatorów strategii branży paliwowej. Według „The Financial Times" udział ropy w transporcie będzie spadał, za to wzrośnie rola sektora petrochemicznego. Obecnie odpowiada on za 15 proc. światowego zużycia ropy, ale do 2040 r. wzrośnie nawet do 50 proc. Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej plastik i produkty petrochemiczne będą napędzały do 2050 r. popyt na ropę.

Dodatkowo petrochemia zyska w Europie nowego sojusznika, jakim będzie ropa sprowadzana na Stary Kontynent ze Stanów Zjednoczonych. Ma ona niską zawartość siarki, jakościowo jest lepsza od ropy rosyjskiej, a tym samym nadaje się znakomicie do wytwarzania produktów petrochemicznych. Dywersyfikacja dostaw surowca stwarza dla państw naszego regionu, w tym Polski, większe szanse do wejścia na nowe, perspektywiczne rynki.

KONKURENCJA NIE ŚPI

Petrochemia jest polem twardej rywalizacji między koncernami na całym świecie. Bardzo szybko, szybciej niż na Zachodzie, rośnie rynek w Europie Środkowo-Wschodniej, o którą walczą zarówno koncerny globalne, jak i spółki z Bliskiego Wschodu i Ameryki Północnej. Według PKN Orlen w latach 2018–2030 popyt na produkty petrochemiczne w naszym regionie Europy zwiększy się o 6,2 proc. (w Europie Zachodniej zaledwie o 0,2 proc.), a na produkty bardziej zaawansowane, np. PP, PET czy PVC wykorzystywane do wytwarzania opakowań, profili okiennych czy rur – o 3,6 proc. (na Zachodzie o 1,1 proc.)

Nic dziwnego, że miliardowych inwestycji dokonują główni gracze w tym regionie – MOL i OMV, a także PKN Orlen, który wykorzystuje w międzynarodowej rywalizacji swoje aktywa nie tylko w Polsce, lecz również w Czechach i na Litwie (grupa zarządza sześcioma rafineriami w tych trzech krajach). Planowana fuzja Orlenu z Grupą Lotos może jeszcze zwiększyć możliwości polskiego koncernu, ułatwiając mu zajęcie pozycji lidera petrochemicznego w naszym regionie Europy.

SK

eprasa.pl 273b5b4c04

SYLWIA MAJCHER*

Zero waste,
czyli wykwintne wcielenie głąba





„Ścisk w sercu na widok wyrzucanego jedzenia odziedziczyłam w genach. Moja babcia po swoich trudnych wojennych doświadczeniach każdy produkt darzyła niebywałym szacunkiem" – pisze we wstępie Sylwia Majcher.

Jej książka „Gotuję, nie marnuję" włącza się w coraz silniejszy na świecie trend zero waste, w którym wyrzucanie jedzenia jest zdecydowanie nie na miejscu, a umiejętność twórczego wykorzystywania resztek jak najbardziej doceniana i pożądana.

Autorka sięga po argumenty mierzone w globalnych liczbach (dane dotyczące marnowania żywności na świecie są przerażające: do śmietników trafia 1,3 mld ton żywności rocznie, w samej Polsce wyrzucamy 9 mln ton jedzenia), ale w książce przedstawia przede wszystkim sumę własnych przemyśleń i działań. Dochodzenia do świadomego, a przy tym pełnego ciekawych rozwiązań, korzystania z żywności.

Każdy składnik znaleziony w lodówce może mieć drugie życie, przekonuje Majcher. I podaje przepisy na dania z resztek. Klopsiki z chleba? A jakże. W sosie pomidorowym. Albo pudding z czerstwego pieczywa z warzywami lub quiche z białego sera i cebuli czy kotlety z łososia.

Może być też eleganckie carpaccio z... głąba kapusty. Wystarczy 10 minut, wspomniany, tak często pogardzany, kapuściany fragment. Pokrojony w cienkie plastry i ładnie ułożony na talerzu oraz polany sosem: z oliwy wymieszanej ze startym ząbkiem czosnku i sokiem z 1/2 cytryny. Na koniec oprószony pieprzem, solą oraz startym parmezanem. I udekorowany np. pestkami granatu czy malinami.

Ze startego głąba można zrobić placuszki. Wystarczy dodać jajko, 2–3 łyżki mąki, doprawić solą i pieprzem, nałożyć na rozgrzaną patelnię i podsmażyć do zrumienienia z obu stron.

W kuchni zero waste wytworną formę zyska też banalna marchewka. Podgotowana, a potem skarmelizowana na miodzie i maśle, posypana na finał sezamem i natką, staje się wykwintną przystawką.

By jednak marchewka nie trafiła na patelnię, gdy podsuszoną znajdziemy w lodówce, autorka podpowiada m.in., jak planować zakupy i przygotowanie jedzenia. Jak przechowywać produkty. Jak mrozić, kisić, pasteryzować, suszyć, a także, jak odczytywać datę ważności konkretnych pokarmów. Na każdym kroku przewija się hasło: nie wyrzucać! Bo przecież niezjedzony w odpowiednim czasie chleb też jest wartościowym składnikiem, o czym świadczy podany obok przepis.

***Jolanta** Gajda-Zadworna*

Sylwia Majcher – dziennikarka, blogerka, autorka książki „Gotuję, nie marnuję. Kuchnia zero waste po polsku"

Pudding z czerstwego pieczywa z warzywami



Anglicy do swoich puddingów wykorzystują głównie pieczywo tostowe, ale w tym wypadku lepiej nie przywiązywać się do oryginału i postawić na kreatywność. To danie nawet wyrazistemu razowemu chlebowi daje szansę. W mojej kuchni traktuję pudding jak sałatkę na ciepło. Wrzucam do niego warzywa, które mam pod ręką, i podgrzewam do pożądanej chrupkości.

Składniki: ulubione suche pieczywo, cukinia, pomidory, szpinak, cebula, czosnek, oliwa, tymianek, ser żółty lub pleśniowy, śmietana 12 lub 18 proc., jajka, sól, pieprz.

Wykonanie: Chleb pokrój na kromki. Formę do zapiekania wysmaruj oliwą. Na dnie ułóż ciasno kawałki pieczywa. Cebulę obierz i pokrój w piórka, a czosnek posiekaj. Krążki cukinii pokrój w ćwiartki, a pomidory na połówki, następnie wymieszaj z umytym szpinakiem i włóż między kromki chleba. Całość posyp piórkami cebuli i posiekanym czosnkiem. Zmiksuj trzy jajka ze szklanką śmietany, dopraw solą, pieprzem oraz tymiankiem. Masą zalej pieczywo. Posyp startym lub pokruszonym serem i zostaw na kwadrans do nasiąknięcia. Po 10 minutach rozgrzej piekarnik do 170 stopni C. Wstaw naczynie z puddingiem i piecz przez 30–35 minut do czasu, aż masa całkowicie się zetnie.

Wskazówka: Zamiast cukinii i pomidorów możesz użyć tych warzyw, które masz w lodówce. Ważne, by nie przesadzać z ich różnorodnością. Nawet trzy rodzaje wystarczą do stworzenia sycącego puddingu.

eprasa.pl 273b5b4c04

SŁODKO-SŁONY

Ach cebula

ANNA MONICKA

Gdy wspominam smaki dzieciństwa, na pierwszy plan wybija się zdecydowanie pajda chleba z GS w Wiejkowie, maźnięta masłem, z plastrem pomidora lub ogórka i cebulą. To dla mnie do dziś najlepsza kanapka, choć ani pomidory, ani ogórki nie smakują już tak jak dawniej, a porządnego chleba trzeba szukać ze świecą (ale się da – polecam Mąkę i Wodę). Tylko cebula wydaje się bez zmian. Bez niej wszystkie nasze wiosenne sałatki, zupy, twarożki byłyby mdłe.

To jedno z moich ulubionych warzyw – można je jeść na surowo, gotowane, duszone, grillowane, pieczone, można dodawać do zup i napojów warzywnych. Ostro-słodka pasuje do wszystkich mięs – od delikatnych ryb i ptaków, przez cielęcinę i jagnięcinę, polędwice i krwiste steki, po golonki. I tak jest od tysięcy lat, bo jedli ją już w starożytnych Egipcie, Grecji, Rzymie, Indiach. Tę panią znają wszyscy.

W moich dziecięcych czasach nie było wielkiego wyboru, kupowało się po prostu cebulę. Dziś jest szalotka (podłużna, delikatna w smaku), cukrówka – najlepsza do sałatek, czerwona – doskonała do śledzi i konfitury. Jest biała Aviv dobra do marynowania, są wczesne Zorza i Tęcza do twarożków, jest jędrna, soczysta i płaska cebulka do pieczenia czy marynat, jest cebula czosnkowa, są dymki i wiele, wiele innych. Wszystkie zdrowe, chroniące przed infekcjami i rozmaitymi wirusami. Do tego ładnie kwitną, a ich kwiatami można posypywać dania tak jak natką pietruszki. Zresztą wszystkie kwiaty z rodziny allium, do której należy cebula – a więc także czosnku, pora czy szczypiorku – można sobie rzucić na talerz.

Cebule mają jeszcze jedną wielką zaletę, możesz je uprawiać nawet bez pola czy ogrodu. Wystarczy parapet i donica z dobrą ziemią, żeby założyć miniplantację i mieć choćby szczypior.

Oto przepis na pieczoną cebulę, która urozmaici każdy grill, a doskonale smakuje także sama, na pieczywie. Znalazłam ją kilka lat temu w książce „Ulubione warzywa pana Wilkinsona", mieszkającego w Australii angielskiego kucharza i propagatora ruchu Slow Food, i od tej pory robię regularnie, ku uciesze znajomych.

Kroimy główki na połówki i układamy na patelni z oliwą, przekrojoną stroną do dołu. Gdy się po kilku minutach zarumienią, dodajemy ciemny cukier i lekko karmelizujemy. Podlewamy octem balsamicznym i podsmażamy, aż sos zrobi się gęsty. Dodajemy trochę masła, podlewamy ostrożnie wodą i jeszcze trochę podsmażamy. Podajemy do pieczonych mięs, warzyw albo ze świeżą bagietką.



WILCZYM OKIEM



Herbata z rączką

PRZEMYSŁAW BARSZCZ



Równie ciekawy jak to, co w środku kolorowego opakowania, jest sam pakunek. Produkty spożywcze towarzyszą nam co dnia, w ślad za nimi podążają często niezauważane opakowania. Są stałym punktem codzienności – nie da się kupić kawy, kanapki, dżemu, soku czy czekolady, bez papieru pakunkowego, paczki, etykiety, torebki czy kartonu. Jeżeli opakowania bywają przedmiotem zainteresowania, to najczęściej w kontekście segregacji odpadów. Jednak sprowadzenie papierka, butelki czy torebki wyłącznie do roli śmiecia jest nieporozumieniem. Aby zaistniały, musiała nastąpić współpraca producenta z projektantem. Niekiedy więc są jeżeli nie dziełami sztuki, to z pewnością emanacją designu.

Odkąd w 1896 r. Alfons Mucha zaprojektował ozdobne opakowanie herbatników firmy Lefèvre-Utile, nic nie jest takie samo. Zachwycające, okrągłe pudełka na ciastka, metalowe puszki z waniliowymi wafelkami, opakowania na biszkopty stały się niedoścignionymi ideałami wzornictwa. Talentu czeskiego mistrza art nouveau użyto też do reklamowania szampana Moët et Chandon, produkowanego przez zakonników likieru La Trappistine czy kakao firmy Chocolat Masson.

Ówczesna Polska nie pozostawała w tyle. Światowe trendy, aby reklama była dźwignią handlu, szybko znalazły zrozumienie. Dla produktów spożywczych wymyślano najpiękniejsze opakowania. W pierwszej dekadzie ubiegłego wieku Henryk Uziembło, twórca znakomitych projektów wnętrz, witraży, plakatów czy logotypów, stworzył dla fabryki czekolady Jana Michalika projekt opakowania Czekolady Podhalańskiej Śmietankowej. W latach 30. XX w. Franciszek Seifert zaprojektował dla przedsiębiorcy Juliusza Grosse stylowe etykiety na wino, a także puszki na słynną „Herbatę z rączką", której zwyczajowa nazwa wzięła się właśnie od ideogramu dłoni, umieszczanego przez projektanta na opakowaniu.

Kiedy w latach 80. XX w. niedobory dotknęły każdej dziedziny przemysłu, niezwykle trudno dostępna czekolada pakowana była w tzw. opakowanie zastępcze. Jakość papieru mogła wpędzić w depresję, a kolor nadruku za sprawą stopnia burości nie przypominał żadnego ze spektrum znanych barw; o zawartości nie warto przypominać. Jeden element w czekoladzie popularnej śmietankowej Wedla pozostał bezbłędny – projekt graficzny opakowania.

Fot. Shutterstock, Muzeum Narodowe w Krakowie

eprasa.pl 273b5b4c04

Rabunek zaczyna się od słów



Na początku jest słowo. Słowa kształtują i zmieniają rzeczywistość. Na dobre, ale i na złe. Za komuny „bezpieczeństwo" znaczyło śmiertelne zagrożenie, a „wydarzenia" oznaczały masakrę niewinnych. Dziś „tolerancja" oznacza terror nietolerancji, a „prawa człowieka" zawierają w sobie pozwolenie na mordowanie najsłabszych. Niestety – po raz kolejny – dajemy sobie narzucić słowa, które zniekształcają rzeczywistość, prawdę zmieniają w kłamstwo.

Pomysł amerykańskich organizacji lobbingowo-biznesowych, by zmusić Polskę do podarowania im setek miliardów dolarów za to, że polscy obywatele zostali zamordowani przez Niemców, jest chyba najśmielszą próbą wyłudzenia w historii świata. Jednak my sami, którzy jesteśmy tym brawurowym manewrem zagrożeni, mówimy o „restytucji mienia", „zwrocie mienia bezspadkowego".

Słowo „restytucja" oznacza przywrócenie dawnego stanu, restytucja mienia oznacza zwrot. Dając sobie narzucić ten termin dla opisania problemu wyłudzenia, już częściowo się na owo wyłudzenie zgadzamy. Jaki „dawny stan" mielibyśmy przywracać? Co mianowicie Polska zabrała amerykańskim organizacjom, by miała im to zwracać? Co Polska miałaby zwracać Ameryce w zamian za kompletny brak reakcji na polskie raporty o mordowaniu polskich obywateli przez Niemców i daremne błagania mocarstwa o pomoc?

Podczas Holokaustu ani prezydent USA, ani amerykańscy Żydzi nie przyjmowali do wiadomości raportów polskiego państwa, że w Polsce Niemcy masowo mordują polskich Żydów. Nie zaprzeczali polskim alarmistycznym raportom, ale – jak rzekł naczelny rabin USA w rozmowie z wysłannikiem polskiego rządu Janem Karskim – „nie byli w stanie przyjąć ich do wiadomości". Nie było to wygodne, bo etyka kazałaby działać. Więc fakty w amerykańskich duszach zagłuszano. Ale warto też przypomnieć, że w 1939 r. amerykańscy Żydzi mocno zabiegali, by statek „St. Louis" pełen Żydów niemieckich uciekających przed prześladowaniami i nadchodzącą niemiecką machiną zbrodni – odesłać do Europy. Prezydent USA Franklin Delano Roosevelt odrzucił prośbę uchodźców o ratunek i uznał Żydów za „element niepożądany". Stany Zjednoczone statku „St. Louis" nie wpuściły do amerykańskich portów, kanonierki USA, pod groźbą zbombardowania, zmusiły go do opuszczenie amerykańskich wód terytorialnych. Pełen przerażonych i szukających schronienia Żydów statek „St. Louis" wrócił do zagrożonej przez Niemców Europy, wkrótce potem większość jego pasażerów Niemcy zamordowali w komorach gazowych. W tym samym czasie setki tysięcy Polaków narażały życie własne i swoich dzieci, by ocalić sąsiadów przed niemieckim prawem zabijania Żydów i wszystkich, którzy niosą im pomoc. Dziś niektórzy obywatele USA, niebędący spadkobiercami pomordowanych, chcą, by Rzeczpospolita Polska zapłaciła im haracz kilkuset miliardów dolarów za niemieckie zbrodnie dokonane na Polakach wyznania mojżeszowego.

Jak odpowiedzieć na taką hucpę? Proponuję, by Reduta Dobrego Imienia zebrała 100 tys. podpisów i złożyła w polskim Sejmie obywatelski projekt ustawy PRAWO (od słów Polska Restytucja Amerykańskiej Własności Ofiar) i zażądała wystąpienia Polski do rządu USA o restytucję, czyli „zwrot", Reducie Dobrego Imienia 14 bln dol. jako rekompensaty za przejęte przez USA bezspadkowe mienie amerykańskich Indian. Reduta Dobrego Imienia będzie się zajmować upamiętnieniem kultury Indian i żądać zwrotu mienia Indian przejętego przez białych osadników oraz rząd USA. W przeciwieństwie do Polaków, którzy Żydów w Polsce przyjęli i przez kilkaset lat na swej ziemi kilkadziesiąt milionów Żydów gościli, Amerykanie Indian z ich własnej zmieni przegonili, wyparli, pozamykali w rezerwatach, wielu wymordowali. Zatem moralnie i prawnie polska ustawa PRAWO będzie o wiele bardziej właściwa i godna wyegzekwowania niż amerykańska ustawa JUST 447, na mocy której amerykańscy spryciarze próbują ograbić Polskę. Wierzę, że polski parlament przyjmie ustawę PRAWO – podobnie jak amerykański kongres ustawę JUST 447 – przez aklamację. I będziemy czekać – jeśli rząd USA polską ustawę PRAWO zrealizuje, wtedy możemy rozważyć działanie podobne.

Tylko takie myślenie i taka lub podobna „narracja" stanowią dziś polską rację stanu. Iluś zakompleksionych, zgiętych w permanentnym pokłonie i wystraszonych Polaków może ulec presji i błagać o wybaczenie niepopełnionych win. Ale po to jest elita, by w obronie strachliwych stawić czoła agresorom. Zamiast agresji militarnej mamy dziś agresję kulturową, polityczną i finansową. Nie tak krwawą, ale w niszczeniu narodu i państwa, w niszczeniu przyszłości Polaków – może jeszcze skuteczniejszą.

Skłamane słowo niszczy jako pierwsze. Więc nie „restytucja", nie żaden „zwrot", ale „próba grabieży mienia bezspadkowego" – tylko tak mówmy o tej agresji.

Maciej Pawlicki

Autopromocja

eprasa.pl 273b5b4c04

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



HOŁDYŃSKA • JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • BAREŁKOWSKI • BIEDROŃ • FIJOŁEK • KARNOWSKI • KARNOWSKI • MAJEWSKI • OTOKA-FRĄCKIEWICZ • PYZA • WIKŁO • WOLNY

OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox | **121** dekodery KAON i Horizon

orange — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Katolicy do Senatu


www.wojciechreszczynski.pl

Opozycji nie tyle chodzi o zwycięstwo wyborcze do Sejmu, ile o opanowanie Senatu, dzięki któremu możliwa jest blokada izby niższej i prerogatyw prezydenta

Satysfakcję z wyników wyborów do europarlamentu wspiera frustracja totalnej opozycji, nie tyle brutalnych, zadufanych w sobie polityków tego obozu, ile całego wspierającego go establishmentu, który zwykłem nazywać „lumpenelitą", słowem spopularyzowanym przez nieodżałowaną wielką polską socjolog prof. Annę Pawełczyńską.

Ich brak zrozumienia, czym jest ich Polska, kim są ich Polacy, polski Kościół katolicki, wiara, tradycja itp., itd., ich stopień wyobcowania z polskości, a także bardzo często spotykany u nich brak osobistej kultury, dobrego wychowania i to zaciekłe polityczne zacietrzewienie, wszystko to doprowadziło do niespotykanej po 1989 r. mobilizacji wyborczej przyzwoitych Polaków, „wolnych elektronów" (frekwencja 45,68 proc.), co przełożyło się na klęskę antypatriotycznej zjednoczonej lewicy i postkomuny. Ludzie mieli już tego wszystkiego dość.

Powtórzyła się jakby sytuacja z czerwca 1989 r. Polacy zadali wtedy komunistom pierwszy celny wyborczy cios, po którym niemożliwe już było odbudowanie ich dominującej, monopolistycznej pozycji w państwie.

Ale po 30 latach proces budowy społeczeństwa demokratycznego, pluralistycznego i zgodnego z tym, co można nazwać, pamiętając o naszych wieszczach, „duchem polskości", nadal nie jest łatwy. Stąd dzięki wciąż silnym w Polsce postkomunistycznym, lewicowym (bolszewickim) formacjom, agenturze i agenturze wpływu, obecnym politykom Platformy Obywatelskiej, odwołującym się dawniej do etosu Solidarności, możliwy jest wybór do europarlamentu dawnych komunistów (Miller, Cimoszewicz).

Wraz ze zbliżającymi się jesiennymi wyborami do parlamentu nastąpi eskalacja napięcia politycznego, ale bogatsi o ostatnie pozytywne zachowanie wyborców możemy mieć pewność, że decyzje będą racjonalne.

Donald Tusk mówił o stworzeniu wspólnej listy wyborczej do Senatu RP. Tydzień temu to samo powtórzył Władysław Kosiniak-Kamysz z PSL. Nie tyle więc chodzi o zwycięstwo wyborcze do Sejmu, ile o opanowanie Senatu, dzięki któremu możliwa jest blokada, destrukcja zarówno izby niższej, jak i prerogatyw prezydenta, oczywiście pod warunkiem że PiS nie będzie dysponowało większością 2/3 głosów w Sejmie.

Pomysł wcale nie nowy, tyko trochę przypominający nam to, co było 30 lat temu. W 1989 r. Solidarność, a w zasadzie Komitet Obywatelski, wynegocjował z komunistami częściowo wolne wybory do Sejmu i całkowicie wolne wybory do Senatu. I tylko pomysł na Senat okazał się trafiony, gdyż na 100 senatorów wybieranych w 49 okręgach wyborczych aż 99 reprezentowało Solidarność. Wolne wybory do Senatu potwierdziły, jakie są oczekiwania polskiego społeczeństwa i to, że możliwe jest zgłaszanie dowolnych, swoich kandydatów przez co najmniej 3 tys. wyborców. Senat okazał się politycznie jednorodny, co nie znaczy, że wśród senatorów nie znaleźli się tajni współpracownicy SB.

Obecna ordynacja do Senatu jeszcze bardziej sprzyja swobodnemu wyborowi senatorów, bo w 100 jednomandatowych okręgach wyborczych zgłaszanych przez 2 tys. wyborców. Każdy komitet wyborczy może zgłosić tylko jednego kandydata w jednym okręgu wyborczym. Wyborca oddaje głos tylko na jednego kandydata, a mandat uzyskuje ten, kto otrzymał największą liczbę głosów. Prosta ordynacja wyborcza zachęca do rywalizacji zarówno obywateli zainteresowanych wejściem w politykę, jak i partie polityczne czy ad hoc powoływane przez komitety wyborcze. Nie bez znaczenia będą więc pieniądze przeznaczone na kampanię wyborczą, która, aby była skuteczna, musi być niezwykle intensywna i zorganizowana. Dlatego do wyborów do Senatu staną najprawdopodobniej wszystkie partie polityczne osobno, a także tworzone na nowo, czy też całkowicie wolne, jak postulowane komitety wyborcze – Katolicy do Senatu.

Zwycięstwo w wyborach do Senatu w 1989 r. polegało na wystawieniu jednej listy kandydatów wspieranych osobiście przez Lecha Wałęsę. To była wtedy ta drużyna Solidarności, w opozycji do komunistów, którą należało wspierać, i to się wtedy udało. Dziś Donald Tusk i Kosiniak-Kamysz chcą powtórzyć ten „numer", ale jest on zbyt banalny, nie o to chodzi.

Polacy zorganizują się tak samo skutecznie jak wtedy, w 1989 r., kiedy wystąpią wraz PiS pod hasłem: Katolicy do Senatu. To sposób na zatrzymanie kolejnej, tym razem kulturowej rewolucji wymierzonej w polski naród, polski Kościół katolicki, naszą tradycyjną wiarę i dobre obyczaje. Będzie to też gwarancja wsparcia dla reform obozu dobrej zmiany.

eprasa.pl 273b5b4c04

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Zanim wbijecie się w dumę



Witold Gadowski

Kiedy naciskają, opieraj się, ile możesz, kiedy cię kupują, zamknij oczy i zatkaj uszy, kiedy dają ci władzę, obejrzyj się za siebie. To proste zasady, których nauczyła mnie moja babcia, żona przedwojennego oficera i sybiraczka. Jej słowa idą ze mną przez całe życie.

Pierwsza kadencja PiS, obok ciężko pracujących i ideowych ludzi, wyhodowała sobie całe zastępy służalczych miernot i potakiwaczy. Teraz, kiedy nastąpił kolejny triumf, warto władzy przypomnieć, dzięki komu są tam, gdzie są. To nie miernoty i tchórze dali wam władzę!

Do władzy wynieśli was odważni ludzie, którzy zdobyli się na bunt i powiedzieli: „Nie!" Republice Okrągłego Stołu. Zwykli Polacy, którym w sercu dudni ojczyzna i jej sprawy. Takich ludzi nie można oszukiwać, nie można ich zwodzić piarowskimi sztuczkami. Dostaliście w ręce nasz wspólny skarb – Polskę. Jeśli nas zawiedziecie, zemści się to na was. Nadchodzi czas walki, nie będzie już ani łatwo, ani przyjemnie. Także z nami – waszymi wyborcami – nie będziecie mieli łatwo.

Dostaniecie drugą kadencję, ale w tym czasie nie będzie już wymówek, że czegoś nie zdążyliście zrobić, że opór sił zewnętrznych był zbyt wielki. Polska już dłużej nie może być państwem byle jakim, należy w niej naprawić bardzo wiele. Trzeba stworzyć wreszcie sensowną doktrynę polityki zagranicznej, zabrać się do ubezpieczeń społecznych i służby zdrowia, dokończyć reformę edukacji, realnie przebudować armię i – co fundamentalne – wykrzesać wreszcie możliwości rozwijania prawdziwie polskiej produkcji.

Jednocześnie trzeba postawić tamę homopolityce, pod żadnym pozorem nie przyjmować euro, zacząć wreszcie ścigać polityków, którzy z rozkradania mienia publicznego uczynili sobie sposób na życie (à propos, co dzieje się z senatorem Kogutem i aferą, przez którą odszedł w niebyt?!), promować prawdziwie polskie rozwiązania techniczne (choćby system SENT z Instytutu Łączności).

Jeśli damy wam drugą kadencję, to nie będzie ona czasem odpoczynku, przeciwnie – wszystko, czego teraz nie udało się wam dokonać, trzeba będzie przeprowadzić już w pierwszym roku po jesiennych wyborach. Dlatego dobrze się zastanówcie: czy jesteście gotowi do twardej walki (także z obcymi roszczeniami majątkowymi), budowania polskiej siły i głosu w świecie?

Osobnymi sprawami są kultura i media – tu jak dotychczas nie osiągnęliście prawie nic. Pora to radykalnie zmienić.

Wartość bojowa Polaków



Lech Makowiecki

Jakakolwiek dyskusja na temat zwiększenia tzw. wartości bojowej Polaków (przez popularyzowanie sportów walki, podnoszenie umiejętności strzeleckich społeczeństwa czy promowanie męskiego surwiwalu) jest natychmiast pacyfikowana przez mainstream jako „mowa nienawiści" i „podżeganie do przemocy". Mamy być mili, uśmiechnięci i łagodni – a nikomu nie stanie się krzywda. Nadopiekuńcze mamuśki masowo zwalniają swe pociechy z lekcji wf., zakazują kupowania chłopcom atrap pistoletów czy karabinów, a popularne niegdyś zabawy w wojnę tępią w zarodku jako „kodowanie przemocy".

Legendarna waleczność i rycerskość Polaków odchodzi do lamusa. Niegdyś w każdym dworze wisiała na ścianie broń biała i palna, a umiejętność posługiwania się orężem przekazywano z ojca na syna. Lwowskie Orlęta czy harcerze z Szarych Szeregów mieli w sobie więcej zadziorności i wojskowej wiedzy niż większość współczesnych metroseksualnych młodzieńców. Kraj, w którym bić się potrafi tylko stadionowy chuligan lub żołnierz najemny, nie jest krajem demokratycznym ani bezpiecznym. Od bandytów trudno wymagać rycerskości i działań pro publico bono. W profesjonalnej armii też nie wszyscy traktują swą pracę jak misję; w przypadku prawdziwego zagrożenia wielu „najemników" zacznie kalkulować, czy warto umierać za żołd. Namiastką ochotniczego zaciągu miały być Wojska Obrony Terytorialnej składające się z patriotycznych pasjonatów wojskowości. Dochodzą już słuchy, że i tak mizerna (jak na 38-milionową populację) docelowa liczba 50 tys. rekrutów WOT będzie ograniczona do 30 tys. Komu dziś przeszkadza waleczny i dobrze wyszkolony Polak?

Rotmistrz Pilecki (rozważany do wyniesienia na ołtarze) był właścicielem majątku, człowiekiem utalentowanym (malarstwo, poezja), społecznikiem i wielkim polskim patriotą. Jak większość ówczesnych elit za swój obywatelski obowiązek uważał udział w regularnych szkoleniach wojskowych. I to zaowocowało, gdy nadszedł czas próby.

eprasa.pl 273b5b4c04

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Potęga wiary



Aleksander Nalaskowski

Problem wyborów do Parlamentu Europejskiego uważam za odfajkowany. Była kampania, były wybory, była dobra frekwencja – game, set, match. Czekam na jesień. Niewątpliwą winą i długotrwałym odorem pozostanie „zasługa" Schetyny w przemyceniu na powrót do polityki starych, zagorzałych komunistów. Chodzi tu głównie o Millera, a zwłaszcza o Cimoszewicza. Pezetpeerowscy aparatczycy zostali wskrzeszeni przez gościa z historią w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, faceta z Wrocławia, którego kolegów w stanie wojennym gnębili i pałowali kumple dzisiejszych koalicjantów. Tak już trzecią dekadę odbija się nam smrodliwą czkawką „gruba kreska" i jej pochodne.

Gdzieś, wśród takich spraw i refleksji, w zgiełku kampanii i w triumfalnych powyborczych okrzykach, brawach, skandowaniach, przemknął przez internet filmik, a nade wszystko informacja o święceniach kapłańskich udzielonych młodemu orioniście w szpitalu. Za zgodą papieża lokalny biskup wyświęcił chorego terminalnie Michała Łosa leżącego na oddziale onkologicznym w Warszawie. Leżący na szpitalnym łóżku, niemal pozbawiony sił kleryk został kapłanem. Nie w katedrze podczas wielkiej dorocznej uroczystości, nie w obecności setek wiernych, ale w szpitalu.

Oglądając minireportaż, nie tylko się wzruszyłem, lecz nade wszystko byłem niemal wstrząśnięty tym, co pokazano. To naprawdę niepojęte i –nie waham się powiedzieć – wielkie.

Któż z nas bowiem, leżąc w ciężkim (boję się użyć słowa bardziej adekwatnego) stanie, wiedząc o postępującej agresywnej chorobie, myślałby jeszcze o niesfinalizowanym doktoracie, nieukończonej budowie czy innych sprawach ważnych dla ludzi zdrowych i pełnych życia? Jakże wielka musi być wiara tego młodego człowieka, jakże silna miłość do Boga i pragnienie kapłaństwa, aby w takiej sytuacji o nich myśleć? Życie za boskim przyzwoleniem dało odpowiedź i podpowiedź, gdzie jest nasz Kościół i w jakich przestrzeniach jest on mocny, trwały i wieczny. To właśnie ten Kościół, z którym przetrwaliśmy zabory, wojny, komunizm. To ci kapłani, których próbuje się wyszydzić, wrzucając do jednego worka ze zboczeńcami, homoseksualistami zainteresowanymi młodymi chłopcami. Ani „Wyborcza", ani pajacowaty Biedroń, ani Obirek nie są w stanie go pokonać. Jest dla nich bowiem niedostępny.

Śmiem twierdzić, że ostanie wybory były rodzajem referendum w sprawie wiary i Kościoła w Polsce

W oku propagandowego antyklerykalnego cyklonu medialnego byłem na Podlasiu. Niedzielny kościół był jak zwykle pełen, a ludzie rozmodleni, odświętnie ubrani i jakby z innego świata niż ten pokazywany „z troską" przez TVN. W wiosce, w której bywam od 40 lat, przez cały maj mieszkańcy sami odprawiają majowe nabożeństwo „przy figurze". Tam też ci, którym chciał tak usłużnie pomóc Sekielski czy Smarzowski, dostali 2,5 proc. głosów.

Mój uniwersytecki kolega prof. Andrzej Zybertowicz powiedział w jakimś programie, że to antyklerykalne paliwo ma mocno limitowaną skuteczność polityczną. I to się potwierdziło. Zapatrzony w kapłana wyświęconego na oddziale onkologicznym lud tylko na chwilę odwrócił głowę tam, gdzie wrzask, mainstream i antykościelna propaganda. Wzruszył ramionami i poszedł dalej swoją drogą do Boga. Bo Kościół nie jest z tego świata, a zwłaszcza nie ze świata tych, którzy tak sromotnie przegrali wybory. Nie jest też ze świata tych, którzy sami wyrzekli się Boga i swojego kapłaństwa, idąc w stronę zboczeń i sprzyjania chorej chuci. W tym momencie przestali być księżmi i członkami wspólnoty wiernych. Byli zwykłymi przebierańcami. I w takim sensie mogę powiedzieć, że obchodzą nas tyle samo, co inni kryminaliści. To już nie byli księża, to byli najzwyklejsi, niewierzący zboczeńcy. Bo nasi księża do końca życia, do ostatniego oddechu pragną kapłaństwa i tego szczególnego udziału we wspólnocie wiernych. To jest właśnie dziedzictwo ojca Kolbego, księdza Frelichowskiego, młodego księdza Wojtyły czy Jana Pawła II, to nauki mądrego kardynała Ratzingera i Benedykta XVI, ale też tysięcy innych kapłanów, których oczami wyobraźni można było zobaczyć przy łóżku słabego fizycznie, ale potężnego duchem młodego orionisty.

Śmiem twierdzić, że ostanie wybory były rodzajem referendum w sprawie wiary i Kościoła w Polsce. Smarzowscy, Jażdżewscy, Mieszkowscy, Scheuringi, Sekielscy, Biedronie, Nowickie czy Lemańscy, Sowy razem z truchłem Palikota odbili się od nas jak od ściany, zobaczyli swoje miejsce w szeregu, nie dostali żadnej żółtej ani czerwonej kartki, bo to zbyt wyrafinowane symbole. Dostali zwykłego, krzepkiego kopa i usłyszeli zdecydowane: „Won!". Ale nie triumfujmy. Po prostu módlmy się za nich, bo naprawdę nie wiedzą, co czynią. Módlmy się za nich przy łóżku dzielnego księdza.

eprasa.pl 273b5b4c04

PRZEZ ŚWIETLIK

Gazeta chichów



Wiktor Świetlik

Ponieważ w wakacje zamierzam przejść się po armeńskich górach, zajrzałem na rozmaite strony internetowe, gdzie mogę wejść, by przy moich skromnych raczej umiejętnościach mieć sporą dozę pewności, że zejdę żywy. Odkryłem tam niebezpieczeństwo, którego sobie wcześniej nie uświadamiałem. Psy pasterskie. Biegają one całymi watahami przez nikogo niepilnowane. Są łaskawe dla owiec i okrutne dla wilków, ale niestety zdarza się, że też dla ludzi. Z tego, co zauważyłem, w moim pobliskim parku niektórzy ludzie wyprowadzają zwierzę podobne do niedźwiedzia, które nazywa się owczarek kaukaski. Tu odrobina edukacji, drogi Watsonie. Skoro na Podhalu owiec pilnuje owczarek podhalański, to na Kaukazie zapewne czyni to owczarek kaukaski. W dodatku bez łańcucha, kagańca, przez nikogo niepilnowany, do tego z licznymi kolegami. Na wypadek takiego spotkania zacząłem sprawdzać, co można zrobić, by nie umrzeć ze strachu, i odkryłem gwizdki na psy. To elektroniczne urządzenie, które wysyła dźwięk niesłyszalny dla człowieka, za to bardzo nieprzyjemny dla psa. Nie robi mu krzywdy, ale zachęca do tego, by poszedł sobie gdzie indziej. Kapitalna sprawa. Myślę, że takie gwizdki przydałyby się też na niektórych ludzi.

Chętnie gwizdnąłbym choćby na dziennikarzy „Gazety Wyborczej", którzy w ramach walki o tolerancję i równość wsiedli na ks. Sławomira Marka z dolnośląskich Stanowic. Duchowny pewnego razu, gdy nazywano go „potencjalnym pedofilem" (ze względu na sutannę), odparł jakiejś pani, że ona jest potencjalną prostytutką. Logiczne i prawdziwe, podobnie jak każdy z nas ludzi jest potencjalnym mordercą – jesteśmy w stanie zamordować, mamy niezbędne środki, ręce, nogi, umiejętność używania narzędzi, ale tylko w przypadku niektórych, nielicznej mniejszości, potencjał się zrealizuje. Domyślacie się, co spadło na księdza.

Teraz wrocławska „Gazeta Wyborcza" wysłała na straszną wieś, gdzie wspomniany duchowny urzęduje, reportera. Wygrało tam PiS, ludzie głosują głównie po porannej mszy świętej, z „Wyborczą" niechętnie rozmawiają. Właściwie to świat zombie. Dobrze, że reporterka nie spędziła tam więcej czasu, bo wątpliwe, czy by przeżyła. Kojarzycie „Krainę chichów" Jonathana Carrolla, gdzie życiorysy wszystkich ludzi w odciętym miasteczku zostały zaprojektowane przez pisarza? Tak całe życie Stanowic zaprojektował ksiądz Sławomir. Tak jak w „Krainie chichów" nikt się z tym nie może zdradzić obcym. No bo tej sceny chyba Carroll by się nie powstydził: „Faktycznie w lokalu pusto, wokół też. Po długim oczekiwaniu pojawiają się w końcu dwie osoby. Matka i syn. Nie chcą jednak rozmawiać. – Miło nam, że się pani nami zainteresowała, ale my wolelibyśmy się nie wypowiadać – mówi kobieta. Bardzo poruszeni i wyraźnie niechętni dziennikarzowi odchodzą. Odwracają się jednak i mniej więcej 40-letni syn pyta mnie, czy ja pisałam tak źle o ich księdzu. Matka łapie go jednak za rękaw i ciągnie z powrotem. – Mówię ci, zostaw – słyszę teatralny szept".

Odlot. No i co? Czyż nie przydałby się taki gwizdek? To pacyfistyczne urządzenie, krzywdy nikomu nie robi. Stanowice miałyby spokój, a koledzy redaktorzy może by się zajęli czymś, co zdaje się rzadko im się ostatnio zdarza – czymś pożytecznym.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA





45/0519/F

eprasa.pl 273b5b4c04



Aktor zbiorowy i elity

(zapiski okołorocznicowe)

Czy ten aktor zbiorowy, który ujawnił duchowe motywacje i poczucie podmiotowości, da się przekupić programem imitacyjnym?

JAN POSPIESZALSKI

Start z listy Koalicji Obywatelskiej dawnych dygnitarzy PZPR, m.in. Leszka Millera i Włodzimierza Cimoszewicza, a obok nich działaczy antykomunistycznej opozycji: Róży Thun czy Andrzeja Halickiego, pokazał, jak trwałe jest okrągłostołowe porozumienie elit.

Choć wielu zdumiewał ten „egzotyczny sojusz", spoiwem pozornie odległych ideowo i biograficznie środowisk jest głębokie poczucie misji, jaką ma być odzyskanie Polski z rąk PiS, przywrócenie „spokoju nad Wisłą". Te plany jednak pokrzyżował „lud" (jak mówią na salonach), „niepełnowartościowy elektorat". Dziś, tak samo jak 40 lat temu podczas pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski i 30 lat temu w dniach czerwcowych wyborów 1989 r., mamy do czynienia z gwałtownym wtargnięciem na scenę dziejów aktora zbiorowego – zwykłych Polaków. To nie wąskie elity władzy, a naród – społeczeństwo – obywatele – wspólnota – wybija się na podmiotowość i decyduje o przełożeniu zwrotnicy, po której jedzie pociąg historii.

Ten aktor zbiorowy to ogromne rzesze wiernych (i tych, którzy tę wierność uświadamiali sobie po latach nieobecności w Kościele) na mszach świętych odprawianych przez Jana Pawła II w czerwcu 1979 r. Było to niezwykłe doświadczenie wspólnoty wartości. „Myśmy się policzyli, ze zdumieniem przekonując się, że jest nas aż tak wielu. Zobaczyliśmy siebie lepszymi, niż sami o sobie myśleliśmy" – to słowa uczestników owych uroczystości. Wszyscy przypominają słynne wołanie o zstąpienie Ducha Świętego, ale zanim Jan Paweł II wezwał Ducha Świętego, odwołał się do historii, mówiąc: „...ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja, Jan Paweł II papież, wołam z całej głębi tego tysiąclecia (...) wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój...".

Jak to rozumieć? Po pierwsze, jestem jednym z was, zobaczcie, rodacy, nie jesteście tacy do niczego. Po drugie, głębia tysiąclecia to zasoby, które dają siłę i mandat do bycia dumnym, to jest zasób, z którego on, papież, czerpie, będąc w tym miejscu, gdzie go postawiła Opatrzność. I te ogromne duchowe aktywa są też naszym udziałem. Z nich mamy brać mądrość, siłę, inspiracje. Po trzecie, „wołam wraz z wami wszystkimi" oznacza, że on za nas tego nie zrobi. To my wszyscy (wraz z papieżem) odpowiadamy za odnowę „tej ziemi". Po kilkunastu miesiącach wybucha Solidarność.

Nie zgadzam się z tezą, że wybory 1989 r. były momentem podzielenia się przez komunistów władzą z ich agenturą. (Lech i Jarosław Kaczyńscy nie byli agentami!). Były etapem procesu, który elity zaprogramowały po swojemu, ale znów aktor zbiorowy wkracza na scenę i zachowuje się najlepiej, jak może. Wykorzystując w stu procentach daną szansę (wybory do Senatu – odrzucenie listy krajowej). W uchylonym okienku możliwości zwykli Polacy, wbrew woli „elit", poszli na maksa! I nie zawiedli. Można snuć długie dywagacje, jak proces zmian, na które liczyli Polacy, został zablokowany przez „nocną zmianę", jaką sinusoidą Polacy próbowali dokończyć niepodległościową kontrrewolucję Solidarności... Jak model transformacji przyjęty przez elity III RP uczynił z Polski kraj neokolonialny.

W maju 2015 r. aktor zbiorowy kolejny raz wkracza na scenę: Andrzej Duda wygrywa z prezydentem Komorowskim i otwiera serię wygranych wyborów. Znów elity są zdziwione, bo ludzie zagłosowali nie tak, jak się spodziewano.

Od tego momentu trwa szok elit, które nie potrafią się znaleźć w nowej sytuacji. Odreagowują frustracje przemysłem pogardy (wersja 3.0) Trwa mobilizacja, rzucone są wszystkie siły i co? 26 maja zwykli Polacy potwierdzili swój wybór z 2015 r. Rekordowa frekwencja i rekordowe zwycięstwo, które dzieje się za sprawą tych wzgardzonych przez salon.

Na koniec pytania zasadnicze. Czy odpowiedzią na aspiracje wspólnoty, która w tych przełomowych momentach historii tak odważnie upomniała się o podmiotowość, ma być program, który ostatnio coraz głośniej wyraża obóz władzy – „Dogonić Niemców w dobrobycie"? Czy to nie jest nowa wersja „ciepłej wody w kranie"? Czy ten aktor zbiorowy, który ujawnił duchowe motywacje i poczucie podmiotowości, da się przekupić programem imitacyjnym?

eprasa.pl 273b5b4c04

Tajemnice szatni po meczu



Jerzy Jachowicz

Gdy na powłóczących z wyczerpania nogach zawodnicy wchodzili do szatni, mijali się w korytarzu z juniorami klubu, wynoszącymi w milczeniu kartony z butelkami szampana. Jako ostatni wszedł trener z błąkającym się uśmieszkiem na twarzy, ukazującym nieskazitelną biel świeżo wstawionego uzębienia. Jego zadowolona minka była mało zrozumiała dla większości obolałych psychicznie graczy.

– Cieszę się, że nie zawiodłem waszych oczekiwań i byłem z wami do końca, choć stałem tylko przy bocznej linii – rozpoczął. – I pozostanę nadal. To wam obiecuję. Wynik jak wynik – odniósł się bezpośrednio do zakończonego przed chwilą meczu. – Porażka siedem do zera to jeszcze nie koniec świata. Bywają gorsze. Mamy przecież też osiągnięcia. Naszym sukcesem samym w sobie jest to, że stworzyliśmy drużynę. Jeszcze większym, że zostałem jej trenerem. To są te fundamenty. Drużyna i taki trener jak ja. Możemy na nich śmiało budować wspólną przyszłość. Mnie znacie dobrze. Ze skromności nie będę się rozwodził o swoich wszystkich zaletach. Na wszelki wypadek wspomnę tylko o jednej. Wszystkich darzę miłością. Przez całe życie przyświeca mi też zasada, by nikogo i niczego nie skrzywdzić. Jak mawiał Ilia Erenburg w „Lejzorku Rojtszwańcu": „Nie zadeptać nawet źdźbła trawki". Taki już po prostu jestem – zamknął osobisty wątek, by otworzyć nowy.

– Mamy też świetną drużynę skupiającą graczy o pełnych różnorodności stylach gry i technikach operowania piłką. Ekipę zgraną. Zawodnicy, którzy uzupełnili od niedawna skład drużyny, zdecydowanie wzmocnili całą lewą stronę, która wcześniej była naszą słabością. Może jeszcze niektórzy z nich zbyt dużo się kiwają, mając we krwi indywidualne popisy. Wkrótce jednak zamierzam wyeliminować z ich poczynań te niedobre skłonności – zapowiedział.

W tym momencie w drzwiach stanął zdyszany jeden z juniorów. – Panie trenerze, w sekretariacie leży odłożona słuchawka. Dzwoni ten konsultant z Brukseli. Wrzeszczy, że to już jego trzeci telefon po meczu.

CO MNIE RADUJE

Dzień Matki



Katarzyna Łaniewska

W tym roku 26 maja – Dzień Matki, a do tego niedziela i piękna pogoda. Także dzień niezwykle udany. Wszystkie mamy były szczęśliwe. Cieszyła się również Matka Ojczyzna, bo Jan Paweł II mówił, że to jest nasza Ojczyzna, nasza Polska, nasza Matka. Polska się cieszyła, bo w tym dniu wypadły wybory do Parlamentu Europejskiego. Zwyciężyła ta partia, której ja kibicuję, nasza dobra zmiana, nasza drużyna biało-czerwona. Zdecydowanie wygrali.

Zjednoczona Prawica wygrała z Koalicją Europejską. Tworząca ją PO straciła w porównaniu z liczbą mandatów zdobytych w poprzednich wyborach. Na czoło wysunęły się znane osobistości z lat minionych, które na początku działań Platformy były zwalczane i od których chciała się ona odciąć – Cimoszewicz, Belka, Miller dostali się do europarlamentu. Ciekawe, jak się czuje pan Grzegorz – przywódca koalicji, która miała pokonać PiS? A jej całym programem było wykopać i zdławić PiS. Pozmieniać wszystko dobre, co zrobiło, naobiecywać i nie realizować. Nawet niektórzy posłowie – stare wygi – mówili, że teraz to się nie przyznają, ale potem politycy tej koalicji to te małżeństwa męsko-męskie i damsko-damskie będą wprowadzać. Nikt nie musiał ich wyśmiewać, bo sami sobie strzelili gola. Ich zachowanie było obelżywe, sięgające dna – np. podłe zachowanie wobec naszego premiera czy wyśmiewanie się z Beaty Szydło, która w rezultacie dostała najlepszy wynik w kraju. To ona dzielnie broniła Polski w Parlamencie Europejskim. A mówili, że to kabaret.

Kabaret to sobie zrobił pan Schetyna na wałach powodziowych, gdzie uprawiał kampanię. To jest nie do pojęcia. Chyba nie spodziewali się, że trzema kartonami ciastek się wypromują. Nie pomogło. Strajk i nerwy młodzieży, atak na Kościół i religię – to też nie pomogło. Nic.

Cieszę się, że dożyłam czasów zwycięstwa. A Wiosna? Wiosna to się w czerwcu kończy. Potem będzie lato, a po nim jesień i zima i o Wiośnie się zapomina. Palikoty też przeminęły i już nikt o nich nie pamięta. Cieszmy się, że tegoroczny Dzień Matki był dobrym dniem. W Polsce dobrze się dzieje, bo nawet sześcioraczki wiedziały, że warto w Polsce się rodzić.

eprasa.pl 273b5b4c04

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Trofeum salonu

W kampanii do PE gazetowyborczy salon imał się subtelnych sposobów pozyskiwania elektoratu



Ryszard Makowski

Obok medialnych ataków maczugą zdarzają się zagrania piętrowe, by wkraść się w łaski wyborców. W sobotę, 25 maja, niezwykle popularny piosenkarz Dawid Podsiadło na swoim profilu, jak to się na okrętkę mówi: „na jednym z portali społecznościowych", czyli na Facebooku, zapodał: „Mina poważna, bo i sprawa poważna. Jutro wybory do Parlamentu Europejskiego. Bardzo ważne wybory... Ja bardzo lubię być częścią zjednoczonej Europy, dlatego jutro na pewno pójdę na wybory". Wywodowi towarzyszy wyliczenie, że przy frekwencji takiej jak w 2014 r., gdyby 413 tys. osób obserwujących profil artysty poszło do urn, wynik można zmienić o 6 proc. Tu jest jasne przesłanie, że głosy muszą być oddane na jedno ugrupowanie.

Aby młodzież się nie myliła, na kogo należy zgłosować, w czwartek, 23 maja, miał premierę teledysk promujący piosenkę „Trofea". Jak na nasz rynek muzyczny klip na niezwykle wysokim poziomie. Widać, że na bogato. Uwagę zwraca obsada. M.in. Jerzy Stuhr, Krzysztof Materna, Borys Szyc... nie ma wątpliwości, z kim należy trzymać i kogo popierać, żeby być tak samo fajoszczarskim jak Dawid Podsiadło.

Sprytne przyklejenie się do młodego artysty, jak widać, też niewiele dało. Być może fanami Dawida Podsiadły jest młodzież 18-, czyli bez prawa głosu. A może się fani połapali, że artystycznie oprawiona ekipa starych cwaniaków, kryjąca się za ich idolem, od lat niemożebnie fałszuje. Trochę tylko szkoda, że zdolny piosenkarz został trofeum salonu.

eprasa.pl 273b5b4c04

***Zawistowski prezentuje:* PZPR**



Wycinki z przeszłości



Ten przedwojenny znaczek przedstawiający Henryka Sienkiewicza to pretekst, żeby przytoczyć piękny ustęp z powieści „W pustyni i w puszczy", który przypomniał nam się wieczorem 26 maja. Państwo wiedzą dlaczego.

„Mahdi przymknął powieki [...] i skinął na Stasia.

– Czy chcesz przyjąć moją naukę?

Na to Staś ręką, którą trzymał przy piersiach, zrobił nieznacznie znak krzyża świętego, jakby z tonącego okrętu miał skoczyć w odmęt wodny.

– Proroku – rzekł – twojej nauki nie znam, więc gdybym ją przyjął, uczyniłbym to tylko ze strachu jak tchórz i człowiek podły. A czyż zależy ci na tym, by wiarę twoją wyznawali tchórze i ludzie podli?

I tak mówiąc, patrzył wciąż wprost w oczy Mahdiego.

Uczyniła się taka cisza, że słychać było brzęczenie much. Mahdi zmieszał się i na razie nie umiał znaleźć odpowiedzi. Uśmiech zniknął mu z twarzy, na której odbiło się zakłopotanie i niechęć. [...]

A dzielny chłopak, nieodrodny potomek obrońców chrześcijaństwa, prawa krew zwycięzców spod Chocimia i Wiednia, stał z podniesioną głową, czekając wyroku. Na wychudłych, opalonych przez pustynny wicher policzkach wykwitły mu jasne rumieńce, oczy rozbłysły, a ciałem wstrząsnął dreszcz zapału. I lęk przed tym, co mogło i miało nastąpić, przytaił mu się w tej chwili w sercu, a natomiast zalała je radość i duma.

A tymczasem Mahdi postawił tykwę i zapytał: – Więc odrzucasz moją naukę?

– Jestem chrześcijaninem jak mój ojciec...". ***(mk)***

W stronę lata...



Leszek Długosz

Urokliwy bibelot poetycki wyjęty z „Bluszcza" z 1928 r. W sam raz na coraz bliższe lato. Trochę fantazji, dowcipu, trochę znajomości przyrody i psychologii. Polecam na ten czas. A jeszcze lepiej spróbujcie państwo sami „coś poobserwować" i zanotować. A nuż coś się wam też na papierze uwije?

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska (1891–1945)

Anno Domini

Styczeń:
Z wód Styksu wypływa,
zmoczony,
parskając zapomnieniem –
Nowy Rok.

Luty:
Lód leży jeszcze nieprzerwany
między nadzieją a zimnem –
jeszcze sobie „ty" nie mówią.

Marzec:
Marznie jeszcze marzenie...
Marzy mróz...
Mży deszcz...

Kwiecień:
I już tylko kwiaty
rzucają cień
na życie...

Maj:
Mój, moja, maj.

Czerwiec:
Czerwone czaroziele
zerwie,
nie wiedząc nic...

Lipiec:
Lipa, miodami pachnąca,
jak piec rozogniona kwiatem.
Deine roten Lippen
möcht ich kussen...

Sierpień:
Nie ścinajcie!
Nie ukrócajcie!
Sierp wyrzućcie wysoko,
niech lśni jak nów w obłokach,
bo cóż po cierpieniu?

Wrzesień:
Wrzosy, babie lato, wrzenie,
ptasie wrzaski w rzęsistym
lesie.
Dajcie się babie zabawić!
Wejdź przez sień...

Październik:
Październie lecą ze szczęścia...

Listopad:
Bezszelestny upadek
wszystkiego.
Bezlistne drzewa,
bezlitosne myśli.

Grudzień:
Nie po różach,
ale po grudzie
idzie najkrótszy dzień
w grób.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 273b5b4c04



Projektowanie kotwicy

Czy umiemy przekonać środowiska, które uważają się za progresywne, że tradycyjna rodzina jako filar wspólnoty jest bezcenna?

OD A DO ZYBERTOWICZ

W roku 2011 podczas pierwszej edycji kongresu noszącego nazwę Polska Wielki Projekt panowało poczucie, szczególnie w środowiskach konserwatywnych, że Polska coraz bardziej dryfuje. Kto wie, dokąd ten dryf by nas zaniósł, gdyby w 2015 r. Polacy nie wybrali Andrzeja Dudę na prezydenta RP. Wtedy los Polski jakby zaczął się odwracać. Otworzyła się perspektywa dobrej zmiany. Czas trudny i pełen wyzwań.

Dziś nie brak głosów, że w groźnym dryfie – egzystencjalnym i strukturalnym – znajduje się nasza europejska wspólnota. Szczególnie niepokoi to, że w imię abstrakcyjnego postępu ku nowoczesności Unia Europejska coraz bardziej odrywa się od pierwotnych planów i wyobrażeń swoich ojców założycieli. Odrywa się od swoich chrześcijańskich korzeni, bezrefleksyjnie goniąc uciekający horyzont postępu.

PRZECIW DRYFOWI

Kilka dni temu Polacy znowu wybierali, a wybór tym razem dotyczył tego, jaki będzie nasz głos w Unii. Ale nie tylko Polacy zagłosowali przeciw beznadziejnemu dryfowi, także wyborcy z krajów starej UE dali sygnał, że wspólnota potrzebuje właściwej perspektywy, swoistej dobrej zmiany.

> Lansowanie oryginalności jako normy, ba, swoistej powinności, nawet jeśli dotyczy „tylko" sfery obyczajowej, nie przyniesie społeczeństwu niczego dobrego. Społeczeństwo, jeśli ma przetrwać jako wspólnota, potrzebuje stabilnych ram. Potrzebuje też silnych korzeni do tworzenia nowych form tożsamości. Nie można bezkarnie deformować pojęcia narodu tylko dlatego, że kreatywnie wyzwolonym pojęcie to kojarzy się z opresją.

W tym roku kongres Polska Wielki Projekt w dniach 7–9 czerwca zogniskuje się właśnie wokół motywu „Perspektywa".

WIELKIE POLE WYZWAŃ

Określenie Polski jako „wielkiego projektu" nie musi być przejawem megalomanii. Jest raczej sygnałem ciągłej potrzeby szukania właściwej perspektywy ujmowania wyzwań, jakie funduje nam współczesny świat.

Polska to nie jest projekt prosty; polskość to nie jest jednoznaczny koncept. To ciągłe wyzwania gospodarcze i polityczne. Coraz częściej to także wyzwania tożsamościowe.

Polska to trudne dziedzictwo i ogromne pole gier różnych interesów. Od lat w środowiskach konserwatywnych panuje zatroskanie o to, jak wydobyć Polskę z pułapki średniego rozwoju. Ciągle nie umiemy sobie z tym poradzić, chociaż może warto dziś podkreślić, że obecne spowolnienie gospodarcze w Niemczech u nas nie pociągnęło za sobą reakcji obniżającej wzrost gospodarki, jak się obawiano.

Pewnie nie trzeba wielkiej przenikliwości, by stwierdzić, że chrześcijańska Europa nie przetrwa bez Polski. Ale gdy spytamy: jak nasz potencjał kulturowy wpleść w unijne instytucje i procedury, to widać, że ciągle mało spraw mamy przemyślanych.

Czy umiemy przekonać środowiska, które uważają się za progresywne, że tradycyjna rodzina jako filar wspólnoty jest bezcenna? Czy jesteśmy gotowi na dialog toczony przez zwolenników dyskursu liberalno-lewicowego?

Dla środowisk konserwatywnych oczywistością jest niezbędność w świecie społecznym ram (w tym moralnych) i granic (choćby między normą a deformacją). Ale dla osób urzeczonych hiperróżnorodnością, za którą jakże często skrywa się marność i chaos egzystencjalny, granice to przecież przejaw zacofania. Czy mamy pomysły na argumenty, które do zagorzałych miłośników różnorodności trafią? Nie jest łatwo pokazać, że pielęgnowanie tradycji nie musi być tożsame z zaściankowością.

FUNDAMENTY I KOTWICE

Tak, Polska to bez wątpienia projekt wielki i nie o manię wielkości tu chodzi. Idzie o kaliber wymagań, które polskie dziedzictwo stawia nam w świecie cyfrowej wrzawy.

Lech Kaczyński mocno wspierał ideę zorganizowania wielkiego spotkania konserwatywnych środowisk opiniotwórczych, bo już przed laty oznaki rozmywania fundamentalnych wartości wspólnotowych były widoczne dla wielu intelektualistów. W pewnym sensie duch śp. prezydenta RP czuwa nad projektem do dziś.

Dryfująca Europa jak nigdy potrzebuje silnych kotwic, a Polska może być jedną z nich.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | 1/0519/F

eprasa.pl 273b5b4c04

Spotkajmy się w telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj od poniedziałku do piątku od godz. 14:00

Pobierz za darmo
pierwszą w Polsce aplikację mobilną,
dzięki której porozmawiasz na żywo w telewizji
z ulubionym dziennikarzem
w nowym programie Studio Polaków.



Studio Polaków

Pobierz bezpłatnie aplikację mobilną na swój smartfon.
Wybierz system operacyjny, który posiadasz:

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

ZGŁOŚ SIĘ DO PROGRAMU:

www.StudioPolaków.pl

eprasa.pl 273b5b4c04

WYGRAJ W ZŁOTEJ LOTERII

PONAD 660 NAGRÓD DO WYGRANIA

EURO JACKPOT

Weź udział w loterii od 10 maja do 7 czerwca 2019r.
Kup minimum jeden zakład gry Eurojackpot.



2x TOYOTA C-HR

41x ZEGAREK MĘSKI

41x ZEGAREK DAMSKI



25x SZTABKA ZŁOTA 10g



559x BON UPOMINKOWY YES 300 zł



Zwiększ swoją szansę na wygraną!

Kup minimum **2 zakłady** gry Eurojackpot na jednym kuponie i zarejestruj swój kod na **www.loteriaeurojackpot.pl**, a otrzymasz aż **3 szanse** na wygraną w losowaniach nagród I, II i III stopnia! Szczegóły dostępne w regulaminie loterii.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Graj w punktach LOTTO

Zapoznaj się z regulaminem na **www.loteriaeurojackpot.pl**. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 10 maja 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 7 czerwca 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią dostępną pod numerem: 459 595 955, czynną od poniedziałku do piątku w godz. 8:00-16:00 z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

eprasa.pl 273b5b4c04